

**Poezje
L. Kondratowicza
(Wł. Syrokomli)**

Tom III.

**Mikołów
K. Miarka Sp.**



POEZJE
LUDWIKA KONDRATOWICZA

(WŁADYSŁAWA SYROKOMLI).

Z PORTRETEM AUTORA.

T O M III.



Mikołów 1921.

NAKŁADEM SPÓŁKI WYDAWNICZEJ K. MIARKI



97235

1/11

884-1

„Zbiory Śląskie”

Akcja K Nr 281/77/82

UTWORY EPICKIE.

JANKO CMENTARNIK.

GAWĘDA LUDOWA.

PRZYGRYWKA.

W naszej wiosce za mych latek
Inszy bywał ruch:
I wesele, i dostatek,
Każde dziewczę gdyby kwiatek,
Każdy chłopiec zuch!
Dziś na rozum ludzie biorą,
Ale idzie coś niesporo —
Insze czasy masz!
Szarem kwieciem łąka kwitnie,
Pokarłały kłosa żytnie,
Zbladła ludziom twarz!
Czy w jesieni, czy to w wiosnie,
Były piękne dni;
Czy pracujem — serce rośnie,
Czy się bawim — to rozgłośnie,
Aż gospoda drży!
Dzisiaj ludzie już nie tacy
I do czarki, i do pracy —
Wiem ich siłę, wiem!
A ojcowie dzielni, starzy,
Spoczywają u cmentarzy
Wiekuistym snem!...
Pójdę do nich: na mogile
Będę płakał rad;
Do nich miodu dzban wychylę,
I pogwarzę słodko, mile,
Z ludźmi dawnych lat.

JANKO CMENTARNIK.

I.

— Jak ponad grobem wśród nocnej pory
Błądzą ogniki i meteory,

Tak dni ubiegłe, dawne dni nasze,
Zawsze uroczy promień opasze.
Choć one były zwykłemi dniami,
Ludzie ci sami i tacy sami,
I świat, i człowiek jedną miał dołę,
Chmury na niebie, troski na czole;
Niekiedy jutrzni promień szeroki
Rozjaśnił serce, przebił obłoki,
I znów się ukrył za gęste mgliska;
Z niebios deszcz pada, z oczu łza tryska.
I tak się ciągle miesza na ziemi,
Chwilka pogody z dniami tęsknemi;
A jednak promień przeszłości złoty
Każe zapomnieć chmur i tęsknoty;
Gdy w tamtą stronę myśli pobiegą,
Rzewniej na sercu — Bóg wie dlaczego!
Rok dawno zbiegły dziwne ma wdzięki!
Bo to rówieśnik naszej jutrzeńki;
A tamci ludzie dlatego mili,
Że w naszym życiu świadkami byli
Pierwszej pielgrzymki, kiedyśmy śmieli
Ku niewidomym celom lecieli,
 Za motylami, to za kwiatkami,
Za wszystkim pięknem, co oko mamy,
Za wszystkim miłem, co serce pieści;
Nie tak jak dzisiaj, gdy syn boleści,
Zaznawszy świata, głowę schyliwszy,
Co chwila mędrszy i nieszczęśliwszy,
Obarczon ciężką sakwą podróży,
Gdy mu dawniejsza siła nie służy,
Krwawiąc się cierniem i ostrem zieleń,
Idzie do celu — a grób tym celem.

II.

Święta jutrzeńko mojego rana!
Tyś była chmurna i opłakana,
Ot taka sama i w każdym względzie,
Jak dzień dzisiejszy, jak jutro będzie.
A jednak, nie wiem i skąd, i poco,
Nad twem wspomnieniem światła migocą?
A przy tych światłach, gdy się rozmarzę,
Lubię oglądać dawniejsze twarze,

Miejsca, gdzie moje zbiegło zaranie,
Gdzie dzisiaj noga już nie postanie.
I patrzę czasem, i gonię rzewno
Za ową barwą mglistą, niepewną,
Za temi dachy, gdzie życie bieгло,
Za tamtych świątyń znajomą cegłą,
Za tamtym wiatrem, łąki przekosem,
Za tamtych ludzi wzrokiem i głosem,
Z którymi niegdyś żyło się ściślej,
Łamiąc chleb bratni, mieniając myśli...

Gdy spracowane ramię zaboli,
Gdy pulsa życia tętnią powoli,
Człek ciężko westchnie: Boże mój, Boże!
Tam świeżość dawną zyskałbym może.
Widok stron tamtych i tamtych twarzy
Zastygłe serce pewnie rozżarzy...
Śmieszne rojenia! puste gawędy!
Wszak czas i życie szły i tamtędy;
A tamte miłe dachy ze słomy
Pokrył mech siwy, mnie nieznajomy.
Drzewka, com niegdyś kochał, jak braci,
Musiały wzrosnąć w nowej postaci —
A cóż mi po nich? myśl ma pochmurna
Chciała, w nich widzieć dawne koturna,
A one wzrosły, jak wszystkie drzewa,
A wiatr tam dzisiaj inny powiewa,
Inaczej huczą kościelne dzwony,
Jeden rozbity, drugi zmieniony...
A twarze ludzkie? jak karta biała:
Tam każda chwila coś zapisała.
Nowe kolebki ściele niewiasta,
Co było dzieckiem — w męża urasta,
Co było mężem — dzisiaj skroń siwa,
Co było starcem — w grobie spoczywa.
To jacyś obcy... nie chcę tych ludzi:
Ich widok tylko boleść mi wzbudzi!
Coś znajomego, coś mi się roi...
Lecz to nie tamci, lecz to nie moi!
Na twarzach zmarszczek głębokie żłoby,
Ślad wieku, smutków albo choroby;
Już głos dziewiczy, co ucho pieści,
Ostro dziś płynie z piersi niewieściej;

Głos męża silny, pełny słodczy,
Dziś w starczych ustach szepleni, syczy.
Człek przypomina, wsłucha się, wsłucha:
To obce dźwięki dla mego ucha!...
A sercaż ludzkie! jaka tam zmiana!
Widziałeś piękny zapal młodziana —
Dzisiaj tę duszę czyż poznać można?
Tak samolubna, taka ostrożna!
Widziałeś w niebo wzniesione oko,
Czytałeś w sercu wiarę głęboką,
A jakąż miłość kryło to łono,
Niewyczerpaną, niewyziębioną!
Lecz czego lodem zakuć nie w stanie
Grzech, doświadczenie, odczarowanie?
I już w tych piersiach, i już w tej głowie
Chłodna niewiara, straszne pustkowię!
Posłuchaj tylko: szydzi bluźnierca
Z dawniejszej wiary, z własnego serca...
Precz mi z tym człkiem! ja go nie znałem!
A jam chciał wskresnąć jego zapalem!
A jego postać, ileż to razy,
Gdym w myślach kreślił przeszłe obrazy,
Tak promieniście i tak różowo
Przelatywała nad moją głową!...
Szatan nie człowiek!... za jakież winy
Skalał mój obraz, obraz jedyny
Młodej przeszłości, szczęśliwszej chwili,
Źródła, com sądził, że mię posili,
Że zwątpiałemu wróci nadzieje,
Że mię dawniejszym ogniem zagrzeje?!...
Och! jak boleśnie, och! jak boleśnie,
Że dzień wczorajszy nigdy nie wskresnie!
Wczorajsi ludzie już dziś umarli,
A wiek się zmienia, przyszłość się karli...
Chcesz zdłużyć chwilę, która ucieka?
Rozważaj przeszłość, ale z daleka.

III.

Jeśli ochota, słuchacze mili,
Dajcie mi ucho choć na pół chwili:
Starym zwyczajem, w kółku słuchaczy,
Powiem powiastkę, przygodę raczej,

Którą zastyszał z ludzkiej pogłoski,
Prostą i rzewną — wiadomo z wioski.
Czyńcie co wola: śmieście się, płaczcie,
Dobre przyjmijcie, a złe przebaczcie.

IV.

Przed pięćdziesięciu czy więcej laty,
Żył w jednej wiosce młodzian bogaty,
Hoży, wesoly — jeden z tych ludzi,
Którego serca nic nie wystudzi,
Co go nie stworzył Bóg na pieszczocha,
Co kiedy kocha, to szczerze kocha,
Co to do pracy rwie się ochotnie,
Co to przy pługu z rozkoszą potnie,
A kiedy hula, to z całej duszy,
Którego serce wszystko poruszy,
Co gotów stawić we dnie i w nocy
Pierś do uścisku, dłoń do pomocy.
Więc wszyscy brata widzieli w Janku:
A on zajęty był bez ustanku,
Temu, owemu, czy to, czy owo,
Jakaś gromadzką sprawą wioskową.
Kochał swą wioskę, chlubił się wioską,
Kochał rodziców duszą synowską,
Kochał swe pola i sianożęci,
Kochał rzeczulkę, co tam się kręci,
Kochał swe lasy i dymy chatnie,
Dla parobczaków miał serce bratnie,
Kochał na zabój dziewczęta młode,
Kochał kaplicę, cmentarz, gospodę.

I z tą miłością rodzonej ziemi
Dobrze mu było między swojemi:
Bo jakoś zawždy na sercu gracko,
Dolę, niedolę dzieląc gromadzką,
Żyć ze wszystkimi, czuć bratnią spójnię,
To jakoś serce bije podwójnie.
Bywało we wsi śmierć kogoś bierze —
Janek jak dziecko spłacze się szczerze,
W obcym człowieku, co zszedł ze świata,
Jakby utracił ojca czy brata.
On dół wykopie, trumnę wyciosa,
Żałobną pieśnią grzmi pod niebiosą,

A jeśli krewni niedość bogaci,
Jeszcze bywało za pogrzeb płaci.
Za to, gdy we wsi jakaś hułanka,
Za siódmą górą posłyszysz Janka:
To hucznie śpiewa, to w taniec ruszy,
Gromadzka radość tak mu do duszy.
On na weselach za drużbę stanie,
On pierwszy oracz na dworskim łanie.
Przodowy kosarz na sianożęci,
Nigdy mu nie brak siły i chęci.
No! a na świecie różnie się plecie:
Czasem do bitwy przychodzi w lecie,
Zwłaszcza, że wioska ustronna, mała,
Na spornych gruntach jakoś leżała.
Więc cudzopaniec w dogodnej porze
Łakę przekosi, grunta przeorze,
Wpuści dobytek w niwę wioskową,
Groźba za groźbę, słowo za słowo.
Krzywda widoczna, a sprawa prędką,
To się i pobić przychodzi chętką.
No! różnie bywa: którejś niedzieli.
Ten się podchmieli, drugi podchmieli.
Słówko za słówko, krew silniej bije,
Jakoś przychodzi grzmotnia na kije.
A drugi siedząc, niedługo duma,
Żal mu sąsiada, żal pana kuma,
Więc do pomocy! I z drugiej strony
Znowu się zjawi gość nieproszony,
I dwie gromadki starym zwyczajem
Gdzieś przy gospodzie grzmocą się wzajem.

Na taką grzmotnię, w lichej godzinie,
Niech-no się tylko Janek nawinie,
I rzutem oka niech-no wybada,
Że tam chcą skrzywdzić jego sąsiada;
To własne życie już mu nie w cenie,
Choć na dziesięciu wpada szalenie,
A słabej stronie dając pomoce,
Potężną ręką, jak cepem grzmoce.
I póty grzmoce dalej, a dalej,
Aż przeciwników na ziemię zwali,
Piersi do piersi, a ramię w ramię,
Aż nim ich kije w trzaski połamie.

Słowem, czy w zgodzie, czy to we zwadzie,
Janek był pierwszy w całej gromadzie.

V.

Takie pierwszeństwo nie idzie z rodu,
Ani go zjednać za kufel miodu;
Lecz trzeba kochać a sercem całem,
Trzeba być silnym duszą i ciałem, —
A czy to w wiosce, czy w wielkiem mieście,
Taką przewagę uznają wreszcie.
Przewaga serca w imię przyjaźni
Najdumniejszego dumy nie drażni;
Wszyscy się chylą przed taką władzą,
Ochocze serca zawsze poddadzą;
A gdy już pierwsza przebyta proba,
Prowadź gromadkę gdzie się podoba.

VI.

I świetna była dola Jankowa,
Póki się we wsi rodzinnej chowa;
Lecz inszą dolę dały mu nieba:
Panu hajduka było potrzeba,
Spodobał Janka, zabrał go z chaty
W obce wojwództwo, aż pod Karpaty.
Żal rodzinnego było mu płota,
I wioska po nim będzie sierota;
Ojciec przeżegnał dobrego syna,
Gorzko płakała matka jedyna,
Chłopaki ucztę dali mu w domu,
Dziewczętom zucha żal pokryjomu;
Jedna, jak widać, smutniejsza nieco,
U drugiej łezki na oczach świecą.
Wszyscy żałują — on głowę traci,
Dumny tym żalem swoich współbraci.
Z sercem rozdarciem i bolejącem,
Z tysiącem wspomnień, z marzeń tysiącem,
Zakończył z braćmi ucztę ostatki,
Rzucił się do nóg ojca i matki,
Uściskał chłopców i dziewy młode,
Pożegnał kościół, cmentarz, gospodę,
Wsiadł na konika dworsko a raźnie,
Jeszcze się wszystkim skłonił przyjaźnie

I ruszył, świszcząc piosnkę kozaczą,
Pewien, że jego łez nie zobaczą,
I snuć marzenia zaczął powoli
O nowem życiu, o inszej doli.

VII.

Dobrze mu było na dworze pana:
Barwa złocista i posrebrzana,
Spięty popręgą, w sutej bekieszy,
Z kity u czapki wielce się cieszy,
Strzelba przez plecy, konik cisawy,
O! taka służba jak dla zabawy!
Prędko się zucił celnego strzału,
I przyjaźń ludzka nie szła pomalu;
Pan go od razu polubił wielce,
Kazał policzyć pomiędzy strzelce;
Dworscy przyjęli braterską dłońią,
No, i dziewczęta nie bardzo stronią.
Wesołe życie! jedyna bieda,
Że Bóg przeszłości zapomnieć nie da.
Że w dzień i w nocy tak sercem miota
Ta do rodzinnej skiiby tęsknota!
Te ciągle myśli o swojej strzesie,
Ptaszek pod skrzydłem chyba je niesie!
Słodkie powietrze ze swego świata
Chyba zdradziecko z wiatrem przylata,
Aby do reszty odurzyć głowę,
Ażeby serce drzeć na połowę...
Najpierwsze myśli, kiedy się zbudzi,
Posyła najprzód do tamtych ludzi:
Co oni robią? żywi? czy zdrowi?
Ojciec i matka, nasi domowi?
Nasze chłopaki, nasze dziewczęta?...
I kto tam jeszcze o mnie pamięta?
Czy tam wczorajsza doszła ulewa?
Czy wiatr któregoś nie złamał drzewa?
Tak była wątła, tak pochylona
Grusza przy chacie starca Szymona...
Co się tam stało z kościelną wieżą?
Kto tam rej wiedzie między młodzieżą?
Czy zawsze psisko u Pawła bramy?
Czy stary dzwonnik jeszcze ten samy?

Och! coś mi serce niedobrze tuszy!
Musiał kto umrzeć, bo tęskno w duszy...
Gdy się w niedzielę świetnie ustroi,
Och! — myśli sobie — gdyby tu moi,
Gdyby widzieli rodzice starzy,
Jak mi strzelecka barwa do twarzy!
Tożby zazdrościł, aż głową kiwa,
Wioskowy strojniś, Marcin Pokrzywa!
A dziewczyńskie! nasze jagodki,
Tożby to uśmiech stroiły słodki!
Niby to z cicha, niby to skromnie,
Zawszeby jednak przyłgnęły do mnie...
O! gdzie tam, gdzie tam!... lepiej we świecie!
Proste jej sukno, proste uszycie...
Ja w stroju dworskim pomiędzy chłopcy
W rodzonej wiosce byłbym jak obcy;
Gdybym zawitał w takim ubiorze,
Piesby domowy rzucił się może...
Nie chcę tej barwy złotej, zielonej!
Puśćcie mię, puśćcie w domowe strony!...

VIII.

Tak często patrzył w stronę swej ziemi,
Stojąc z rękami załamane;
A chcąc zagłuszyć tęskność zdradzieczą,
Myśli bywało: Jakież ja dziecko!
Młodemu człeku, ot wielka bieda,
Że pan mi doma zagnuśnieć nie da!
Cóż robić? tęskno po swej rodzinie,
Lecz to przeminie... Ej, nie przeminie!
Biednyś ty, Janku! wioskowej głuszy
Nie trzeba było wrastać do duszy;
Kiedy raz wrosła, nic nie pomóżem,
Już tej miłości nie wyciąć nożem!
Z taką tęsknotą, jak z karą Bożą,
Już i do trumny ciebie położą!...

Są jedne dusze, które umieją
Ciągłe żyć światem, ciągłe nadzieją,
A których serce wszędzie przyrasta:
Dzisiaj do wioski, jutro do miasta,
Dziś leć w powietrze, jutro płyn woda,
Gdziekolwiek losy ciebie powiodą,

Wiosna im w maju, wiosna w październiku,
Wszędy ojczyzna, gdzie jeno dobrze.

Są insze dusze, niby to święte,
Co, burzą życia w obczyznę pchnięte,
Tęsknią do swoich, tęsknią i marzą;
Potem powoli, z zimniejszą twarzą,
Z gorzkim uśmiechem, już winią nieba:
Cóż mamy począć? tak już potrzeba!
A zresztą, mówiąc prawdą a Bogiem,
Konieczność musi stać się nałogiem,
Nałóg naturą: radzi nieradzi,
Los, jak ogrodnik, gdy nas przesadzi.
W Indje Wschodnie, do Neapolu,
Pomimo cierpień, pomimo bólu,
Musim się zrosnąć z nowym klimatem.
Litwa — Neapol... nie idzie za tem:
Litwę u piersi jak dziecko nianczę;
Lecz w Neapolu są pomarańcze,
Tam cień oliwny osłania głowę,
A w Litwie tylko szyszki borowe.
Człowiek, rad nierad, jakoś przywyka
Do pomarańczy od słonecznika.
Nałóg — natura: więc co za dziwa,
Że mi smakuje bardziej oliwa?

Są insze dusze, głupcy, warjaty,
Co wolą słomę domowej chaty,
Co wśród palm pragną sosnowych lasów,
Co wśród pomarańcz i ananasów
Gminne ich zdrowie bardziej przywykło
Karmić się szczawiem lub swoją ćwikłą.
Poradź tu z grubą duszą Litwina,
Co swej dzikości nie zapomina,
Co swe lepianki, swych borów liście
Kocha ogniście, kocha wieczyście,
Który, rwąc z drzewa pomarańcz złoty,
Za szyszką sosen ginie z tęsknoty,
Co otoczony natury blaskiem,
Za dzikim borem, za żółtym piaskiem
Jak za kochanką, goni kochanek! —

Tak się dziwaczył, tak tęsknił Janek.
Widząc na murach blaszane szczyty,
On wołał domek słomą pokryty;

Nieuleczony, dziwny szaleniec,
On w kraju pszennym śnił żyta wieniec!
Szkoda cię, Janku w złoto przybrany,
Że do wioskowej tęsknisz sukmany,
Że gdy cię szczyci łaska bogacza,
Kiedy cię dworski przepych otacza,
Ku nędzy ojców strzelasz oczyma.
Zgubionyś, Janku! rady już niema!
Gdy raz gangrena wpadnie do łona,
To już choroba nieuleczona;
Znane lekarzom takie zjawisko,
Nawet łacińskie nosi nazwisko.
Jedyną na to leczebną siłą
Oddech z powietrza, gdzie się rodziło,
Szklanica wody z domowej rzeki, —
Albo ze szczęściem rozbrat na wieki.

IX.

Rozbrat ze szczęściem! — taka twa dola;
Nieprędko wrócisz na swoje pola.
Mocuj się duchem, póki duch służy,
Bo długa kolej twojej podróży.

W rok coś niespełna, po wszystkich stronach
Poczęto gadać o legjonach,
Coraz to głośniej, coraz to szerzej;
Poczęła szlachta zbierać żołnierzy,
I kto sam jeden, i kto gromadką,
Marsz za granicę umykać gładko!
I pan Jankowy, żywej natury,
Kazał swym strzelcom uszyć mundury,
Dał nowe konie, szable i lance,
I powiódł zastęp w dalekie krańce.

Janek wesoły poszedł w żołnierze;
A chociaż chętką zapłakać bierze,
Lecz myśli sobie: Niech płaczą dzieci!
Łza żołnierzowi mundur oszpeci!
Skoczyłby teraz do swojej wioski
Wziąć pożegnanie z ręki ojcowskiej,
Przyjąć od matki medal święcony,
Pożegnać braci i swoje strony,
Uścisnąć szczerze dziewczęta z sioła;
Ale już czasu nie było zgoła.

Zagrano w trąbkę — pan już na przedzie,
I pal z kopyta, gdzie oko wiedzie.

X.

Krwawo, ruchawo, jakby w zachwycie,
Płynęło wtedy żołnierskie życie.
Dyktator Gallów grzmiącemi słowy
Zagrał poemat wielki, dziejowy.
Z mnogich zastępów tworzył wyrazy,
Z hufców układał ogniste frazy,
Takt jego piersi bije armata,
Za kartę użył połowy świata.
A każda fraza i każda głoska
Wrzała tak silnie, jak myśl ministrzowska,
Kipiała ogniem piersi człowieczej, —
Nie dziw, że wielkie popisał rzeczy.
Krwawym zygzakiem przekreślił Romę,
Przekroczył Alpów urwiska strome,
Trącił o stare Piramid głązy,
Ziemie germańską przeszedł dwa razy,
Przerznął skalisty grzbiet Pirenei!
A ludzkość, pełna nowych nadziei,
Patrząc na krwawy zygzak, co pała,
Charakter Boży na nim czytała!
To była tylko zwyczajna droga,
Którędy Tytan szedł na półboga.
Wielki poemat krwi, ognia, czynu,
Myślą nie wyszedł za obręb gminu,
Tylko, że większy dał rozmiar pysze, —
To pycha Boskich dzieł nie napisze,
Czy biorąc słowa kolory bledsze,
Czyli kartaczem ryjąc powietrze.

XI.

Ludzkość w półboga swego wierzyła:
Zbrojnych milionów olbrzymia siła
Stawała przy nim w jednej godzinie,
Leciała pędem, gdzie jeno skinie.
Porywa wirem, gdzie się zaczepi,
Co chwila wzrasta, coraz się krzepi.
Pod sklepieniami obcego nieba
Janek przy panu walczył, jak trzeba:

Wespół z drugimi wstąpił z zaszczytem
Na groźne pasmo skał pod Madrytem;
Wespół z drugimi zasługą czystą
Został mianowan starym gwardzistą;
Gdy jego męstwo wodzowie chwala,
Dostał wojenny krzyż pod Alhalą;
W ziemi rakuskiej, gdzie Wagram pole,
Wziął chrzest żołnierski — ranę na czole.
Lecz się wyleczył — w szeregi staje,
I znowu poszedł w hiszpańskie kraje,
Gdzie niebo świetnym promieniem pała,
Gdzie pełno złota, gdzie trud i chwala,
Gdzie do zasługi niwa tak żyzna,
Gdzie najpiękniejszych dziewic ojczyzna.
Lecz tęsknych myśli z chrobrego czoła
Gwar obozowy wygnać nie zdoła.
W chwilach spoczynku śpią towarzysze,
A ich marzenia bitwa kołysze,
Śni się bój, zdobycz albo hulanka;
Insze marzenia na sercu Janka:
Choć w takt rycerski puls jego grzmoce,
On o swej wiosce śni całe noce,
W brzękocie bębnów, wśród trąb zgrzytania
Wiejski się obraz przed nim odsłania.
Słyszy kościelny dzwonek cichutki,
Słyszy skowronka piosnkę pobudki;
Słyszy, jak rybka pluska się w wodzie,
Słyszy strojenie skrzypiec w gospodzie;
Śpi na biwaku, na cudzej ziemi,
A dusza jego hula ze swemi!
Powiecie może: To rzecz wiadoma,
Janek zostawił kochankę doma.
Nie! jeszcze serce biło swobodą,
Opuścił wioskę za nadto młodo;
A w cudzych wioskach — pożal się Boże,
Czyż piękne dziewczę zrodzić się może?
On lubił na wsi orszak dziewczęcy,
Ale nie kochał żadnej goręcej.
Kochanka jego — to wcale inna,
Ona się zowie: wioska rodzinna,
Ze swem powietrzem, ze swoją wodą,

Z ludźmi, z kaplicą, z lasem, z gospodą,
Z wieczornicami i z doświtkami,
Ze swoim niebem, swemi chmurami.

XII.

Przez pięć lat służąc w gwarnej żołnierce,
Janek zachował dawniejsze serce.
Zawsze w niem pieścił obraz swej wioski
Zawsze śnił stary domek ojcowski:
Czy go zobaczy? i w jakiej doli?
Ot może Pan Bóg kiedyś pozwoli,
Miłe dla serca zaświta rano.
Wojskom w te strony ruszyć kazano,
Bo właśnie zapał najwyżej wzrastał,
Rok osiemsetny dwunasty nastał.
Cezarów orzeł skrzydła rozpina
Nad sztandarami Korsykanina;
Skiął na północ i na wschód słońca —
Dwadzieścia plemion, jak lawa wrząca,
Płonąc, i sycząc, i zionąc parę,
Szło zburzyć Kremlu wieżycę stare.

— Pędem piorunu potok się leje —
Tak o tej chwili pisały dzieje.

— Żółw nas prześcignie w takim pochodzie! —
Powiadał Janek — ostrogą bodzie
I trzęzłą swego wierzchowca spina:
Ot już i Niemen, ot i rodzina,
Ot i powietrze stamtąd powiało,
Ot i zobaczę mą wioskę całą!
Toż mię otoczą roje gromadne!
Toż ojcu, matce do nóg upadnę!
Powiem im, powiem z całym zapalem,
A gdzie ja byłem, a co widziałem,
Otóż się każdy ze mnie nadziwi!
Bóg-że wie tylko, czy oni żywi?
Czy oni zawsze zdrowi, weseli?
Czy może o mnie już zapomnieli?!

XIII.

Niemen przebyli, przyszli do Kowna.
Już miota Jankiem radość gwałtowna,
Zdaje się serce w piersiach nie mieści:

— Już mi do domu mil ze dwadzieści...
Dwadzieścia tylko, och! jak to mało!

Toż mię tysiącem mil przedzielało
 Od moich miłych... gdybyż być w przodzie!
 I znowu konia ostrogą bodzie;
 Ale hamuje chętkę swawolną,
 Bo się z szeregu wymknąć nie wolno:
 Wezmą za zbiega zastrzelą może...
 Umrzeć w tej chwili!... Boże mój, Boże,
 Kiedy już czuję rodzinną ścianę!
 O nie! w szeregu lepiej zostanę:
 Tak każe dola, poddam się doli...
 Tylko że oni idą powoli.
 Noga za nogą za przednią strażą...
 Czemu im prędzej ruszyć nie każą?...

XIV.

Nareszcie wojsko weszło do Wilna.
 Nad głową Janka tęskność mogilna
 Chmurno zawisła — szepce kryjomu:
 — Tylko mil osiem od mego domu...
 Lecz cóż tam na myśl przyjdzie monarsze?
 Kędy obróci wojenne marsze?
 W prawo? czy w lewo?... Ależ broń Boże!
 Pułk naszej wioski minąć nie może:
 Wioska na lewo — tamtędy droga...
 Ale myśl władców, to jak myśl Boga,
 Nieodgadniona, nieprzeniknięta,
 Słowo ich prawem, wola ich święta.
 Więc drżący Janek ileż to razy
 Pytał u pana: jakie rozkazy
 Z głównej kwatery? — lecz pan nie zgadnie,
 Którędy pułkom ruszyć wypadnie.
 Przyszła nakoniec karta złowroga:
 Dla konnych pułków na prawo droga;
 Za dwie godziny wojsko wyruszy.
 Co się tam działo w Jankowej duszy,
 Trudno wysłować...

Od swojej niwy

Znów los odpycha nielitościwy!
 Onaż tak blisko być się zdawała!
 I znowu lata lub wieczność cała
 Przedzieli może nieszczęśliwego
 Od miejsc, do których wciąż dumki biega!...
 Chciał już uciekać — lecz honor drogi,

Wojskowa karność ma swe nałogi;
Kto tych przekonań raz pójdzie drogą,
Już go pokusy zachwiać nie mogą:
Pęknie mu serce, w oczach się ściemni,
Lecz nie postąpi jako nikczemni.
Janko, niezdolny postąpić podle,
Spuścił jak martwy ręce na siodle.
Spojrzał na lewo, gdzie jego niwa, —
Myśl pożegnalna, myśl rozpaczliwa
Pobiegła z wiatrem aż ku domowi:
Zostańcie żywi! bywajcie zdrowi!

XV.

Niech ci powiedzą dziejowe karty,
Niech powie starzec na kiju wsparty,
Te straszne hufce jaką szły drogą,
Budząc po kraju nadzieję z trwogą?
Gdzie ich zwycięstwo, gdzie była klęska?
Spytaj Możajska, spytaj Smoleńska,
Spytaj u ognia, śniegu i wody,
Gdzie się podziały owe narody?
Na bojowiskach spytaj się kości,
Spytaj u Chwały, co w niebie gości.

Z tęsknotą w sercu, z raną na czole,
Janek podzielał z panem niedole;
Chrobrze, cnotliwie i nieszczęśliwie
Wiodło się obu na własnej niwie.
Panu pod Moskwą, gdy bitwa pała,
Kula armatnia ręce urwała;
Uniósł go Janko z pobojuwiska,
Czuwał, aż ślady życia odzyska,
A potem, niosąc służby ochocze,
Czuwał w szpitalu całe półrocze.
Gdy nieco zdrowia dano kalece,
Janek w troskliwej miał go opiece.
Na lichym wózku, w chłopskiej odzieży,
I pan i sługa, nędzarze szczerzy,
Jeden i drugi, jak grób ponury,
Jechali kryć się w Karpackie góry,
A silna pogoń gnała ich w tyle...
Od wsi Jankowej tylko dwie mile;
Ale zmykając co bliższą drogą,
Ani na chwilę zboczyć nie mogą.

Tylko gdzieś w karczmie na pół spalonej
Spotkali człowieka z tamtejszej strony;
Ten opowiedział wiernie Jankowi:
Że wszyscy żywi, że wszyscy zdrowi,
Tylko że ojciec jego już w grobie,
Tylko że matka jęczy w chorobie,
Tylko że w wiosce niedawnej chwili
Wrogowie kilka domów spalili,
Tylko się jakaś pobrała para,
Tylko runęła dzwonnica stara;
A co do reszty — łaskawe nieba,
W Jankowej wiosce wszystko jak trzeba.

Janko na wojnie miał widok mnogi
Codziennych śmierci albo pożogi;
A serce jego, które nie mało.
Ciężkich zawodów w życiu doznało,
Stało się twarde, płakać nie może.
Tylko zawołał: Boże mój, Boże,
Bądź wola Twoja zawsze i wszędzie!
A ja mówiłem, że już tak będzie!
Ojciec nie żyje, a matka kona —
Już wioska dla mnie jakby stracona!...
Och! gdyby do niej choć na godzinę,
Błogosławieństwo przyjąć matczyne,
Widzieć grób ojca, znajome lice
I rumowisko starej dzwonnice!
Lecz niema czasu! Ruszyli dalej;
Pan słabnie w drodze; już pogoń wali.
Bohaterowie z Wagram, z Madrytu,
Dzisiaj strąceni ze sławy szczytu,
Zranieni w ciele, zwątpiali duszą,
Z dworku do dworku tulać się muszą,
Gdzie tyle ofiar bolesnych ginie,
Wędrować muszą po żebraniu.
Przywędrowali w Karpackie góry:
Świetny dwór pański, dzisiaj ponury,
Swego dziedzica żałością wita:
Droga zarosła, brama rozbita,
A na dziedzińcu głucho milczenie,
W komnatach śmierci wilgotne tchnienie,
A hufiec pański zbrojny i strojny
Legł w różnych stronach dalekiej wojny.
Pan tylko z Jankiem zostali sami,

Z pogadankami, ze wspomnieniami;
Tylko w ich duszy zostały bole,
Rany na ciele, chwała na czole.

XVI.

Janek, jak zawsze, do swej ustroni
Tęskni kryjomo i lezki roni;
Ale powracać? — pożal się Boże,
Wbijać do serca kolce i noże!
Zresztą i tutaj taka odmiana:
Grzechby odstąpić chorego pana;
I on do Janka przywyknął szczerze,
Z niczyjej ręki jadła nie bierze
Jeno z Jankowej — szkoda go, szkoda!
Któż go nakarmi? kto napój poda?
Kto mu obetrze pot z jego twarzy?
Kto mu o sławnych bitwach pogwarzy?

Leżąc jak Łazarz w łożu boleści,
Pan długo konał — bo lat trzydzieści
Przez lat trzydzieści aż do ostatka,
Jako piastunka, jak własna matka,
Janek pilnował łoża choroby
I przemyślał ulgi sposoby.
Karmił jak dziecię, bawił jak dziecię,
I już pokochał nad wszystko w świecie,
Nad własne życie, a nawet pono
Nad swoją wioskę — wioskę rodzoną!
Bo tam na wiosce nie ma już domu,
Tam niepotrzebny na nic nikomu;
A tu, gdzie cierpiał wódz jego stary,
Przykuł go święty łańcuch ofiary.
Z razu — z łańcuchem przykro mu było,
Potem przyrosnął, a z taką siłą,
Że się ofiara stała nałogiem,
Stała miłości zachceniem drogiem.

Tak się zjednoczył duchem najściślej,
Że umiał zgadnąć, co pan pomyśli;
Sercem zgadywał, choć bez lekarza,
Czy się ból zmniejsza albo pomnaża,
Czy pan zasypia lub się ocyka.
Och! to niezwykle hold niewolnika!
Bo ci niewolnik na twarz upadnie,
Każdy kapryśny grymas odgadnie,
Przezna nałogi w latach niewoli,

Ale nie zgadnie, co ciebie boli,
Ani przepowie w długiej chorobie;
Czy będzie lepiej, czy gorzej tobie?
Co ból uśmierzy albo rozdrażni?
Och! dla miłości i dla przyjaźni
Nie korca soli, nie beczki chleba
Ale cierpienia na próbę trzeba!

Kto bolał z tobą, albo nad tobą,
Jużbyś go krzywdził przyjaźni probą;
Zawierz mu śmiało życie i zdrowie,
On twój na wieki — bezwarunkowie!

XVII.

Tak Janek przeżył i stał się stary,
Z jednym uczuciem — z duchem ofiary;
Lecz w przeznaczeniach jego żywota
Samo sieroctwo, sama tęsknota.
Biedny pan jego spoczął w mogile;
Janko, co nad nim czuwał lat tyle,
Co własne życie wlewał mu w łono,
Z którym go zda się duchem spojono.
Ciężko zaniemógł. — Już się zdawało,
Że duch opuści znękanе ciało;
Bo już na pana swego pogrzebie
Janko pochował połowę siebie,
Połowę myśli i całą wolę,
Jak niedołężne stał się pachole.
Tak zielsko chmielne, wyciekłe, chore,
Gdy mu odejmą jego podpore,
Chwieje się, pada, blednieje, ginie,
Jak zatęsknione po swej tyczynie!
Tyka wspierała gałązkę chorą,
Janek dla pana sam był podporą:
Więdnieje dręczon boleścią srogą,
Że nieść ofiary nie ma dla kogo,
Że już nikogo nie ma na świecie
Karmić i niańczyć, jak małe dziecię!
Po osłupiałej Janka postaci
Możnaby sądzić, że rozum traci.
Wybladły, nakształt nocnego stracha,
Sam z sobą gwarzy, rękami macha,
Udaje bitwę, szykuje rotę,
Śpiewa piosenkę dawnej ochoty,

Niby wystrzela.. i marzy Janek
O czarnych oczach młodych Hiszpanek,
O pięknem niebie tamtejszej strony;
I znowu inną myślą wiedziony,
Idzie na atak, prowadzi więźnie,
Woła o pomoc, że w śniegach grzęźnie,
Niby to wiezie pana w podróży,
Niby to panu w chorobie służy,
Albo prowadzi orszak grobowy...
Wtedy się skarży na boleść głowy,
Że tam szum jakiś, coś jęczy, brzęczy...
I już nastawał moment szaleńczy.
Gdzie nić rozumu w prężonym nerwie
Już się na zawsze starga i przerwie.
Ale w tym szumie, jęku i brzęku,
Inszy nerw życia drgnął pomaleńku:
Coś jakby szelest daleki drzewa,
Coś jakby piosnka, co słowik śpiewa,
Ale ten szelest, czy piosnki nuta,
To coś dawniejsza, coś niepopsuta,
Coś taka sama, jak to bywało
Echo w powietrzu rodzinnem grało.

— Tak... to powietrze rodzinnej niwy,
A to skowronek, zwiastun życzliwy,
Tam szelest sosny, tam polnej gruszy,
A tam od łąki rożek pastuszy,
A tam ze zbożem skrzypią woziska,
A tam czekają znajome psiska,
Tam wóz plebana turkoce drogą...
Boże, mój Boże! jakże mi błogo!
Jakiś Ty dobry, Ojcze i Panie,
Za to rodzinnych dźwięków przysłanie!

Uklęknął Janek, łzami się zalał, —
Już jego biedny rozum ocalał:
Miłość swej wioski i swojej strony
Wróciła wskrzesić duch przygnębiony,
Zagrała w piersiach na dawną nutę,
Pokutnik skończył swoją pokutę.
Już pan nie żyje — któż mu zabroni
Wrócić na starość do swej ustroni?
Ludzie się dziwią, skąd taka zmiana?
Skąd ta przytomność niespodziewana?
Skąd taki spokój na Janka twarzy?

Czemu sam z sobą teraz nie gwarzy?
Wkońcu się czując zdrowszy i żwawszy,
Zniknął, nikogo nie pożegnawszy;
Myślą, że poszedł po żebranie,
I pamięć o nim we dworze ginie.

XVIII.

A on z tłomokiem, z wyniosłą głową,
Wybrał się w podróż ze stumilową.
Miał zapas grosza; lecz się nie lęka,
Że go obedrze zbójcka ręka, —
Bo w Słowiańszczyźnie cześć siwej brodzie.
Zajdzie gdzieś na noc, spocznie w gospodzie,
I gdzie przed świtem, w porannej głuszy,
Dalej w pospieszną podróż wyruszy.

XIX.

W miesiąc od wyjścia, Janek szczęśliwy
Już był na wzgórku rodzinnej niwy;
I jako pielgrzym, kiedy postrzeże
Jerozolimskie najświętsze wieże,
Upada na twarz — jakowaś siła
Janka na ziemię jakby rzuciła.
Zaśmiał się, krzyknął, łyzy słodkie roni:

Otóż i wioska! otóż i oni!

Otóż ja przy nich! otom u celu!

O dobry Boże! o Zbawicielu!...

Podniósł się, spojrzał z twarzą żalowaną:

Gdzie nasza chata? tam drzewa rosną!

Ojciec już umarł, umarła matka...

Ależ brat starszy! ależ gromadka!...

A gdzież kaplica? gdzie chatka stróża?...

Gospoda nowa... a jaka duża!...

Konie się pasą — niedzielna pora,

A gdzież jest biały konik Hrehora?

Musiał go sprzedać — źle zrobił... szkoda!

Żwawy był konik... a krew nie woda...

Skąd się tu wzięły te nowe grusze?

Dawniej nie było — pamiętać muszę:

Tam stała dawniej ponad mogiłą, —

Cóż się tam zawsze ptastwa gnieździło!...

Biedny ja człowiek!... Boże kochany!

Jakież tu zmiany! jakież tu zmiany!

Gdzie stary olszniak! pod samym wjazdem

Kto zrabiał olchę z bocianiem gniazdem?...
 A jakie zboża! patrzeć żałośnie;
 Toż to bywało w człowieka rośnie!...
 Strumień powęzał — błoto na drodze...
 O nieszczęśliwy! co ja znachodzę!
 Gdzież moja wioska, drzewka i strugi?...

Janek się zachwiał — i po raz drugi
 Upadł na ziemię, płacząc boleśnie:
 Och! dusza moja tutaj nie wskrześnie!

XX.

Wszedł do gospody. Tam, jak w niedzielę,
 Już się zebrało narodu wiele.

— Dziewczęta, chłopcy... czy mi się marzy?
 Tu ani jednej znajomej twarzy!...
 Dobrzy wy ludzie! — spyta nieśmiało: —
 Czy wy tutejsi? czy mi się zdało?
 Czy jestem we śnie?

— A waść kto taki?

Poczęły pytać wiejskie chłopaki.

— Jam Janko Skiba — czyż mię nie znacie?
 Mieszkalem niegdyś w końcowej chacie...
 Gdzież moja chata?

— Pijanyś chyba:

W tej wiosce żaden nie mieszkał Skiba.

— Jakto nie mieszkał? — drugi odpowie —
 Słyszę tu żyli dawniej Skibowie,
 Ale wymarli, — pewnie ich niwa,
 Co Skibowszczyzna dziś się nazywa;
 Tam pustoszą dworska.

— Gdzież Szymon Żłoba?

— Ten dawno umarł; synowie oba
 Żyją przy studni, tam, w nowej chacie.
 Otóż i oni, jeżeli znacie.

— Nie znam tych twarzy!... A Piotr Siekiera?

— Ten jeszcze żyje, ale umiera:

Starość nie radość, a śmierć na dziady!

— On był najmłodszy z naszej gromady,

Lubił tańcować! —

Tu śmiech bez miary:

— Co się wam święci, żołnierzu stary?

Toż on, już pewno dziesięć lat minie,

Chodzi na szczudłach po zebraniu!

Janek umilknął, — z pochmurnem czołem,
Kazał dać kwartę, zasiadł za stołem,
I jak swych braci dobrze pamięta.
Pytał o chłopców i o dziewczęta.
Za każdym razem śmiech bez ustanku:
Bo tamci ludzie, rówieśni Janku.
Jedni pomarli, drudzy stąd wyszli,
Nowej gromadzie już ani w myśli;
A z tamtych dziewcząt gromady całej
Dwie stare babki ledwie zostały.
Janek już nie śmie pytać o więcej;
Krew w jego żyłach bije goręcej,
Wychylił czarkę i gorzko duma:
Tu każdy brata, każdy ma kuma,
A on nikogo znaleźć nie może!
— Oj życie, życie! pożał się Boże!

Wtem jeden wieśniak, człek już niemłody
Przyszedł ku niemu z końca gospody:

— Panie żołnierzu! tutaj przy kwarcie,
Muszę pomówić z wami otwarcie.
Czy wy doprawdy tę wioskę znacie?
Czy, jak to mówią, drogi pytacie?
Lecz, jak uważam, znana wam strona,
Znacie nazwiska, znacie imiona.
Czy wy ze Skibów który jesteście?
Czy dawno z wioski?

— Już lat czterdzieście.

Tu młodzież znowu śmiechem wybucha:

— A w Imię Ojca, Syna i Ducha!
Szalony człowiek! jemu się zdało,
Że znajdzie swoją gromadę całą!
Piotr żebrak skacze ze starą Martą!
A dalipanże, popatrzeć warto!
Marta jedyna dzisiaj do płasa!

Tu stary Janek pokręcił wąsa,
Pogłaskał brodę, stuknął w stół lichy,
Że aż skoczyły na nim kielichy,
I krzyknął męskim z Austerlitz głosem:

— Wara mi bluźnić! jam nie młokosem!
Na gorzkie jabłko pogrzmotam plecy,
Kto szydzi z Piotra — to wy kalecy!
On (jeśli wierzyć) na nogę chromie;
U was kalectwo znaczne widomie;

Kalestwo w głowach!... Kto zbluźni Marcie,
To go na rękę wyzwę otwarcie!
To było dziewczę cnotliwe, piękne!
Kto mi zaprzeczy, nic się nie zlekne,
Zbiję dziesięciu!...

Młodzież pobiadła.

— To jakaś sztuka srodze zajadła! —
Pomruknał jeden, a drugi doda:

— Uważasz, kumie! to krew nie woda!
On tak dowodzi — i prawda może,
Że stara Marta to dziewczę hoże...
Niech i tak będzie, jeśli wypada.

Kiedy tak z cicha szepce gromada,
Janek łzę otarł, co w oczach świeci,
Wychylił czarękę:

Dzieci wy, dzieci!

Nie znam was wcale, bo wy nie moi.
Ta wioska dzisiaj inaczej stoi.
Z waszymi dziady dobrze się znałem,
Z waszymi ojcy piłem, hulałem —
Ja do nich pójde... Hej! kto chce złota?
Komu na cmentarz służy ochota,
Niech mi pokaże z odwiecznych śladów,
Gdzie kości waszych ojców i dziadów!
Do nich mł trzeba, do nich i kwita;
Stary znajomy niech ich powita,
Niechaj w ich uszach głos mój zadzwoni —
A Janka Skibę poznają oni!
Do nich mi jeszcze przepić potrzeba.
Hej, gospodarzu! Daj miodu, chleba...
Chleba i soli, tak zwyczaj każe,
Że wszyscy nowych chat gospodarze
Z chleba i soli podarek biorą...
Jam tu do wioski przyszedł dopiero...
A jeśli wszyscy życzliwi ku mnie,
Nowe mieszkania obrali w trumnie,
Pójde z podarkiem — będą mi radzi...
Hej! kto na cmentarz mnie zaprowadzi?

I dwa dukaty ze trzosa miota.
Żaden z gromady nie tknął się złota,
Lecz jeden z włości rzekł, chyląc czarę:
Ja ci pokażę grobowce stare.

Janek, kipiący i odmłodniały,
 Wziął kufel miodu, kufel gorzały,
 I z przewodnikiem, w znane rozdroże,
 Na stary cmentarz spieszy jak może.

EPILOG.

Nocował na cmentarzu, — a kiedy się zbudzi,
 Rozpytywał po wiosce o dawniejszych ludzi;
 Znalazł chorych dwóch starców, których zapamięta,
 I dwie stare niewiasty — dawniejsze dziewczęta.
 Przy nich szukał wytnienia upragnionej chwili,
 Lecz i oni, jak wioska, strasznie się zmienili:

Życie wionęło chłodem do ich starej duszy;
 Jeszcze radzi pogwarzyć — lecz ich nic nie wzruszy;
 Czas wyciska swe piętno i zarówno plami
 Ich serce samolubstwem, jak czoło zmarszczkami.
 Janko, co znał ich dusze w dawniejszym rozkwicie,
 Co się cieszył z początku, że tleje w nich życie,
 Gdy widział, jak ich postać zmienia się i karli,
 Pożałował, że jeszcze i ci nie umarli.

I na zawsze zaniechał wdawać się z żywemi:
 Jego świat, jego wioska, leżą w głębi ziemi!
 Najał chatkę — i codzień, ledwie jutrznia świta,
 On się zrywa z pościeli, o jadło nie pyta,
 Zachodzi do gospody, bierze flaszkę miodu,
 Aby z ludźmi, z którymi żyło się za młodu,
 Przepić na ich grobowcach. — Tak codzień a codzień
 Zawsze go na cmentarzu spotykał przechodzień;
 A płocha kupa dziatwy, co przed starcem znika,
 Nadała mu przezwisko Janka Cmentarnika.

Znano jego sukmanę i barki pochyłe;
 Codzień Janek Cmentarnik idzie na mogiłę,
 Klęka przed jakim krzyżem i miód z kufla chyli:
 W ręce twoje, Hrehory! Pij wesół, Wasyli!
 Czy pamiętasz, Hrehory? tyś był zuch do spółki!
 Służąc do Mszy, jak wino piliśmy z ampułki?
 O! ja ciebie lubilem, nazywałem swoim.
 Nieraz my z tobą, bracie, całą wioskę poim;
 Tyś ostatkiem z bliźnimi podzielić się gotów,
 Ale masz jedną wadę: skoryś do zalotów.
 A kochać, mój Hrehory, powiem rzecz otwartą,

Mężczyznę, czy niewiastę — to niebardzo warto.
Na dwoje babka wróży — w miłości, mój bracie,
Albo zawód dla serca, lub żal po utracie.
Ja przynajmniej nie myślę pokochać na nowo!
Tu Janko machnął ręką i pokiwał głową,
Odszedł i do drugiego grobowca się chyli:
Wasyli! Czy ty słyszysz? Czy ty śpisz, Wasyli?
Ty chciałeś być żołnierzem — zapalonyś nieco;
Ty chciałeś widzieć wojnę, jak to kule lecą!
Wiesz, Wasyli? Ja byłem w hiszpańskiej krainie,
Byłem w Niemczech, w Smoleńsku, wszędy, gdzie
[krew płynie!

Czy ty wiesz? To niestraszno! Leci pułk zuchwalczy,
Wierząc w Boga i wierząc w to, za co się walczy,
Kule zwyczajnie... lecą... no... może zabijają;
Ale tego, kto wrócił z niezłamaną szyją,
Jaką witają cześcią, jakimi krzyżami!
Szkoda!... szkoda, Wasyli, żeś ty nie był z nami!
Przyniosłem miód dla ciebie, — w ręce, mój Wasyli!
Lecz prawda, tyś umarł — Janek sam wychyli.
Nowe czasy nastały! Gdzie skryć się przed zgrają?
Tutaj mię Cmentarnikiem ludzie nazywają!
Bo cóż poradzisz sercu? Ja tu z wami gwarzę;
Mój dom, kościół, gospoda — to wasze cmentarze.
I u mnie w sercu cmentarz, my pokrewne trupy.
Cóż za dziw, że wolimy schodzić się do kupy
Niżli rękę żywego ściskać w bratniej dłoni?
My nie dla nich, Wasyli, i nie dla nas oni!

Tak od grobu do grobu, pijąc, plotąc baśnie,
Janek spłacze się — spłacze — i nakoniec zaśnie;
Na noc wraca do chaty — nazajutrz to samo.
Lecz w rok po śmierci pana, pod cmentarną bramą
Znaleźli z kuflem w ręku już nieżywe ciało,
A miodu ani kropli w kuflu nie zostało;
Nic tedy po szaleńcu młody świat nie wskóra...
Ej ten Janek Cmentarnik — pocieszna figura!

ILLUMINACJA.

WSPOMNIENIE Z DESZCZU.

GAWĘDA LUDOWA.

I.

Nastaly nieskończone jesienne wieczory,
Natura drzemie!
Pochmurniały niebiosy, i deszcz lunął spory
Na suchą ziemię.
Po wilgotnej przestrzeni grzechotka pocztowa
Jęczała płaczem.
Mnie z dumkami obiegła tęsknota grobowa,
Pan Bóg wie za czem!
Jak ten wietrzyk jesienny, co szumi na drzewie,
To w polu krąży,
Tak i myśl rozrzewniona sama siebie nie wie,
Skąd? dokąd dąży?
O minionej przeszłości marzy się coś — marzy
Dumka głęboka;
I czy to kropla deszczu bryzgnęła po twarzy?
Czy to łza z oka?
Zawstydziłem się płaczu, zamknąłem powieki —
Było mi ciemno;
I obraz zapomniany, miniony, daleki
Stanął przedemną.

II.

Dawno, dawno, przed laty, było jak w tej chwili,
Noc, jesień, deszcze;
Tylko wtedy na sercu było jeszcze milej
I raźniej jeszcze.
U moich towarzyszków zamiar się ułożył
Jechać na łowy;
A choć zgoła na strzelca Pan Bóg mnie nie stworzył,
Szedłem gotowy.
Ułożyłem do drogi bez długich wymówek
Wszystko co trzeba:
Wziąłem książkę i lulkę, papier i ołówek,
I kawał chleba.
I wesoło z chichotem puściwszy się w drogę,
Skracamy chwile.
A do lasu, gdzie jedziem — przypomnieć nie mogę,
Dwie czy trzy mile.

Przemokliśmy dc nitki, bo deszcz lał jak z kadzi;
 Broń nasza moknie...
A jacyż my szczęśliwi, jak byliśmy radzi
 Ze światła w oknie!
W chatce gościnny strzelec osuszał nam suknie,
 Sprawił wieczerzę;
A gdy z myśliwskiej flaszki raz i drugi stuknie,
 Gawędził szczerze.
Matka jego, pomimo starości i bólu,
 Postać nielada,
O nieświeskim przepychu, o księciu Karolu,
 Cuda nam gada.
Bo widziała naocznie wszystkie tamte dziwy
 Jeszcze z dziecięcia,
Kiedy Stanisław August, król pan miłościwy,
 Odwiedzał księcia.
Na dzisiejsze wypadki prawie jak umarła,
 Tamtemi pała, —
Jedną swoją powieścią serce mi rozdarła
 I łzę wylała.
Powiastka skromna, prosta z wątku i osnowy,
 Z łez i goryczy;
Powtórzę ją przed wami jej własnymi słowy:
 Słuchaj, kto życzy.

III.

— Ot, co to! Książę Karol, można mówić śmiało,
 Morze miał groszy!
I oko nie widziało, ucho nie słyszało
 Takich rozkoszy.
Żyje stary Lachowicz, Szybicki Bazyli,
 Bukowski szatny:
Ci niechaj wam powiedzą, jak w tę porę żyli,
 Jak był człek płatny.
Co szło ptastwa na kuchnię, co miodu, co wina,
 A co kapeli!
Jakie bywało książę dziwy rozpoczyna,
 Gdy się podchmieli!
Ot wiadomo, z rozkoszy szaleją bogacze,
 Szumią magnaci;
A za to biedny człowiek bolesno zapłacze,
 Gorzko przyplaci.

IV.

Bywało to w drugim roku po mojem zamęściu
(Jak dzisiaj pomnę),
A człowiek zawsze w biedzie i zawsze w nieszczęściu
Wiódł życie skromne.
Z niedolą całe życie łamie się i łamie,
Płacze kryjomu...
Mój mąż służył za stróża tuż przy Słuckiej bramie,
W Arona domu.
W Nieświeżu, święty Karol to feta nielada,
Gości najwięcej;
Trzeciego czy czwartego jakoś listopada,
Patron książęcy.
Mąż pojechał... (nie pomnę), do Słucka, do Naczy...
Aha!... do Klecka;
A Pan Bóg miłosierny udzielić nam raczy
Pociechy z dziecka.
Urodził się syn pierwszy... kubek w kubek po nim,
Jak z nieba spada;
Ksiądz rektor bernardyński ochrzcił go Antonim,
Imieniem dziada.
Złoto — mówię — nie Antoś te późniejsze dzieci,
Schowaj się z niemi!
Dziś spróchniał — może nawet szkieletem nie świeci
W surowej ziemi.
A żyłby może dotąd... Dzień imienin księcia
Wszystko odmieni.
Przyszła ospa — zwyczajna choroba dziecięcia,
Jak raz w jesieni.
No, uważasz jegomość, ospęby nareszcie
Przebył swobodnie;
Ale na święty Karol nakazano w mieście
Palić pochodnie.
Zamek od świec jarzących jak latarnia gore,
Tam bieży tłuszcz; a
A rektor jezuicki pod wieczorną porę
Fajerwerk puszcza.
Na grobli małą szpilkę przy kagańców mnóstwie
Znalazłbyś pono;
A w mieście, jak mówiłam, przy każdym domostwie
Pochodnie płoną.

Słupy przy każdym domu wkopano do ziemi,
Lampa na słupie,
I wszyscy stróże domów siłami wspólnemi
Pracują w kupie.
O biednaż moja głowa! mój słupek nie gore,
Spóźniłam trocha;
Musiałam zakolysać moje dziecko chore,
Mego pieśczocho.
A pamiętam, że była z ulicy na dole
Nasza siedziba.
Stuka tedy do okna z ratusza pacholę,
Aż pękła szyba.
— Hejże strózu! pal światło, jak raczył zalecić
Pan burmistrz miasta!
Nie wiem, czy tulić dziecię, albo ogień świecić —
Biedna niewiasta!
Tam ogniów i tak dosyć, tu chora dziecina —
Boli mię dusza!
Wtem przypada do izby, w plecy mię zacina
Sługa z ratusza.
Wybiegam na ulicę, rozpalam pochodnię,
Wiatr ją zadyma.
Patrzę w okno — tam dziecię drętwieje i chłodnie
Tuż przed oczyma.
I krzyczy w niebogłoso, czernieje jak sadza,
Serce się kroi:
Chcesz pobiec — ale tutaj ratuszowa władza
Nad karkiem stoi.
Rozdmuchiwałam pochodnię, a wicher ją gasi,
Mój słupek w ciemnie!
Pacholek grzmoce w plecy, a stróżowie nasi
Śmieją się ze mnie!
Ich kagańce goreją, a mój ciągle gaśnie!...
Ze łzą goryczy
Rozpaliłam kaganiec — a mój chłopak właśnie
Najmocniej krzyczy.
Wiatr przez rozbitą szybę zawiał do kołyski
Mojego zucha —
Śmierć z wiatrem naleciała, bierze go w uściski
A matka słucha!...
Ale nie może spieszyc bo tu ogień gaśnie,
Pacholek strzeże...

O dwunastej godzinie dały z arnat właśnie
 Zamkowe wieże.
 Tam wykrzyka wiwaty i chyli węgrzyna
 Gości gromadka;
 A tu ogień rozpala, oplakując syna,
 Zbolała matka.
 Z zamku przywożą beczki trojniaku starego
 I wina stare,
 I sławetni mieszczanie aż pod ratusz biega
 Wychylić czarę.
 A kiedy wszyscy krzyczą: Vivat mości książę,
 W sukcesów drodze!
 Ja do mojej -dzieciny, do kolebki dążę...
 Trupa znachodzę!
 A nazajutrz, gdy każdy imieniny księcia
 Wspominał szczerze,
 Ja niosłam na mogilnik trumienkę dziecięcia,
 Mówiąc pacierze.
 I długo, długo jeszcze dusza zapamięta
 Te huki całe:
 Żółtą jak wosk twarzyczkę i żółte rączęta,
 W krzyku skostniałe.
 Umarł... tak już sądzono — nie zaś z czyjej winy,
 Broń Panie Boże!
 Ale huczne przed laty były imieniny
 W nieświeskim dworze.

1856. Borejkwoszczyzna.

KRÓLEWSCY LUTNIŚCI.

OBRAZEK Z PRZESZŁOŚCI.

Interdum speciosa locis morataque recte
 Fabula... valdius oblectat... meliusque moratur
 Quam versus inopes rerum nugaeque canorae.

Horacjusz.

Zygmunt August, monarcha wślawiony,
 Mąż Barbary, co Litwa dlań miła,
 Chcąc odetchnąć po trudach korony,
 Jechał w Litwę do księcia Radziwiła.
 Dumą polskich biskupów i panów,
 Gwarem szlachty znękany zbyt srodze,
 Milem okiem powitał Kojdanów,

Słodko wytchnął po trudach i drodze.
Tu bez służb, bez poddańczej obłudy,
Przyjął króla pokrewny — druh stary,
Starszy brat ubóstwianej Barbary,
Książ Radziwiłł — co zwany był Rudy,
Chociaż brodę miał jasną jak złoto, —
Wzrok spuszczone, ściśnięte miał usta.
Był dla króla z litewską szczerotą,
Czcil i kochał Zygmunta Augusta;
Czuł Radziwiłł, że dzięki królowi,
Na swej Litwie, jak zechce, tak zagra;
A że i głos rodzinny coś mówi,
Kochał w królu monarchę i szwagra.
Kornie spotkał na progach i w sali.
Kornie spełniał królewskie wiwaty;
Lecz gdy dwór się na stronę oddali.
Kiedy poszli w wewnętrzne komnaty,

Toż to rzewnie ścisnęły się ręce!
Zapłakali monarcha i książę;
Za nic godła królewskie, książęce,
Jedno rzewne uczucie ich wiąże.

Przed upływem miesiąca nie dalej
Ich łączyły braterskie ogniwa;
Na książęcia z zazdrością patrzali,
Dusza króla tak była szczęśliwa!

Zygmunt widział w królewskim zaszczycie
I już wolną od wrzasków potwarzy
Cud-niewiastę, o której wciąż marzy,
Ubóstwianą, kochaną nad życie.
Już przed ludźmi pieszczona jej ręka
Szyję króla oplotła, jak męża;
Przed Barbarą sejm polski ukłeka,
Święta miłość już wrogów zwycięża.
W gwarnej szlachcie, w senatu obradzie,
W cześć Barbary podają się wnioski.
Wielki prymas koronny, Dzierzgowski,
Na jej głowę koronę już kładzie.
Lube szczęście, jak motyl skrzydlaty,
Przed oczyma Zygmunta migoce...
I znów, królu, twe życie sieroce!
Ponad trumną obliczaj twe straty.
Lubych oczu już zgasły zapaly,

Już tam goszczą robacy zuchwali;
Słodkie usta, co k'tobie się śmiały,
Których jeszcze całunek się pali,
Słowa kocham już więcej nie rzeką;
Już twe szczęście daleko, daleko!
Nie przytulisz do piersi tej głowy,
Co jedynie o tobie marzyła;
Twoja luba z mogiły surowej
Pożegnanie ostatnie przysyła.

Wnet zrozumiał Radziwiłł żal króla,
Przypomnienie bolesne, jak ostrze,
Jego serce przeszywa, rozczula,
I zapłakał Mikołaj po siostrze.

— Strata — jęknął król Zygmunt — och, strata!
I mnie, księżę, i ciebie tak boli!
Łza małżonka i szczerą łza brata
Niech przynajmniej się w jedno zespoli!

I odeszli obadwaj w głąb sali,
Zasmuceni w jednakiej żałobie;
Długo, długo wzdychali, szeptali,
Król coś mówił o zmarłej, o sobie...
I nieprędko już byłby przestanek,
Lecz kniaź znudził królewskie rozpaczę:
Bo inaczej mąż wierny, kochanek,
A inaczej po siostrze brat płacze.

— Królu — rzecze — miłościw nasz panie!
Dajmy folgę boleści, płaczowi;
Wszak umarły z mogiły nie wstanie,
Boleść sama się w sercu odnowi.
Wszakże, królu, Opatrzność niebieska
Po zmartwieniach nam ulgę przysyła.
Wiem, że Wasza Dostojność Królewska
Dźwięk muzyki dawniej lubiła:
Dworskie Włochy, królewskie śpiewaki
Współ z dworem przybyły w te strony;
Niechże dadzą swej sztuki oznaki,
Niech pocieszą duch króla strapiony.

— Dobrze mówisz, mój księżę! — król rzecze —
Niech muzyka zagrzmi wspaniale;
Ona serce ucisza człowiecze,
Jak Arjon uciszał wód fale.
Niech tu przyjdą nadworni lutniści,

Ich głos miły był niegdyś Barbarze...
Gędzba może w uroczym rozgwarze,
Naszą duszę od zwątpień oczyści!
Wiem, że ona tęsknotę odgania,
Mam nielada lutnistów na dworze,
Kędy jadę za sobą ich wożę;

Alem dawno nie słyszał ich grania.
Popróbujmy — a może się uda
O nieszczęściu zapomnieć minionem.
Przywołajcie Bekwarka z Klabonem!
Niech muzyka pokaże swe cuda!

I na krześle obitem bogato
Zasiadł Zygmunt dać ucho piosence,
I na stole zasłanym makatą
Oparł rękę, a czoło na rękę.
Weszli tedy dwaj mistrze kapeli,
Na królewskie skinienie gotowi,
I oddali pokłony królowi,
I opodal z lutniami stanęli.
Taktem męskim, bojowym a skorym,
Pierwszy w struny Klabonus uderzy,
Który później pod chrobrym Batoryn
Wyśpiewywał potyczki rycerzy,
Co w muzykę ubierał i stroił
Kochanowskich łacińskie kameny,
Pieśnią twardą, jak chrzest karaceny,
Nieraz chrobrych rozkosznie upoił.

Energiczne a męskie wyrazy,
Jak grad z piersi sypnęły śpiewaczej,
Załoskotał po strunach trzy razy,
Zmieniał takty... inaczej... inaczej,
I przygrywka do pieśni gotowa,
I przy lutni zaśpiewał w te słowa:

PIEŚŃ KLABONA.

Na niebiosach we dwie chmury
Zahrukotał grzmot ponury,
A na ziemi huf podwójny
Porozwijał godła wojny.
I dwie groźne mężów siły

Czołem na się uderzyły,
Ramie w ramie — broń dobyta.
Po pancerzach pałasz zgrzyta;
Już się ściele trupem niwa,
Bardysz piersi rozkoływa,
Setnym jękiem ryczą usta,
Krew jak deszczem ziemię chlusta.
Trąba zgrzyta, działo grzmoce,
Mars zdobywa swe owoce.

Znów się hufce rozdzieliły,
Znów się zbiegły z całej siły,
I odżyła walka krwawa,
Dym się kłębi i kurzawa,
A z kurzawy bojowiska
Tysiąc stałnych żądał błyska,
Tysiąc wrzasków kipi gwarnie,
Że i ucho nie ogarnie.

Lecz gwar ciszej, ciszej gada,
I powoli kurz osiada,
Dym ku niebu pobiegł śmiało,
Bojowisko rozwidniało.
Zwycięzeni trupem leżą
Lub w niewolę wzięci świeżo,
A zwycięzca, rad ze żniwa,
Imię wodza wykrzykiwa.

Na rumaku, jak śnieg białym,
Z okiem jasnym i wspaniałym,
Z głową w wieńcach, w złotej zbroi,
Tryumfator szyki stroi,
I przemawia do swej rzeszy,
I w rodzinne miasto spieszy,
By wawrzyny, co wziął w polu,
Nieść na ołtarz Kapitolu.

.

Zygmunt skinął, uciszył Klabona:
Dosyć — rzecze — dziękuję za pieśnię!
Pieśnią rzymską, bogatą, uczoną,
Lecz mi zawsze na sercu boleśnie.
Nie trafileś do celu, Klabonie,
Choć się bitwę opiewać udało!

Bo kto walkę odprawia w swem łonie,
 Walk rycerskich dla niego za mało.
 Wojną trafiać do serca, co boli,
 Złe, śpiewaku, wybrałeś narzędzie!
 W państwach naszych, gdy niebo pozwoli,
 Jeszcze wojny tak prędko nie będzie!
 My pragniemy braterskich sojuszy,
 Dla spokoju tych krajów, dla wzrostu.
 Ja chcę pieśni rzewniejszej, co z duszy,
 Co do duszy przemawia po prostu!
 Ej, Bekwarku, lutnisto nasz miły!
 Ty, jak tuszę, ugodzisz w to snadno,
 By się dźwięki o serce odbiły,
 Aż nam chmury z nad czoła opadną!
 Więc Klabonus zawstydzon umilka,
 Bekwark zasię swe struny kołysa.
 Trącił w struny... wywołał brzmień kilka...
 Piosenka drżała rozkosznie a z cicha.
 Takt za taktem, a słowo po słowie,
 Czuleś ciepło i życie w tem tętnie,
 Niby wietrzyk zaszumiał w dąbrowie,
 Albo serce westchnęło namiętnie, —
 I przygrywka do pieśni gotowa,
 I przy lutni zaśpiewał w te słowa:

PIEŚŃ BEKWARKA.

Nad mirtowe wonne gaje
 Pozłocisty księżyc wstaje
 I ułudne światła fale
 Porozrzucił okazale.
 Rzewny słowik w gęstej knieje
 Szczebiotliwe tony leje,
 Śpiewa pieśnię miłowania
 I tęskliwą myśl odgania.
 Ciepły wietrzyk piersi wzdyma, —
 Pierś człowiecza nie wytrzyma.
 Musi westchnąć z całą siłą,
 Tam, gdzie sercu jęgo miło.
 Gdy zarzuci noc opone,
 Jego serce rozmarzone

Z wiatrem lecieć chce od ziemi,
 Puka takty słowiczemi,
 Rzewną pojąc się tęsknotką,
 W lubym dreszczu mdleje słodko.

Z cieniów mirtu i oliwy
 Dolatuje odgłos tkliwy:
 Arkadyjskich dziecko dolin,
 Młodzian piękny, jak Apollin,
 Dłoń dziewczęcą dzierżąc w dłoni,
 Pieszczotliwie szepce do niej.

.
 Ona rada i nierada,
 Słodkim głosem odpowiada,
 To ze szczęścia westchnie z cicha,
 To młodzieńczą dłoń odpycha,
 To trwożliwie, to znów czulej
 Ku ramieniu głowę tuli.
 Jej opona lśni się biała,
 A źrenica iskrą pała,
 A jej oddech ciepłem wionie,
 A jej serce kipi w łonie.
 I dwa serca słyhać zdala,
 Niby jedna źródła fala,
 Biją prędko, jednakowo...
 Kocham!... kocham!... jedno słowo
 Z ust obojga wyleciało.
 A Kupido ze swą strzałą,
 Ze swym łukiem i kołczany,
 Z poza mirtów niewidziany,
 Z lubym śmiechem, w liści gwarze.
 Przyklaskiwa młodej parze.

— Dość! — zawołał król Zygmunt niechętno
 Żle wybrałeś twój przedmiot, nieboże:
 Twojej pieśni, co życia gra tętno,
 Anakreon zazdrościłby może;
 Ale mnie, co na sercu żal noszę,
 Taka pieśń — to tylko lży wzmaga.
 Piać przedemną miłości rozkosze,
 To zniewaga, Bekwarku!... zniewaga!
 Znieważyleś majestat monarszy,

Boś się z jego urągał boleści.
Czy myślałeś, że serce rozdarłszy,
Balsam pieśni ma duszę rozpieści?...
Idźcie sobie! gdy wasza pieśń taka,
Nie chcę słuchać miłości i wojny!
Czyż na dworze już niema śpiewaka,
Który w sposób życzliwy, przystojny,
Da mi ulgę w tęsknocie, jak z nieba,
Ciężki kamień z mej piersi pokruszy,
Wyrozumie, co sercu potrzeba
I zadosyć uczyni mej duszy?

— Królu! — rzecze z ukłonem Radziwiłł —
Próżno żądać rzewności od Włocha!
Oni pragną, by słuchacz się dziwił,
Serc litewskich nie znają ni trocha,
Na domowe cierpienia i bole
Pieśń domowa najlepiej przystoi.
Jest tu u mnie na dworze pacholę,
W ukraińskiej zdrojzone wsi mojej;
Gra na starym słowiańskim torbanie;
Różne pieśni wywodzi kozacze,
Że mi nieraz łza w oczach postanie;
A wiesz, królu — ja snadno nie płacę!
Pieśń niżowa, czy dumka litewska
W jego uściech odżywa inaczej.
Może Wasza Dostojność Królewska
Prostakowi swój posłuch dać raczy?

— Niechaj przyjdzie — rzekł Zygmunt — niech
Przywołano pacholę do sali; [przyjdzie!
Zapłonione, w nieśmiałym zawstydzie,
Skłoniło się — stanęło w oddali.
Na skinienie książęcia i króla,
Torban zabrzmiał początek rozgłośny —
Zda się w polu stepowy wiatr hula,
Szumią jodły litewskie i sosny,
Wyją w Tatrach pioruny i burze, —
I przygrywka do pieśni gotowa,
Młody wieśniak wzniosł oczy ku górze,
Przy torbanie zaśpiewał w te słowa:

PIEŚŃ TORBANISTY.

— Czy ty orle jasnopióry
Siedzisz na kurhanie?
Zasepiłeś wzrok ponury,
Jak słońko w tumanie?
Twoje piersi, twoje silne,
Jakbyś skuł niewolą,
Jakieś dumki zamogilne
W twojej głowie bołą.
Hej, młodzieńcze, hej, ochoczy!
Czego tęsknisz z cicha?
Zasepiłeś jasne oczy,
Że łza nie wysycha.
Twoje dumki, twe sieroce,
Dumas w każdą chwilę,
Na mogile spędzasz noce
I dni na mogile!
Orzeł mówi: Bym się cieszył,
Czyż wy tego chcecie?
Mnie orlicę strzelec przeszył,
A ja sam na świecie!
Młodzian mówi: Co ja roję,
Ani'm wyznać w sile;
Moja luba, dziewczę moje
W ciemnej śpi mogile!
— Och, nie dumaj tak głęboko,
Orle jasnopióry!
Och, młodzieńcze, otrzyj oko,
Spędź z nad czoła chmury!
Kto wywyższon nad drugimi,
Kto ma orlą postać,
Choć mu tęskno na tej ziemi,
Musi orłem zostać.
Bo któż wzleci tak wysoko
Dla powietrznych straży?
Któż ze słońcem oko w oko
Spotkać się odważy?
Kto skrzydłami mgłę rozwieje?
Kto się w chmurę wgłębi?
Kto obroni ptactwo z knieje
Od szponów jastrzębi?

Hej, młodzianie! nie płacz dłużej,
 Choć ci żyć mozolno!
 Póki młodość święta służy,
 Marnieć ci niewolno!
 Bo od kogoż matka stara
 Weźmie dług synowski?
 Kto obroni od Tatara
 Chaty naszej wioski?
 Kto napasie twoje woły?
 Kto ci zeźnie zboże?
 Zwiezie snopki do stodoły?
 Kto ci grunt zaorze?
 Twoja luba nie w mogile,
 Lecz wysoko w niebie:
 Ona będzie tam co chwilę
 Modlić się za ciebie.
 Gdy się znużysz w dzień upalny
 Lub na mroźnym wietrze,
 Ona, jak duch niewidzialny,
 Z czoła pot obetrze.
 Orle, sprawiaj ptasze stada!
 Wiosce służ, młodzianie!
 Na tęsknotę jedna rada:
 Trud i bojowanie!
 Orzeł z piórek kurz otrzepie,
 Młodzian pancerz bierze;
 Orzeł w chmurach, młodzian w stepie
 Bojowali szczerze.
 Trud niemały, plon niemały,
 Odżyli na nowo;
 Teraz świeci słońce chwały
 Nad obudwu głową.

*

*

*

— Dzięki tobie, chłopaku, o dzięki!
 Dzięki tobie, piosenko rodzona! —
 Mówił Zygmunt, twarz tuląc do ręki.
 Drugą rękę przycisnął do łona —
 Ty mi ulgę przyniosłeś, jak z nieba.
 Ciężki kamień na sercu się kruszy:
 Tyś zrozumiał co sercu potrzeba.
 Tyś uczynił zadosyć mej duszy.

Takiej pieśni, jak świętej modlitwy
 Dobrze słowa skutkować powinny;
 Bo zaprawdę! król Polski, książę Litwy,
 Nie ma prawa rozpaczać bezczynny.
 Jedźmy słodzić tęsknotę mogilną,
 Ciężkiej pracy dźwigając brzemiona;
 Jedźmy, książę! tam Kraków, tam Wilno,
 Wielka ziemia monarchy stęskniona.
 A gdy trudy i prace bez miary
 Znużą siły na niwie ojczystej,
 Może z niebios dłoń lubej Barbary
 Z mego czoła pot otrze kroplisty.

I odgarnął włos jasny na czole,
 Tam już było pogodnie i jasno;
 Zdziwione pogląda pacholę,
 Nad piosenką zdumiewa się własną;
 Nie pojmuje skąd taka odmiana
 Królewskiego pięknego oblicza?
 A król hojnie nagrodził młodziana,
 Kiesę złota za piosnkę wylicza.
 Książę Radziwiłł weselej, ogniściej,
 Tryumfalniej poglądał po sali.
 Tylko Bekwark z Klabonem, lutniści,
 Coś szyderczo do siebie szeptali.

10 października 1856. Borejkowszczyzna.

NOCLEG HETMAŃSKI.

GAWĘDA NA TLE HISTORYCZNEM.

„Wszakóż czasu wojny siła zależy na onej rozumnej
 śmiałości, która z wielkiego serca pochodząc a wykorze-
 niając z człowieka przyrodzone doległości i myśli stros-
 kane, tak go umocnić może, iż nie tylko się nie lękać
 niebezpieczeństwa, ale go sobie ani kęs ważyć nie będzie.”

Górnicki — Dworzanin.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

I.

Było to dawno — lat temu ze trzysta,
 Za świetnych czasów Zygmunta Augusta,
 Gdy pięknie kwitła ziemia macierzysta,

A w niej nauka, cnota i rozpusta,
I brzydki zbytek, i nędza, jej dziecię,
Słabość, co sile służy za narzędzie:
Słowem, to wszystko, co na całym świecie
Po wszystkie wieki bywało i będzie.

II.

Zimowych wichrów niedobra swawola
Ciężkiem śnieżyskiem osypała pola;
W lasach ucichła ptaszęca pogłoska,
Ciężą w ich gniazdach lodowate bryły;
Zielona jodła, leszczyna i brzoza
Każdą gałązkę śniegiem ubieliły;
Opadły z liśćmi rozkoszne ich cienie,
A srogi wicher urąga się jeszcze,
W zlodowaciałe gałęzie szeleszcze
I wywołują płaczliwe jęczenie.
Lecz nikt nie słyszy, gdzie się skarga miota,
Bo w okolicy pustka i głuchota;
A choć dym z wioski zwija się po lesie,
Tam wiatr żałosnych jęków nie doniesie.

III.

Na pustem poiu, gdzie kończy się ścianka,
Samotna chata stała, jak wygnanka.
Dach jej podparty, śniegiem przygnieciony,
Ściany pochyłe, pobite okienka;
A przy ogródku dwa zamarłe klony
I stara grusza boleściwie stęka;
Stara stodoła, obora, dwa śpichrze,
Z dachem ze starej i podartej słomy;
A wszystko nędza, jak duch niewidomy,
Pookrywała w łachmany najlichsze.
Smutnie coś sterczy przy pochyłej ścianie
Żóraw od studni i gniazdo bocianie.
Pochyły krzyżyk z łacińskimi słowy
Oszkliła lodem, zaśnieżyła zima.
W tej starej chacie żył szlachcic Sulima,
Nad pańskim lasem odwieczny gajowy.
I wewnątrz chatki niewielkie dostatki:
Na czarnej ścianie gromnica się bieli,
Kraśnieje obraz Przenajświętszej Matki
I sucha palma od Kwietniej Niedzieli;

Srebrzy się kilka cynowych talerzy,
Topór i oszczep polyska się rdzawy,
Przy ścianie ławy i stół wedle ławy,
Na stole obrus bieluchny i świeży,
Na nim, folgując zwyczajowi gwoli,
Bochenek chleba i naczynie soli.
Przez wąskie okna chmurny dzień zimowy
Szara żrenicą patrzy do chałupy;
Po kątach cienie, jak grobowe słupy,
Coraz to śmielej wyciągają głowy,
Coraz to skrzydła rozpuszczają szerzej,
Jak czarne błony nocnych nietoperzy.
W chatce ruchawo: z szerokiej łuczywy
Strużą szabelki dwaj chłopacy młodzi;
Przy oknie starzec, pochyły a siwy,
Pobożne pieśni z psalterza wywodzi;
Przy drugim oknie jego piosnkę dzieli
Młoda niewiasta, siedząc przy kądzieli.

IV.

Zmrok coraz gęstszy po komnacie pada,
Już się skończyło śpiewanie i praca,
Młoda niewiasta trwożliwie powiada:

Co to jest, dzieci, że ojciec nie wraca?
Wyszedł na chwilę zapolować w borze,
A tu już mija niejedna godzina,
Zachodzi słońce i ciemnieć poczyną,
I brzydka zamieć wszczyną się na dworze.

Nie bój się córko — starzec jej odpowie, —
To nie pierwszyna dla takiego czleka;
Gdzieś może sarnę obsadził w parowie,
Albo na lisa przy zapadni czeka.
Hej, hej, za młodu i ja to umiałem
Nocować w lesie nad ostępu smugą,
Albo, łowieckim uniesiony szalem,
Odsadzić z domu za milę, za drugą.
I syn mój nieraz, choć dziecina młoda,
Placu dotrzymał wśród najtęższej zimy;
Bo w naszym rodzie płynie krew nie woda,
Z pustemi torby wracać nie lubimy.
Jak świat pamięta, w odwiecznej kolei,
My tu niejedną deptaliśmy ścieżką:
Syn mój Żegota, a twój mąż, Agnieszko,

To szósty z rodu gajowy w tej kniei.
Lat już ze dwieście, chwalić Pana Boga,
Domowi Kiszków niesiemy usługi,
Szlachtaśmy z wieków, choć nędzna, uboga,
Lecz herb Sulima nie gorszy niż drugi.
I o tem wiedzieć powinnaś zawczasu,
Jaka jest nasza ustawa rodzinna:
Że kiedy głodni powracamy z lasu,
Misa na stole dymić się powinna,
I flasza z winem, miodem i gorzałą,
Wedle ochoty, albo na co stało.

V.

Tak z uroczystem pokiwaniem głowy,
Składając psalterz na szczerbionej balce,
Stary Sulima mówił do synowej,
Z czego się śmieli serdecznie dwaj malce.
Jeden z nich mówił, pocieszając szczerze:

Ej, matko, matko! nie frasuj się, proszę,
A ja wam drzewa i wody nanoszę,
Rozpalim ogień, zgotuję wieczerzę;
Gdy ojciec wróci i opończę zdejmie,
I łuk, i oszczep powiesi na ścianie,
Toż będzie wesół i wdzięczen uprzejmie,
Kiedy wieczerzę gotową zastanie!

Matka chłopczyńę pogłaskała rada:

— Przynieś mi, chłopcze, wodę i polanka.
Nie prawdaż, ojczu, że zuch będzie z Janka?
Że będzie z niego gospodarz nielada?

Drugi chłopczyńa, który dotąd milczy,
Rzekł: Ja wam ojca przyprowadzić muszę,
Tam za rzeczulką, gdzie wioskowe grusze,
Wiem jedno miejsce, kędy przesmyk wilczy.
Pewnie tam ojciec, za drzewem schowany,
Ze swym oszczepem czeka na bestyę.
Dajcie mi, dziadku, maczugę ze ściany,
Jak spotkam wilka to mu łeb rozbiję!

Dziad się uśmiechnął twarzą i oczyma,
Małego zucha całuje i głaska:

Hoduj się, chłopcze! jeśli Boża łaska,
Ty będziesz dzielny Hrehory Sulima!
Może zostaniesz, jak twoi przodkowie,
Może twój oszczep na prawdę dobodzie

Tatara w stepie, a dzika w parowie,
A Niemca w jego murowanym grodzie;
Gdy my lat tyle gnuśniejemy w lesie,
Ty może pójdziesz na kraju usługę.
Bóg cię błogosław! gdy ci pilno chce się,
Biegaj do lasu, bierz moją maczugę,
Wyszukaj ojca w ostępowej głuszy
I wilka tutaj przyprowadź za uszy.
— Ach! — przerwie matka — a bójcie się Boga!
Gdzież to mu latać, po śniegu, po nocy?

Ale Hrehory nie słyszał u proga,
Porwał maczugę i ruszył, jak z procy.
Tylko przed oknem zatętniwszy żywo,
Zakolędował piosenkę myśliwą.

VI.

Tymczasem matka, przy pomocy Janka,
Przystawia wodę i ognisko nieci;
Dziad zasiadł stare naprawować sieci,
Bo szedł na rybę jutrzejszego ranka.
Tylko coś płomień leniwie się bierze,
Wiatr go zadyma od chwili do chwili,
Huczy w kominie żałością i kwili,
Jak dusza z czyśca prosząc o pacierze;
A wieczór ciemniej i ciemniej koleją
Zakrywa szyby swoją szarą dłońią,
A płachty śniegu po szybach się kleją,
A bryły lodu po okienkach dzwonią.

VII.

Wtem słysząc z dala — zaskrzypiały wrotka,
I psów myśliwych zrywa się gromada,
To szczerym piskiem domowego spotka,
To gniewnym głosem na obcych ujada;
I na podwórku słysząc tuż przy ścianie
Tętnienie koni i ludzi gadanie.

VIII.

Stuknięto w rygle — i drzwi pochylone
Skrzypnęły z trzaskiem, jakby od wyłomu,
Ostatni mieszkańce cofnęli się w stronę:
Gość niebysza zjawił się do domu.
Zawiany śniegiem, w bogatej niedźwiedzi,
W sobolej czapce, zjawił się pan stary:
Złociste klamry u jego czamary,

Jakich wieśniacy nie widzieli biedni;
A w jego rękę pozłocista spisa,
A biała broda na piersi mu zwisa.

IX.

Za starym panem dwaj młodzi panowie.
O ile ciemność rozeznąć pozwoli,
W krótszych czamarach z kosztownych sohołi
I z blaszanemi czapkami na głowie.
Wszedł i Sulima, tutejszy gajowy,
Z trąbką przez plecy, z oszczepem we dłoni;
Zaprasza panów uprzejmemi słowy,
I uniżenie każdemu się skłoni:

Ot moja chata, miłościwe pany!
Choć ciasna, ciemna i ubóstwem świeci,
Lecz zawsze lepsze jakiegokolwiek ściany
Niż kryta puszcza wśród śnieżnej zamieci.

Pan zdjął swój kołpak i rękę mu poda.
I sute klamry swej szuby odpina:

Miła mi — rzecze — takowa przygoda,
I wielce wdzięczna uprzejmość waścina.
Co do wygody... ho! jam żołnierz stary,
Wiem, co są w polu zamiecie zimowe.
Gdy zasnąć pilno, nie trzeba kotary,
Burka za pościel, a siodło pod głowę.
U mnie w obozie — a broń Panie Boże! —
Miększy spoczynek nie ujdzie na sucho:
Sarmacki żołnierz tylko zasnąć może
Na jedno oko i na jedno ucho.
Oczu i uszu nie zakrywać dłońią,
Bo trzeba słyszeć, jak w trąbę zadzwonią.
Czy prawdę mówię, mnie wielce łaskawy
Regimentarzu koronnej buławy?

Drugi pan nisko skłonił się i powie:

Za to śpią smaczno i miasta, i wioski;
Wiedzą, że czuwa, pilnując ich zdrowie,
Hetman koronny, waleczny Tarnowski.
Czuwaj nam wieki, a nikogo z ludzi
Tatar swym wrzaskiem ze snu nie obudzi!

X.

Na głośnie imię wielkiego hetmana
Wstecz się cofnęła domowa gromadka,
Starzec Sulima przypadł na kolana

I z siwej rzęsy łzę otarł z ukradka.
 Młody syn jego, tutejszy gajowy,
 Cofnął się k'ścianie i stanął z daleka,
 Jako na straży żołnierz szeregowy,
 Gdy hetmańskiego rozkazania czeka,
 W kąś się cofnęła strwożona małżonka,
 Tylko do pana zbliżył się Hrehory
 I w jego szablę poufale brząka.

XI.

Lecz już panowie zrzucili swe szuby,
 Błyszczą w zbroicach, z bohaterską twarzą.
 Gospodarz, pełen obawy i chluby,
 Pyta się gości, czem służyć rozkażą?
 — Krom twego serca a uprzejmej woli,
 Już nam inakszej służby nie potrzeba;
 Daj nam bochenek razowego chleba
 I szarą szczyptę potłuczonej soli.
 Żołnierskie dzieci, ja i ci ichmoście,
 Tośmy na takie specyały mistrze;
 A flaszka wina, co na Węgrzech roście,
 Jeszcze się znajdzie w żołnierskim tornistrze.
 Na wiązce siana albo na wiszarze
 Odprawim sobie wypoczynek krótki.
 Niechaj trębaczom pan rotmistrz rozkaże
 O pierwszych kurach zagrać do pobudki.
 Niech towarzysze i żołdacy luźni
 Opatrzą konie, czyli wszystkie zdrowe?
 A który zgubił lub stępił podkowę,
 Niech go opatrzą w chorągiewnej kuźni;
 Niechaj żołnierstwo od wioskowych ludzi
 Nic nie wymaga, ni prośbą, ni siłą.
 Zamknąć gospodę, nim się dzień rozbudzi,
 By tam hulanki i waśni nie było.

XII.

Takie pan hetman dawszy rozkazania,
 Trzy razy ręką uderzył po stole.
 Wódz chorągiewny pokornie się kłania
 I wyszedł na wieś spełnić jego wolę.
 Tarnowski został wraz z regimentarzem;
 Słudzy przynieśli posiłek i wina.
 Jeszcze niespełna upływa godzina,

Hetman brat za brat zna się z gospodarzem;
Każdemu słówko serdeczne powiedział.
I kubek wina posilnego nalał.
Zataił się pana i nędzarza przedział.
Tarnowski wszystkich z sobą spoufalał,
Wszystkich ośmielał, teje samej pory;
Kocha go cała gajowego chatka:
I dziad sędziwy, i ojciec, i matka,
Trwożliwy Janek i dzielny Hrehory.

XIII.

Na skromną pościel dla dostojnych gości
Wiązkę murogu posłano na ziemi;
Służba hetmańska wezgłowia namości,
Zaściela siano skóry lamparciami;
A gospodarstwo — w pobocznej komorze
Do snu błogiego mieści się, jak może.
A gdy sen wszystkie ukołysał głowy
Miłem znużeniem pracy i podróży,
Hetman śnił wojnę i rozgwar sejmowy,
Miłą ojczyznę, której wiernie służy;
Pan regimentarz hetmańską buławę,
Lub może taniec tatarskiego harca;
A wszyscy chatni, od dziecka do starca.
Śnili hetmana przyjęcie łaskawe.

XIV.

Czy to w pokoju, czy to podczas bitwy,
O pierwszych kurach na pobudkę grano.
Hetman z pościeli ocykał się rano
I rozpoczynał żołnierskie modlitwy.
Wiedział: skąd siła bojowania czerstwa?
Jak mocna wiara zastępy rozbija?
Znał, że jest wodzem polskiego rycerstwa,
Którego hasłem Jezus i Marya.
A że najsilniej sprawiedliwość święta
Wojsko od gniewu Bożego zasłania,
Więc baczny hetman codziennie pamięta
Czynić swe sądy, dawać posłuchania.
Czy to w namiocie, czy w spokojnej chwili,
Każdego ranka ma tłumny zbiór gości;
A kto hetmańskie podwoje uchyli,
Już nie odejdzie bez sprawiedliwości.

Jak dobry ojciec, nie lęka się pracy,
Każdego wpuszczać po kolei każe:
I pułkownicy, i regimentarze,
I chorążowie, i prości żołdacy,
Każdy, kto przyszedł, nie będzie poślednim,
Może swą sprawę wypowiadać przed nim.
Ale najpierwej, najuprzejmiej spotka,
Kto mu się widzi najbiedniejszym z rzeszy,
Płaczącą wdowę, skrzywdzonego kmiotka
Sprawiedliwemi wyroki pocieszy.

XV.

Biada, kto skrzywdził, kto zasiał niesnaski!
Zaraz najśrodsze ukaranie bierze:
Serce hetmana w jednostajnej mierze
Skłonne wymierzać łaski i niełaski.

Kiedy był srogi, to skry sypie z oka,
Kark się napręża, krew na twarz wypływa,
Gromem wybucha jego pierś szeroka,
Włos mu się jeży, jak gdyby lwia grzywa.
Lecz gdy przybierze oblicze łaskawe,
Tak miłe oczy, tak wdzięczne ma słowa,
Że rzekłbyś, patrząc na jego postawę:
To Anioł z nieba, a nie pan z Tarnowa!

Kiedy był wesół, to celował w żarcie
Między najpierwsze żartowniki dworu;
A kiedy, wedle pańskiego humoru,
Używał gestów na swych słów poparcie,
Ręką i głosem udawał tak składnie
Postać, i ruchy, i mowę swych osób,
Że kto usłyszy, od śmiechu się kładnie; —
Że podziwieniu odjąć się nie sposób,
Jak w jednym człeku Bóg tyle rozdmucha
Rozumu, serca i swobody ducha?

XVI.

Znowu na hasło surmy uderzyły
Po wszystkich wioskach, gdzie wojskowe leże;
Snem i modlitwą pokrzepiwszy siły,
Znów się rycerstwo do pochodu bierze.
Już świt szarzeje, już widno na drodze,
I las zamglony czernieje z oddali.

Wołają: „Na k o ń!” chorągiewni wodze,
Surmacze pieśnią pochodu zagrali.
Na czele wojska idą przednie straże,
W każdym szeregu po sześć i po cztery;
Każda chorągiew, jak powinność każe,
Wedle hetmańskiej przeciąga kwatery.

XVII.

Pod namiestników i chorążych wodzą,
Stoją husarze, pancerni, łucznicy,
Surmacze grają takt Bogarodzicy,
Rycerze słowa piosenki wywodzą.
Pieśń płynie w niebo z pobożnemi słowy
Błogosławieństwo wyblagać dla broni.
Łoskot oręża i końskiej podkowy
Po śniegu tętni, i chrzęści, i dzwoni.
Tam rumak parska, tam skrzypi kolasa,
Tam wódz z rozkazy wstecz i naprzód hasa,
A trąba zbiera te wszystkie rozgwary
Pod jedne takty i do jednej miary.

XVIII.

Na czele pierwszej wyborowej straży,
Na żrebcach bielszych niż zimowe śniegi,
Idzie chorągiew hetmańska husarzy,
Sam regimentarz wie dzie jej szeregi;
A na chorągwiach nad ich głową pływa
Znamię Tarnowskich, herbowna Leliwa.
Na drugim drzewcu u każdego czleka
Mały proporzyczek z wiatrami się chysta;
Świetne pancerze błyszczą się z daleka,
U ramion skrzydła, lub blacha srebrzysta;
Na jasnym hełmie, albo złota pręga,
Lub końska kita, albo strusie pióro,
Głowa Meduzy patrząca ponuro,
Albo gadzina skrecona jak wstęga;
Przez ramię męża bohatersko zwisa
Skóra lamparta, lwa albo tygrysa.
Poza chorągwią wielkiego hetmana,
Pod różnych panów znakomitą wodzą,
Insze husarskie chorągwie przechodzą.
Owdzie w rumakach, tam w hełmach odmiana,
Albo twarz ludzka odmianę wydaje,

Tam barwą włosów, tam oczu wyrazem;
Bo się pod sztandar zgromadziły razem
Szerokie Rzeczypospolitej kraje.
Barczysty Rusin z ukraińskiej strony,
Co w czarnem oku błyskawicą pała;
Kudłaty Litwin, na siodle schylony,
Cichy, jak skała, i twardy, jak skała;
Dalej koronne, pełne ognia dzieci,
Wielkopolanin i góral tatrzański;
On pierwszy sygnał zrozumie hetmański
I w pierwszy ogień na oślep poleci,
Lecz kiedy skrzydła w podlocie nadłamię,
Radby się oprzeć o litewskie ramię.
Bo gdzie szerokie w. dzierzeniu są kraje,
Tam wedle plemion różne dary Boże;
A czego jednej ziemicy nie staje,
To druga ziemia wynagrodzić może:
I na skinienie wszechmogącej myśli
W jedyną całość zrasta się najściślej,
I jednym sercem oddychać poczyną,
I wspólną dolę, niedolę, nałogi,
Wspólnych przyjaciół i wspólne ma wrogi.

Gdy hetman z okna szykowne husarze
Przejrzał i sprawił wedle swojej chęci,
Idą poślednie Petyhorców strażę,
Z drzewcami włóczeń, tarczmi osłonięci.
Dalej pancerni — jak duchy z pod ziemi,
Ich piersi, głowa i twarz cała w blasze;
Rękami, w łuski żelazne kutemi,
Dzierżą stalowe noże i pałasze.
I na ich koniach zbroica ze stali,
Że patrząc zdala przy promieniach wschodnich,
Takie promienie i blask bije od nich,
Że niby jeździec i rumak się pali.
Dalej piechota — teutońscy mężę,
Co służą wojsku polskiemu za najem,
Zbrojni w oszczepy, miecze i pawęże,
Tarczę do tarczy gdy przycisną wzajem.
Żadnego człeka nie widzisz na oczy,
Lecz mur żelazny, co za wojskiem kroczy.

XIX.

Z okien strzeleckiej zadymionej chaty,
Gdzie świec jarzących paliły się szczęty,
Patrzył na wojsko wódz siwy, brodaty,
Cieszył się orzeł swojemi orlęty:

Szykowna była piechota i jazda...

Rumieniec wyszedł na twarz jego blada,
Zdawał się mówić: Już leć, młode stado,
Bronić od sępów matczynego gniazda!

Któż cię nauczy bojowych podlotów?

Kto zahartuje ostrze twego dziobu?

Krew moją z wami przelewałbym gotów,
Alem ja stary — czas kościom do grobu.

Tak zda się hetman w głębi ducha marzy,
Jeżeli sądzić po spojrzeniu łzawem.

Odgarnął łezkę sobolim rękawem,

Łaskawy uśmiech zagrał mu na twarzy.

XX.

Pańskie spojrzenia miłościwie biega
Wokoło skromnej chaty gajowego;
Lecz nie czekając, aż je pan ośmieli,
Tam wszystkie kąty już weselem brzmiały,
Wszyscy do okien, do drzwi się cisnęli
Zobaczyć wojska pochód okazały.

Starzec Sulima, patryarcha rodu,

Patrzył oparty na okiennej ramie,

Przypomniawszy swoją żołnierzkę za młodu

I wylał łezkę, co uczuć nie kłamię;

Łezka po zmarszczkach toczy się nieśmiało

Na siwe wąsy i twarz ogorzałą.

Gajowy, mając u nóg swoich psiarnię,

Patrzył z boleścią na te lasy cudze,

Jakby się wstydził, że dni tera marnie,

Mogąc ich użyć w ojczystej posłudze.

Błagał spojrzeniem husarskie skrzydłaczę:

Weźcie mnie, bracia, pod wasze proporce,

A ja się jeszcze pocziwie odznaczę

Wpółśród pancernych, między petyhorce!

Uśmiech na twarzy młodej gospodyni,

Nawpół zdziwiony, a nawpół wesół;

A młody Janek, nie wiedząc, co czyni,

Czepiał się trwożnie macierzyńskiej poły.
Mały Hrehory, stojący na dworze,
Nic okrom wojska nie widzi, nie słyszy,
Oczu od hufców oderwać nie może,
Wyciosał kijek w kształcie ich bardyszy;
A gdy obaczył, jak u wrót zagrody
Rumak hetmański kopytami bije,
Żywo skraśniały dziecinne jagody,
I klaskał w ręce, ścisnął go za szyję,
To snopkiem owsa, to garsteczką siana
Pieścił, przynęcał wiernego kasztana.

XXI.

Takie się chłopię hetmanom spodoba.
— Umiesz ty jeździć? — zapytuje zucha.
— Czy umiem jeździć? najłatwiejsza próba!
Koń Bóg wie jaki zaraz mię posłucha.
Czy umiem jeździć? obaczyłbyś wasze,
Jak ja na polu zająca dogonię!
Któż naszą klaczkę prowadzi na paszę?
Któż tu objeżdża ostępy i błonie?
Kiedy ja świsnę, to aż iskry lecą!
Tylko, że klaczka chromieje nam nieco...

Więc hetman wesół skinał na luzaka:
Dajcie mu konia, niechaj nas przekona.
Hrehory spojrział, jakby lotem ptaka
Wskoczył na siodło, poprawił strzemiona,
I naprzód stępo a zwolna przeznawszy,
Z jakim rumakiem przychodzi robota,
Coraz puszczając w pęd żwawszy a żwawszy,
Mistrzowskim kręgiem zawinał u płota.
Choć stracił czapkę, porozwiewał suknie,
Krew polska w sercu zakipiała młodem;
Chciał lecieć dalej — lecz hetman ofuknie:

Waszmość mi konia zmęczysz przed pochodem!

Wieśniak pokraśniał, zeskoczył ze siodła,
Chciał się napięścić z olstrami, z czaprakiem;
Ale go matka przywołała znakiem
I z pogroźkami na stronę odwiodła.

XXII.

— Przebaczcie, matko, nie strofujcie dziecka! —
Powiedział hetman z łagodnym uśmiechem —
W młodej dziecinie zapal nie jest grzechem,
Znać, że się burzy bujna krew szlachecka!
Rycerskich dzieci to zwyczajna kolej.
Co miało gnuśnić, niech burzy się wolej.
Tu w lasach waszych nie szukać mu chleba;
Niechby się okrył dostojniejszą chwałą:
Rzeczpospolitej silnych rąk potrzeba,
I serc gorących potrzeba niemało.
Wiecie co, matko? ja lubię to chłopię:
Silną ma rękę i serce gorące.
Ja go powiodę po piękniejszym tropie,
Niżby po kniejach miał tropić zające.
Czy chciałbyś, chłopcze, kiedy król rozkaże,
Dotrzeć rumaka, ot jak ten bułany,
Odpierać Turka od koronnej ściany ,
Tropić Tatara na podolskim jarze?
Czy chciałbyś, pytam?

Hrehory z ukradka

Spojrzał na konie, na ojca, na dziada,
A choć mu zdala pogroziła matka,
Do nóg hetmańskich z dziękczynieniem pada.
Dziad rozczulony klękł u drugiej nogi:

Czołem ci, panie, czołem niech uderzę!
Żeś, nawiedzając nasz domek ubogi,
Raczył nam wskazać, że i my rycerze.
My stara szlachta, w łowieckiej zabawie
Nędzą przykuta do leśnej trzebieży,
Od dwóch pokoleń zapomniała prawie,
Co święcie od nas krajowi należy.
Weź mego wnuka, koronny hetmanie,
Dzielić z rycerstwem mrozy i upały!
Niech się krajowi pożytecznym stanie
I krwią oczyści nasz herb zaśniedziały!

XXIII.

Tarnowski starca uściskał za szyję,
W pogodne czoło ucałował wnuka.
Matce choć serce boleściwie puka,
Ojcu na oczach chociaż łza się wije,

Daremna rada i krótkie wybory:
Przywiedli konia z wojskowych bagaży,
Wskazano miejsce — i młody Hrehory
Wziął posterunek przy pośledniej straży.
Hetman mu przyrzekł rynsztunek i zbroję;
Tymczasem w prostej i lichej czamarce,
Spiesząc wojenne dokazywać harce,
Mimo łzy matki, ojca niepokoję.
Całował ojca, i matkę, i brata,
I brodę dziada bieluchną, jak mleko, —
I jużby dusza młodzieńca skrzydłata
Chciała ulecieć daleko, daleko!...

XXIV.

Zagrano sygnał: w pokoju czy w wojnie,
Hetman na hasło wojenne nie drzemie;
Chatę Sulimów udarował hojnie,
I chrobrą nogę stawiając we strzemię,
Święcie przyrzekł na godność rycerza
Być Hrehoremu pomocą i radą...
Ale już trąbka powtórnie uderza,
Czas się połączyć z wojskową gromadą.
Każdy rumaka ostrogami spina,
I dziarskim kłusem ruszyli za wrota;
A nad Hrehorym leci łza matczyna
Z błogosławieństwem na drogę żywota.
Niewdzięczne dziecię! nie schyliło głowy
Przyjąć swej doli niebieski zadatek;
Tak go zapalił ów zawód wojskowy,
Że się do wiejskich nie ogląda chatek,
I rumakowi popuściwszy wodze,
Wyprawia harce w rozmaite strony,
A bieżąc w przyszłość po nieznanej drodze,
Nie dba o przeszłość, jak o sen prześniony.

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

Wkrótce mu dano hełm, pancerz i zbroję,
Proporczyk, pałasz, rusznicę do strzału.
Hrehory zrzucił skromne suknie swoje,
Czamarę wilczą i płaszcz z samodziału.

Spojrzał ze wstydem na stare odzieże,
Jakby je chować za brzydki miał zakał,
Rzucił na drodze — niech kto chce zabierze, —
I ani westchnął, i ani zapłakał.
Pysnił się, w nowe przystrojony wdzięki,
Jak wyłuzane z poczwarki motyle;
Nie uszanował wieśniaczej sukienki,
W której u ojca przechodził lat tyle.
Patrzała na to drużyna wojacka,
Lecz nikt nie ostrzegł w hetmańskim taborze,
Że taka wzgarda — to rzecz świętokradzka,
Za którą Pan Bóg rozgniewać się może.

II.

Hetman, nim wojsko przyszło do stolicy,
Już Hrehoremu opieki udziela.
Stary pancerny, Derszniak z Rokietnicy,
Był mu dodany za nauczyciela.
Człek to bywały w bojowym rzemiośle,
Towarzysz broni Tarnowskiego Jana,
I wiedział hetman, że wszędy wygrana,
Kędy Derszniaka z Rokietnicy pośle.
On, na hetmańskiej starzejąc posłudze,
Nie miał ni domu, ni żony, ni syna;
Nie chciał spoczynku, kędy domy cudze,
Obóz — to jego i dom, i rodzina.
Z nawisłem czołem, z pochyloną głową,
Z długimi wasy aż do pól pancerza,
Nie lubił z długą rozszerzać się mową;
A kiedy wzrokiem do kogo wymierza,
Tobyś powiedział: błyskawica z chmury,
Albo rozbójnik, albo wilk ponury.

Nie był on wszakże ni wilkiem, ni zbojem,
Lecz tylko ostrym żołnierzem z natury.
Duch jego błogim cieszył się spokojem,
Choć czoło w groźne nafałdował chmury.

Wpatrywał się, wsłuchiwał w Tarnowskiego postać,
Był niby drugim hetmana obrazem,
Nie tylko myślał jakby mężnym zostać,
Był to koronny obywatel razem.

Nieraz się śmiała żołnierzów gromada,
Gdy zamiast dzielić ich z czarką zabawy,
Przy smolnym szczepie wieczorem zasiada,
Czyta jak prawnik sejmowe ustawy,
Lub, gdy zabraknie słuchaczów husarzy,
O rzeczach państwa sam ze sobą gwarzy.
Koń jego tuczny, czysty, pełen cnoty,
Bo sam go czyści, i karmi, i poi.
Jakby w zwierciadle przejrzyś mu się w zbroi.
Choć stary Derszniak nie jeździł w zaloty.
Najgłośniej śpiewał modlitwy i marsze,
I różnych piosnek posiadał niemało, —
A wszystkie piosnki rańniejsze i starsze,
Niż te, co dzisiaj rycerstwo śpiewało.
Derszniak był pierwszym — gdy się w szable
I bił się dobrze, i rozumiał o co. [grzmocą,

III.

Takiego człeka niezachwianej wierze
Hetman poruczył Sulimę Hrehora;
Przyszli na nocleg — i tegoż wieczora
Współ z Derszniakiem stanął na kwaterze.
Gdy wytchły konie unużone drogą,
Kiedy się służba krząta do wieczerzy,
Piersi wyzute z żelaznych pancerzy,
Kiedy swobodniej oddychać już mogą,
Siedli przy smolnem ognisku łuczywy
Młody Sulima i pan Derszniak siwy.
Starzec z początku coś dumał w milczeniu;
Potem z ukosa spojrział na pacholę,
Uderzył zwolna po jego ramieniu
I szorstką ręką pogłaskał po czole.

— Aha młodzieńcze! wczora o tej porze
Ani myślałeś być chwycon z nienacka;
Byłeś przy matce w rodzinnej komorze,
Strugałeś sobie do zabawki cacka.
Przez noc zmężniałeś i urosłeś zda się,
I małe dziecko wyszło na husarza.
Chciałbyś powrócić — ale już po czasie,
Musisz rad nierad iść, gdzie dola zdarza...

A szkoda matki, ciepłego zapiecka,
Szkoda braciszka, szkoda swojej strony!
Tutaj nikt miodem nie nakarmi dziecka.
Nikt nie ulula, kiedyś snem zmorzony!

IV.

Tak stary husarz z uśmiechem przyjaźni
Gwarzył, w nadziei, że chłopię rozdrażni;
Bo chciał się pośmiać z łez małego zucha
I pohamować niewczesne płkanie.
Ale Hrehory niecierpliwie słucha...

— Wstydzicie się bredzić, miłościwy panie!
Czego żałować matki albo brata,
Żałować nędzy, która nas tak gniecie?
Co mi tam chata! u mnie wszędzie chata,
Piękniejsze chaty zobaczę na świecie.
A nasze strony niewesołe, leśne,
Wilk tylko zajrzy do naszej ustroni;
Ja tutaj w gwarze obozowym wskrzesnę,
Zwyknę do konia, zuczę się do broni.
Pójdę na wojnę, na rycerskie harce,
Zdobędę sławę i pieniędzy dosyć;
Głupiechy chyba, mogąc złoto nosić,
Tęsknił po swojej siermiężnej czamarce!...

V.

Przykro ta mowa ubodła Derszniaka,
Więc brwi namarszczył i wąsy najeża:
Waść, jako widzę, stworzon na żołdaka.
Nie na chrobręgo polskiego rycerza!
Powiedz mi, proszę, jak się waści zdawa,
Na co się przyda wojenna wyprawa?

— Na co się przyda?!... to śmiesznie pytasie.
Bronić ojczyzny od obcej napaści!

Derszniak odfuknął: Gdzież ojczyzna waści,
Jeśli nie tęsknisz ku rodzinnej chacie?
Jeżeli walczysz dla marnych pieniędzy?
Jeśli ci wstydno twego ojca nędzy?...
Bronić ojczyzny!! — A wieszże, młokosie,
Co jest ojczyzna? — Oto ja ci powiem:
Starzy ją zwali swem życiem, swem zdrowiem,
Służąc jej wiernie w złym i w dobrym lsie.

Co jest ojczyzna? — To twej chaty ściany,
To dach twój stary, słomą poszywany,
To zagon żyta, co cię karmi w głodzie,
Z rzeczki twej woda, co cię rzeźwi w lecie,
To piękność dziewcząt, co ci serce bodzie,
To twoje niebo najpiękniejsze w świecie,
Smak twego jabłka, cień twojej jabłoni,
To dzwon kościelny, co ci na Mszę dzwoni,
To twoich sejmów trwałość i swoboda,
To twego ojca osiwiła broda...

Oto ojczyzna — za jednym wyrazem;
Wszędzie częstkami i pospołu razem.
Takiej ojczyzny od Tatarów bronim,
Taką kochamy, jesteśmy z niej hardzi;
Lecz kto ojcowską zagrodą pogardzi,
Już się rycerza nie spodziewaj po nim;
Pójdzie na wojnę — nawet krew przeleje,
Lecz mu na czole wyryta sromota;
Godzina próby łącno go zachwieje
Marnym postrachem albo garścią złota.
Och! nim złą dolę przyniesie rodzinie,
Niechaj go pierwsza kula nie ominie!

VI.

Tu stary Derszniak potarł się po czole,
Pokraśniał cały, jak makiem zakwitnął,
Wziął konew miodu stojącą na stole,
Wypił z pospiechem i zębami zgrzytnął.
Rzucił na ławę swój kaftan z kolczugi,
Na wiązkę słomy rzucił się jak długi,
I słyhać było, że boleśnie płacze.
Po chwili zasnął, przytulon do kąta.
A gdy pobudkę zagrali surmacze,
Najrańszy ptaszek w chorągwi się krząta.
On pierwszy dojrzy, czy dobrze rozdano
Dla koni wodę, i owies, i siano.

VII.

Na jego słowa czuł biedny Hrehory,
Że go przebiegły niespokojne dreszcze.
Lecz insi w śmiechy: At, zważałbyś jeszcze!
On zawsze taki, na śledzionę chory.
Dajcie mu pokój, niech sobie gawędzi,

Niech sobie płacze, niech się we śnie miota:
Czy to deszcz pada, czy to Derszniak zrędzi,
Przy takim szmerze spać większa ochota.
Więc nie zważajmy na jego pacierze,
Bo jego z dawna natura już taka.
Waćci pan hetman na opiekę bierze,
To więcej znaczy, niż łaska Derszniaka.
Chociaś młodziuchny, lecz dobra otucha,
Konia dosiędziesz, nie kwilisz po domu.
Pan hetman ciebie uściskał bez sromu;
Znaczno, żeś pełen rycerskiego ducha;
My cię wyuczym, jak się wroga bije!...

Tak go cieszyli bracia chorągiewni;
Młody Hrehory płaczem się rozrzewni,
Wszystkim husarzom rzucał się na szyje.
I miód przynieśli, i kolej wypili,
Szedł jeden puhar, potem drugi spory;
Z całą chorągwią już młody Hrehory,
Jak gdyby z bracią, zżył się w jednej chwili.
Niktby nie zgadnął, że ten chłopak żywy
Był jeszcze wczoraj wioskowym niezdara,
Strugał dla siebie szabelkę z łuczywy,
Nosił opończę siermiężną a starą.
Dziwna w dniu jednym stała się odmiana:
Całej przeszłości już i pamięć traci.
On w nich pokochał kolegów i braci,
Oni w Hrehorym pieśczęty hetmana.

VIII.

Zagrano sygnał, jak porządek każe,
Gdy kogut północ zaśpiewał nad głową,
Jedni pobiegli odprawować strażę,
Drudzy opatrzyć czeladź obozową,
Insi do wioski na płocze zaloty,
Insi obejrzyć obozowe stajnie,
Tylko Hrehory coś śni nadzwyczajnie
O chwale bitew, o przyszłości złotej!
A stary Derszniak rzuca się na słomie,
Coś rozespany niedorzecznie prawi,
Za jakimś widmem goni niewidomie,
Komuś złorzeczy, komuś błogosławi,
Jakieś układa plany i zamiary,
Dziwaczy we śnie — zwyczajnie jak stary.

IX.

Od pierwszej chwili, od pierwszej rozmowy
Już mu Hrehory nie przypadł do duszy,
I przed hetmanem wydał sąd takowy,
Że o swym uczniu nieszczególnie tuszy,
Że z takich ludzi nie będą rycerze,
Jeno żołdacy, nieróżni od innych.
Hetman go sfukał, że ze słów dziecinnych
Już zaraz miarę o człowieku bierze.
I oddał uczyć młodzieży ochoczej:
Jak się broń dzierży, jak kopia toczy,
Jako się rumak utrzymuje syto,
Jak trzeba umieć niedospać w potrzebie,
Jak się obywać o wodzie i chlebie,
Jak trzeba kochać sprawę pospolitą.
Hrehory z wszystkiem obeznał się snadnie,
Co przyzwoite dla męznego człeka.
W Kościele Bożym modli się przykładnie,
Bierze naukę, od ksiąg nie ucieka.
Nieco od braci łaciny zaznawszy,
Często z bratniego wymykał się grona,
Czytywał rozdział z Tacyta ciekawszy,
Lub jaką grzmiącą mowę Cycerona.
Derszniak go mając na życzliwej pieczy,
W swobodną chwilę często przed nim gwarzy
Dzieje domowej Pospolitej Rzeczy,
Dawa mu czytać swoich kronikarzy,
Wzorem dostojnych mężów w Europie
Ku wielkim celom jego serce budzi.
Z *Dziejów* Długosza wyczytuje chłopię
O czynach królów i rycerskich ludzi.
Tam Chrobry wielkim podziwem ruderza,
Tam Krzywousty doznany w żołnierce,
Tam dobroczynna ręka Kazimierza,
Tam Oleśnickich płomieniste serce,
A resztę Derszniak na ostatek chowa
Z żywej pamięci co mu było znanem.
Na samym końcu wielki Jan z Tarnowa
Jak posąg bóstwa stawa przed młodzianem.
Hańba, kto serca rycerskiego nie ma,

Kto, będąc dziejów macierzystych świadom
I wielkich ludzi mając przed oczyma,
Nie dał się zacnym zhołdować przykładom.

X.

Lecz nim zbawienne rozrosło się ziarno,
Umarł sędziwy Derszniak z Rokietnicy.
Młodszy, weselsi, lepsi rówiennicy
Do Hrehorego uprzejmie się garną.
Przy nich zapomniał starca przez półrocze.
Mawiał: Pracujmy dla sławy i chleba!
Dwóch tylko rzeczy człowiekowi trzeba:
Mieć dobrą szablę i serce ochocze.
A przy hetmana życzliwej opiece,
Pełniąc na wojnie, co powinność każe,
Można już sobie nie dbać tak dalece,
Co tam napiszą o nas kronikarze.

CZĘŚĆ TRZECIA.

I.

Było przysłowie: „Kiedy Jan Tarnowski,
Hetman koronny, kasztelan krakowski,
Da komu słowo, to pewnie dotrzyma”.
Więc się ziściło i tu po kolei.
Syn gajowego, Hrehory Sulima,
Nie zawiódł dobrych o sobie nadziei.
Wsparty wielkiego hetmana pomocą,
Wzrósł na rycerza we znaczeniu całym:
Gdzie zagrzmie trąba, włócznie zamigocą,
On z młodocianym pospiesza zapalem;
W pierwszych szeregach ugania Tatary,
Pierwszy przy szturmach wdziera się na wieże;
Z radością hetman uśmiecha się stary
Za każdym laurem, co młodzian odbierze.
Ręce hetmańskie, zgrzybiałe już prawie,
Wielkiej buławy utrzymać nie mogą;
Częściej zasiada w senatorskiej ławie,
Niżli rumaka zacina ostrogą.
Przecież po każdej dokonanej wojnie,
Gdy ich obrotom oddawał się cały,
O Hrehorego pyta niespokojnie:
Czy zdrów powrócił i czy godzien chwały

II.

I zdrów, i godzien powracał Hrehory,
Sławy i bogactw już syty zawczasu;
Cieszył się hetman zgrzybiały i chory,
Że to pacholę wyprowadził z lasu,
I nieraz rzewnie, ręce rozpostarłszy,
Ścisnął młodzieńca, jak własnego syna,
I przed majestat wodził go monarszy,
Kędy zasługi jego przypomina.

Król mu powiadał przy całej obradzie:

Dzielne masz serce, chociaż lata młode!
To święty na mnie obowiązek kładzie
Dać ci stosowną do zasług nagrodę.
Da Bóg po wojnie, jak śmiało tuszemy,
Gdy trudne środki ułatwią się snadnie,
Piękna zasługa Hrehora Sulimy
Z myśli i z serca u nas nie wypadnie.

A hetman szeptał: To oznacza prosto:
Chce cię mianować grodowym starostą.

III.

Dziesięć lat przeszło, — a chłopczyna mała,
Z wdziękiem młodości i z promieniem chwały,
Z ubóstwianego hetmana opieką
I z dobrą łaską króla jegomości,
Mógł stać daleko i bardzo daleko,
Posiadać skarby, i zamki, i włości,
I chleb zasługi, co z dawnego prawa
Rzeczpospolita rycerstwu nadawa.

IV.

Ale nie skarbów, nie zamków, nie chleba,
Nie głośniejszej sławy, co wszystkich poruszy, —
Młodemu sercu toć serca potrzeba,
Trzeba kochania wedle swojej duszy.
A któraż z dziewic oblicza uchyli,
Wzgardzi takiego fortuny pieszczocha?
Szczęśliwy młodzian już znalazł po chwili,
Którą ukochał i która go kocha.
Mieszkał w Krakowie starosta Owada,
Pan mnogich skarbów i włości ogromu;
Ale nad ziemię i skarby nielada
Skarb większy — córkę posiadał w swym domu.

V.

Bóg czasem, pragnąc uszlachetniać ludzi
I dać im próbkę nieziemskiego świata,
Zsyła cheruba, co w ludziach cześć budzi.
Takim cherubem zdała się Beata.
Piękną od Boga obdarzona duszą,
Piękno swej duszy nosiła na twarzy.
Jasne jej oko złudzeń nie rozmarzy,
Lecz wszystkie serca hołdować jej muszą.
Na czym ta władza? a któż to wypowie,
Co uspokaja? a co zmysły mroczy?
Lecz tylko czujesz, że patrząc w te oczy,
Święciej coś w sercu i spokojniej w głowie.
Wiotkie jej ciało — to subtelna tkanka,
W którą Bóg zasnął myśl swojego czoła.
Każdy uczuwa, że ona niebianka,
Co ziemskich trudów podźwigać nie zdoła;
Że tu na ziemi stoi tak leciuchno,
Iż pierwsze burze jak kwiatek ją zdmuchną;
Lecz kiedy losu bolesne koleje
Przyjdą doświadczyć, czy ma silne ramię,
Pieszczone serce w dyament stwardnieje,
Którego ludzka siła nie przełamie.
Te oczy, mdłąwą przykryte powłoką,
Co się mniemanem zawstydzieniem płonią,
Gdy przyjdzie losom zajrzeć oko w oko,
Nie obemdleją i łzy nie uronią.
Serce hartowne męstwem, jak kolczuga,
Nie wie, co znaczy gra uczucia płocha;
Lecz gdy pokocha, to już raz pokocha,
Szczерze, głęboko i jak wieczność długo.

VI.

Taką to miłość od niedawnej pory
W sercu dziewczczem obudził Hrehory.
Nie mogło marzyć wysokie jej serce
O pospolitym zalotnym młodzianie;
Lecz dobre imię, nabyte w żołnierce,
Jego z ubóstwem mężne bojowanie,
Ten urok czynów i ta piękna chwała,
Która młodzieńca od gminu odróżnia,
Zawsze na serce kobiety podziała,
Jeśli w tem sercu nie panuje próżnia.

Poczęła lubić kiedy o nim słyży,
Gdy jego chwale zazdroszczą zawistni,
I marzyć o nim w wieczornej zaciszy,
I było błogo, gdy go we śnie przyśni.
Niekiedy jedno słowo lub pół słowa
Takim ją lubym nabawi kłopotem,
Że pokraśnieje, jak wstęga różowa,
I dumać będzie po dni kilka o tem.
Taki obyczaj w dawniejszej był chwili,
Że nim kochanków zaprzęgna do stadła,
Młodzi od siebie zdaje się stronili,
Oczami chyba miłość się zakradła.
Lecz gdy się wkradła, kiedy bożek ślepy
W serce ugodził zatrutem żelazem,
Na wieki w sercu utkwiły oszczepy,
Już ich nie wyrwać, chyba z życiem razem.

VII.

A cóż Hrehory? Jemu miłość taka
Nigdy nie przyszła do serca lub głowy.
On kochał sławę, kochał plac bojowy,
Kochał swą włóczęgę, swojego rumaka.
On wszystko kochał — bo serce motyle
Mogło na wszystkie rozpraszać się strony;
Nie mógł, jak rycerz, kochać tylko tyle:
Boga, kochankę i swój kraj rodzony.
Cóż więc dziwnego, że w takim rozrzucie
Słabsze w nim było kochania uczucie?
Kochał Beatę, bo piękne ma oko,
Bo smukłą kibić przy bogatem wianie;
I kochał Polskę, nie myśląc głęboko,
Na czem zależy synowskie kochanie.
On po żołniersku widział swoją wiarę,
On swoją miłość chciałby wieńczyć w kwiaty;
I jedną tylko rozumiał ofiarę:
Walczyć za honor kraju lub Beaty.
Dziewice dawne inaczej kochały
Bitnych rycerzów Orła i Pogoni:
Snadź nie dlatego, że chrobry i śmiały,
Ale że ziemi macierzystej broni.
Męskiemu sercu ani się zamarzą
Takie subtelne różnice kochania:
On kiedy z wrogiem w twarz spotka się twarzą,

Kiedy na groty chrobrą pierś odsłania,
Gdy jak mur stoi, gdy celnie wystrzela,
Krwia zleje ziemię, jako jej obrońca,
Już mu się zdaje, że spełnił do końca
Powinność syna i obywatela.
Och takich czynów za mało, za mało!
Męstwo za słabe, a miłość za blada:
Żołdak — potrafi zahartować ciało,
Bohater tylko — hart duchowi nada.

VIII.

Hrehory, śmiały w wojowniczym względzie,
Nie mógł się chlubić śmiałym hartem duszy.
Wtedy był piękny, gdy konia dosiędzie,
Kiedy na harce z Tatarem wyruszy;
Lecz doma — byle okoliczność błaha,
Prędko się zleknie, prędko się zawaha.
Jako wyjechał przed dziesięciu laty,
Jak mu na świecie widok się odsłania,
Nigdy nie zwiedził rodzicielskiej chaty,
Nigdy do ojca nie posłał pisania.
Wstydział się nędznie śmiechów i obmowy
Swojej czeladzi i rówiesnej młodzi,
Że jego ojciec tylko stróż gajowy,
Że jego matka w lnianej sukni chodzi.
Kochał Beatę najświęciej, najgodniej,
I dla miłości dać życieby gotów;
Lecz gdy na chwilę oddali się od niej,
Nie mógł się płochych powstrzymać zalotów.
Prawie nieświadom, co wyższa ofiara,
Nie mógł się ostać przed najłżejszą próbą;
Umiał bardyszem pokonać Tatara,
Ale nie umiał walczyć z samym sobą.

IX.

Sam wielki hetman pojechał we swaty,
Prosząc dla niego o rękę Beaty.
Owada wdzięcznie przyjął pośrednika.
I rękę córki przyrzekł dla młodziana:
Któż bo z Polaków swe serce zamyka
Dla prośb dostojnych Tarnowskiego Jana?
Nawet wesela już dzień umówili,
Na wszystko przystał chętnie Owada;
Lecz uradzono zaczekać do chwili,

Gdy Hrehoremu król starostwo nada,
A nadto wojna do hetmańskich znaków
Wezwała całą drużynę rycerską,
Fürstenberg, głowa inflanckich Krzyżaków,
Przeszedłszy w Niemczech na wiarę luterską,
Swemu żołdactwu, co bezkarnie hula,
Kazał kościoły burzyć na wyścigi;
Więc przysłał prosić o opiekę króla
Dostojny Wilhelm, arcybiskup Rygi.
Więc król do mistrza poselstwo wyprawia,
Pan Łęcki jechał z królewskimi listy;
Lecz rozpasana tłuszcza na bezprawia,
Mimo charakter posła uroczysty,
Zamordowała jadącego w drodze,
Jeszcze się pastwiąc nad bezbronną głową:
Wiec należało powetować srodze
Za krew przelaną i cześć narodową.

X.

Polski i Litwy sejmujące stany
Król na obradę zebrał do Warszawy.
Wszyscy radzili w jeden głos zebrany
Nie zaniebysać inflanckiej wyprawy.
Zapał, by hańby nie przepuścić darem,
Dał mnogie siły zgromadzić bez trudu:
Stańto tedy pod pańskim sztandarem
Z Polski i z Litwy sto tysięcy ludu.
Któż tu nie pójdzie walczyć obok braci?
Kogo tu sprawa domowa zatrzyma?
Tedy, choć nierad, że swe gody traci,
Jechał na wojnę Hrehory Sulima.

XI.

— Piękna dziewico! — mówił do Beaty —
Bywaj mi stałą i sercem i słowem.
Wrócę sławniejszy i bardziej bogaty,
Król mię obdarzy starostwem grodowem.
A wszystkom winien wojowniczej sztuce,
Drogę do szczęścia sam sobie uścielę,
Sam o twą rękę dopomnę się śmieie.
Nie płacz, Beato, powrócę, powrócę!
Po dniu godowym gdy zostanę mężem,
Dam folgę sercu, niechaj bije rade;

Rozbrał na wieki uczynię z orężem,
 I nigdy, nigdy ciebie nie odjadę.
 Czy tu zostaniem, czy pójdziemy może
 W ustronnym zamku pracować na roli,
 Mój miecz na zawsze u stóp twoich złożę,
 Nie płacz, Beato, bo mię serce boli!

XII.

— O mój Hrehory! nie mów tego proszę! —
 Rzekła Beata w błagalnej postaci: —
 Że zniewieściałe przenosisz rozkosze
 Nad pole chwały na obronie braci!
 Czybyś doprawdy, nie zważając na nic,
 Dla pieszczot serca nie stanął do bitwy,
 Chociażby kraje Korony i Litwy
 Wzywały ciebie do obrony granic?
 Czyż dla starostwa lub dla marnej sławy
 Stawiłeś piersi na włócznie i noże?
 Czyż to już wszystkie odbyte wyprawy?
 Czy nic krajowi zagrażać nie może?
 Wkoło Wołosza, Turcy i Tatarzy,
 A Polska piękna, bogata, szeroka;
 Czyż nikt już na nią targnąć się nie waży?
 Czy nikt nie rzuci zawistnego oka?
 Och! nieraz, nieraz nasze piękne łany
 I krew zaleje, i ogień przebieży,
 I nieraz hetman przywoła rycerzy
 Na śmierć szlachetną lub na ciężkie rany.
 Nie, mój Hrehory! folgować nie wolno
 Ni zdrowiu swemu, ani sercu swemu:
 Na każdą wojnę ruszysz po staremu
 Zdobywać chwałę fatygą mozolną.
 Ja pozostanę, drząc o twoje zdrowie,
 Płacząc z tęsknoty, modląc się do nieba...
 Jednak, Hrehory, idź gdzie trąba zowie!
 Narażaj życie i umrzyj gdy trzeba!

Tak rzekło dziewczę, a potem w milczeniu
 Spojrzało oczu błagającym rzutem,
 I wątlą rękę wsparło na ramieniu,
 We twardy pancerz stalowy zakutem:

Już jedź, Hrehory... nie... pozostań jeszcze;
 Niech się napatrzę, niech z tobą pogwarzę...

Jakieś mnie mówi przeczucie złowieszcze,
Ze los nam może rozłączyć się każe...

— Przestań, Beato! przestraszasz mię srodze! —
Mówił Hrehory, spojrzawszy nieśmiało:
Tyle jest śmierci na żołnierskiej drodze —
Czyżby mnie teraz umrzeć należało?

— O! nie, Hrehory! nie! żadna przygoda
W mojem przeczuciu nie zagraża tobie!
Może, gdy wrócisz, to ja będę w grobie,
I już mi ręki Hrehory nie poda!
Czuje, że ślub nasz rozchwiewa się w górze,
I mózg, i serce pali, jak żarzewiem...
Przeczuwam jakieś niebezpieczne burze...
Może mój ojciec... czy hetman — ja nie wiem...
Może ty wrócisz obojętnym, chłodnym...
Albo już — serca mojego niegodnym...

XIII.

A nad podartą gajowego chatą
Dziesięć lat ciężkie przytłoczyło brzemie.
Nadgniły domek osunął się w ziemię.
Mech go nastrzepił powłoką kudłatą.
Krzyż się osunął, który stał przy wjeździe,
I uschła grusza, i zrabano klony;
Błyszczący się mostek nowo postawiony,
I nowy bocian klekoce na gnieździe.
Gdyby w tej chwili przyjechał Hrehory,
Gorzkąby łezkę sam nad sobą wylał:
Stary dziad jego od roku był chory.
Już się do grobu widocznie pochylał;
Tylko się modli i rozmowy szuka
O znakomitych powodzeniach wnuka.

Jemu o wnuka szło może nie tyle,
Ile miał świetność rodową na względzie;
Modlił się: Panie! nie spoczne w mogile,
Aż mój potomek kasztelanem będzie.
Jemu nie trudno — gdy hetman z nim trzyma.
Niechby pracował na to całe życie,
Ażby klejnot herbowny Sulima
Na niebywałym postawił zaszczycie!

Tak stary marzył, i z miasta, i z wioski
Różne o wnuku zbierając pogłoski.

Ojciec postarzał, przebiegając knieje,
Straciwszy zdrowie w pracy bez ustanka;
Strażniczy oszczep i chatnie nadzieje
Złożył na ręce gospodarne Janka.
Na twarzy Janka wyrósł wąs młodzieńczy,
Janek częściutko zmykał do sąsiada;
A jak podhula, to matce powiada:

Wkrótce was w pracy synowa wyręczy.
A matka? Matka, niegdyś krasnolica,
Dzisiaj zgarbiona, z pomarszczoną twarzą,
Jęczała długo, jak synogarlica,
Że jej z Hrehorym rozłączyć się każą.
Pójdzie bywało w ustronne zacisze,
Gorzko się s płacze — to na duszy słodziej;
Płakała potem, że syn nic nie pisze,
Czy zdrów? czy wesół? jak mu się powodzi?
Bolała ciężko, zwyczajnie kobieta,
Że syn zapomniał... przywykła nareszcie;
A teraz tylko o jedno się pyta:
Czy zdrów Hrehory czy w boju? czy w mieście?

A gdy tam czasem wpośród bojowiska
Ruszniczna kula przy Hrehorym padnie,
To serce matki o sto mil odgadnie,
Drgnie z całej siły i bolem się ściska.

XIV.

Tak było w chacie. Aż jednej niedzieli
Bóg wie dlaczego wszyscy posmutnieli.
Dziadek zaniemógł, — zapragnął spowiedzi,
Pobożnie przyjął Ciało i Krew Bożą;
A gdy nad łóżko zeszli się sąsiedzi,
Spojrzawszy na twarz, wszyscy się zatrwożą.
Wpadły mu oczy, twarz blada, jak płótno,
Oddech to słabnie, to znowu się wzdyma.

— Żle słyhać, bracia — tak wyszeptał smutno —
Dzisiaj się zaćmił dom i herb Sulima.
Ktoś mi dziś w nocy opowiadał we śnie,
Że herb się zhańbił, że więcej nie wskrzesnie.
Może to bajka... często śni się chorym...
Powiedzcie ludzie: skąd te sny złowieszcze?
Czy nie słyszano czego o Hrehorym?
Czy on nie został kasztelanem jeszcze?

Czemu nie spieszy?... trzeba w zaszczyt nowy
Przystroić herb nasz i nasze nazwanie...
Gdy on nie został, to nikt nie zostanie...
Ni ja... ni syn mój... ni mój wnuk gajowy...
Powiedzcie ludzie, wy to pewno znacie,
Dlaczego w sercu pali mię tak srogo?
Może Hrehory, zasiadłszy w senacie...
Doszedł zaszczytów... nieszlachetną drogą?
O Boże! Boże! lepsza tutaj praca...
Spieszcie go ostrzec; pogodźcie ze stanem...
Jeżeli jeszcze nie jest kasztelanem,
To mu powiedzcie, niech do domu wraca...

Tam na pagórku dwa dęby się świecą,
Na jednym dębie dwaj orłowie w parze,
Jeden z nich wyżej, drugi niżej nieco,
Jak herb Sulimę rysują malarze...
Dwa orły mówię... patrzajcie, w tej stronie...
Jeden na tarczy, drugi na koronie...
Niech się Hrehory nie szasta po lesie,
Gotów je spłoszyć przebiegając w pędzie:
Bo jak polecą, biada naszej strzesie!
Herbu Sulima na świecie nie będzie!...

Tak starzec szeptał w nieprzytomnej bredni;
Powłoka w oczach rozciąga się mgława;
Wnieśli gromnicę z komnaty sąsiedniej;
Wziął ją, popatrzał... — Hetmańska buława!
I jak strudzone, rozespiane dziecię
Szepce nieskładnie, gdy się oczy kleją,
Dziadek zasypiał... zasypiał koleją...
Nakoniec usnął — już go nie zbudzicie.

XV.

Minęło lato — a wojsko koronne
Z inflanckiej wojny do Krakowa wraca,
Pole do chwały było mu przestronne,
Chlubnym się skutkiem uwienczyła praca,
I krwi potoki nie długo się lały,
Żaden się przestрах nie ziścił złowrogi:
Bo mistrz inflancki, Fürstenberg zuchwały,
Kłęczał przed królem, całował mu nogi.
Taka pokora, co przebija mury,
Trafiła w serce królewskie, co z wosku;

Nie odarł mistrza z książęcej purpury,
Lecz mu przebaczył winę po ojcowsku;
Tylko swe prawa umocniwszy szczerze,
Puścił w pokój inflanckie rycerze.

XVI.

Hrehory wrócił i żywy, i zdrowy,
Tylko przecierpiał krzyżacką niewolę.
Kiedy się wojsko zeszło pod Poswole,
Radziwiłł hufiec prowadził przodowy.
Sulima zasię, upragniony chwały,
Zebrawszy dwieście gorętszej młodzieży,
Pospieszył naprzód i dwoma oddziały,
Mniemał, że drogę mistrzowi zabieży;
Że kiedy cała Inflanckich rzesza
Z jednym oddziałem potykać się zacznie,
On na nich z boku uderzy nieznacznie
I w jednym pędzie szyki ich pomiesza.
Nie tak się stało: bo gdy nocną porą
Sam jeden konno wyruszył na wzwiady,
Wpadł na sam środek niemieckiej gromady,
Gdzie go chwytają i w niewolę biorą.
Tymczasem wpadły niemieckie rajtary
Na polski oddział, co się zabezpiecza:
Rzeź była krwawa — i mężne ofiary
Legły pod ciosem krzyżackiego miecza.
Dwa doły trupów pogrzebiono rano,
Dwa kopce ziemi na nich usypano.
Przyszedł Radziwiłł — zbił inflanckie siły;
Przyszedł król polski — i stanęła zgoda.
Tylko nikt ręki do grobów nie poda,
Nikt młodzi polskiej nie wskrzesi z mogiły.
Niejeden pałac i niejedna chatka
Smutną się wtedy pokryły żałobą:
Ojciec i siostra, kochanka i matka
Już nie obaczą swych miłych przed sobą.
Taki los wojny — i radość, i jęki;
Przywykła do nich wojownicza rzesza.
Do tryumfalnej zwycięstwa piosenki
Zawsze się nuta rozpaczy przymiesza.

XVII.

Wyzwolon prędko z niewoli krzyżackiej,
Młody Hrehory wrócił do Krakowa;
Ale twarz jego, jak mara grobowa,
Błada, poryta zmarszczkami rozpaczy.
Targa swe włosy, stroni od człowieka,
Zwiesza na piersi nieprzytomną głowę,
A gdy o wojnie posłyszysz rozmowę,
Zasłania oczy i w pole ucieka.
Wciąż mu się zdało, że ma szyszak krwawy,
Że chodzi we krwią ubryzganej szacie;
A choć już tydzień jak wrócił z wyprawy,
Nie śmiał się stawić na oczy Beacie.
Taką odmianę każdy w nim dostrzega,
Ale nikt nie śmiał badać nieprzystojnie;
Sam tylko hetman, choć nie był na wojnie,
Wiedział o wszystkim od swojego szpiega.
Wtedy się straszne rozbiegły pogłoski,
Co wszystkie serca do gruntu przebodły,
Gdy Hrehoremu rzekł hetman Tarnowski:
„Precz z mego domu, boś zdrajca i podły!“
Chciał swoje służby przypomnieć królowi,
Wszedł na pokoje z innemi dworzany;
Król umknął rękę, chociaż nic nie mówi,
I wzrok pogardy odwrócił do ściany.
Jeden drugiemu po cichu powtarza:
Że król jegomość rozkazał był skrycie
Sądzić na gardło Sulimę zbrodniarza,
Ale Tarnowski uprosił mu życie.
Straszny dar życia! gdy dadzą człowieka
Własnego serca zgryzotom namiętnym,
Gdy jak robaka odrzuca z daleka,
Skalawszy wzgardy niepoczciwem piętnem!
Trzeba żyć jeszcze — po to, aby nosić
Ohydne brzemię swej własnej istoty...
Czyliż tam w piekle męczarni nie dosyć,
Że tu skazują na piekło sromoty?
O! słusznie, słusznie pokalane imię:
Bo straszna zbrodnia ciąży na Sulimie.

XVIII.

A cóż Beata, obłąkana, chora?
Ona pogardza, lecz kocha Hrehora.
Jej biedne serce kolejno się zmienia,
Sama nie zgadnie, gdzie bicie gorętsze;
Uczucia wstrętu albo ubóstwienia
W dwie różne strony targają jej wnętrze.
Jej wątłe ciało w bolesnej katuszy
Dłużej na ziemi już wytrwać nie może;
Czas już do nieba jej anielskiej duszy,
Czas ciało złożyć na śmiertelne łożo.

Raz go ujrzała — wszedł w okropnej chwili.

— O Boże! — rzekła — Ty ziść moje modły!
Luby Hrehory! ciebie oczernili,
Żeś braci zdradził — żeś słaby... żeś podły...
Powiedz Hrehory, niech z ust twych posłyszę;
Ty daj mi światło, bym przejrzała w ciemnie!...

— Prawda, Beato!... moi towarzysze
Polegli w rzezi, wydani przeze mnie.
Gdy mnie pojмали Krzyżacy pancerni,
Skuli mi ręce zawściekieni kaci,
Wisał nad głową topór wścieklej czerni,
Jeśli nie powiem, gdzie więcej współbraci.
Noc była ciemna, a topór nad szyją,
Na słabej duszy upadłem bezwładnie,
Musiałem wyznać, gdzie hufce się kryją,
I w jaki sposób rozproszyc je snadnie.
Więc w tejże chwili w taborze krzyżackim
Tysiąc rajtarów wnet na konie wsiadło,
Na śpiący oddział napadli omackiem,
Wymordowali z wściekłością zajadłą.
Jam został jeden okuty w kajdany.
Nad samym rankiem wróciły rajtary;
Hufiec siepaczów, krwią naszą zbryzgany,
Śpiewał piosenki i wznosił puhary.
I znów z toporem stojąc nad mem gardłem,
Kazali wypić zgubę naszej ziemi:
Jam spełnił puhar ustami drżącemi...
Podły! gdy wtedy z hańby nie umarłem!

— Krew... krew na tobie! — krzyknęła Beata;
Twarz jej zsiniała, pokraśniała, zbladła;
Rozpacz jej serce konwulsyjnie splata,
I z głuchym jękiem na ziemię upadła.
Przybiegli słudzy — ale próżna rada:
Już się Beata aniołom spowiada.

XIX.

Hrehory wybiegł i w pole ucieka,
Nie pomnąc siebie, ni miejsca, ni strony;
A ludzie za nim wołali z daleka:
Łapajcie zbiega! szalony! szalony!
Nikt nie dogonił, bo on szybko zmyka.
Wybiegł z Krakowa na polne rozłogi,
Przebrnął przez wodę szybkiego strumyka,
Pobiegł do lasu bez myśli, bez drogi,
Z lasu na pole, i dalej, i dalej,
Skrył się w gęstwinie kędyś na uboczu.
Gdzie niegdzie ludzie na niego wołali,
Ale nie słuchał i zniknął z ich oczu.

XX.

Czy długo błądził? czy miał sen? posiłek?
Któż wam odpowie? daremno pytacie.
W końcu jesieni — około mogiłek,
Przy rodzicielskiej gajowego chacie,
Zjawił się człowiek, jak upiór cmentarny,
Brodą zarosły, wynędzniały, czarny.
Miał szmaty sukien zdartych po połowie,
Pancerz na piersiach i kirys na głowie.
Pod okna chaty jak złodziej się skrada;
Tam grały skrzypce — było gwaru wiele,
Brząkała w czarki wesola gromada:
Trafił Hrehory na Janka wesele.

XXI.

— Nie wejdę w chatę, bo tylko potrwożę,
Złęknie się ojciec i matka nieboga.
Dalej Hrehory! dalej w imię Boże!
Na Ukrainę to niebliska droga!
Napił się wody z rodzinnej krynicy,

Chwycił garść piasku, zawiązał do szmatka,
A dobywając słabych sił ostatka,
Zniknął w manowcach znanej okolicy.
Nieprędko potem, nieprędko mówiono,
Że się Hrehory wałęsał tą stroną.

EPILOG.

Znowu lat dziesięć przebiegło, jak chwila.
Otośmy w stepie bujnej Ukrainy:
Słońce się letnie na zachód nachyla,
Wiatrek kołysze kwiaty i krzewiny,
I bujne żyta, i pszeniczne łany,
Gęsto porośłe, ciągnące się długo;
We wsi dalekiej dzwon rozkołysany
Echo posyła za milę, za drugą.
Pięknaż to ziemia! ma wszystko dowoli,
O co się tylko modli w imię Boże:
Mleka, i miodu, i chleba i soli, —
Tylko spokoju wymodlić nie może.
Od Wołoszczyzny do tureckich granic,
Od Tatarszczyzny, co nigdy nie syta,
Wróg codzień prawie, nieogłędny na nic,
Puszcza pożary w pszenice i żyta.
A gdzie bogatszy kościółek, cerkiewka,
I gdzie krańszysza niewiasta, czy dziewczka,
Gdzie skarbiec pański za żelazną kratą
Strzegą hajduki okute we stali, —
Oni to wiedzą: co wiosna, co lato,
Tabór tatarski w Ukrainę wali.
A że kraj równy, obfity, przestronny,
Wszędy im droga uwijać się żywo;
Nie lubią walczyć, lecz gdzie lud bezbronny,
Najlepszy oręż, to nóż i krzesiwo, —
Wpadnie, zrabuje, pozakrwawia miecze,
Zapali wioskę i dalej uciecze.

By takich zbójców niszczyć i odpierać,
Dziwnem się młodzież opisała bractwem:
Przysięgła razem i żyć, i umierać,
Nie mieli wiosek, lecz tabór wojskowy,
I zaporoskiem zwała się kozactwem.

W którym żołnierskie prowadzili życie;
Nie sieli zboża, bo ich same łowy
Stepowym zwierzem karmiły obficie.
Przemierzyć łakę, gdzie trawa do pasa,
Nie przyszło na myśl nie jednemu z ludzi;
Tam stado żrebców Kozaczyzny hasa,
Kiedy się harcem z wrogami utrudzi.
W polu niewiasta piosnek nie wywodzi,
Kwilenia dzieci tam nikt nie usłyszy;
Bo Kozaczyzna nie z plemion się rodzi,
Jeno z dorosłych dalekich przybyszy.
Im żadna księga statutów nie znana,
Całym statutem ich obyczaj stary:
Słuchać swojego pana atamana
I gonić w stepie Turki i Tatary.
Kto do nich przystał na Sicz Zaporoża,
Czy Lach, czy Rusin, Węgier, czy Germaniec,
Czy zły, czy dobry, czy chłop, czy wielmoża,
Byleby umiał iść w tatarski taniec,
Byleby spełniał, co starsi radzili,
Przyjmą go chętnie do swojej drużyny.

Ale się słońce do zachodu chyli;
Wiatrek kołysze trawy i krzewiny,
I bujne żyta, i pszeniczne łany,
Gęsto porosłe, ciągnące się długo;
We wsi dalekiej dzwon rozkołysany
Echo posyła za milę, za drugą...
Na płaskim polu widać pył z daleka,
I chmura jeźdźców po niem się ugania.
Tu była bitwa jeszcze od świtania:
Tętent podkowy już głucho koleją,
Kozactwo goni, Tatarzyn ucieka;
Krzyki ustają, a jeźdźcy maleją.
Nareszcie widzisz, jak dwie małe bryłki
Na końcu świata toczą się w zieleni;
A tu pod krzyżyk stepowej mogiłki
Ciagną się starsi bitwą unużeni.
Za nimi wozy tatarskich zdobyczy, —
Któż je przemierzy i któż je policzy?
Tam pełne skrzynie cerkiewnego sprzętu,

Złote szlacheckie pasy i żupany,
Tam stos odzieży skrwawionej do szczętu,
W biednej wieśniaka chacie zrabowany;
A za wozami, na noszach z oręża,
Niosą Kozaki swych pobitych braci;
Za nimi idą obozowi księża,
I pieją psalterz chórzyści brodac.

Ataman zasiadł na wzgórk przy krzyżu,
Rozdzielać łupy drużynie kozaczej;
Idzie z rydlami dwunastu kopaczy,
Po dwóch do każdej. Z brzegu na ustroni,
Dwóch robotników tak do siebie gwarzy:

— Lekka tu ziemia, dobrze kopać po niej,
Na pierś mołojca nieciężko zaważy! —

— Ba — rzecze drugi, nad pracą schylony —
Na wszystko bacznie uważać potrzeba:
On kędyś z polskiej przywędrował strony,
Ciężka mu będzie ukraińska gleba.
Mówcie co chcecie, a umrzeć ochoczej,
Gdy swojej ziemi nasypią na oczy.

— Nie zawsze, widzisz — pierwszy mu odpowie —
Rodzona ziemia i przyjmie człowieka.
Ten, co od miecza folgując swej głowie,
Z koronnych hufców aż do nas ucieka,
Między swoimi nabroił coś pono
Przed Panem Bogiem i ziemią rodzoną.
Hrehory, słyszę, rej Lachom prowadził,
Miał zachowanie w swoim wojsku całem;
Lecz towarzyszków zaprzedał, czy zdradził,
I przystał do nas.

— I ja coś słyszałem.

Bóg raczy wiedzieć, ale łącno wierzę,
Że mógł coś w życiu popełnić ladaco.
Bywało w nocy to sen go nie bierze,
Choćby się zmęczył Bóg wie jaką pracą;
Jak potępieniec całe noce wzdycha,
Wejdzie na kurhan i ku Polsce patrzy,
I nieraz płakał, na ziemię upadłszy,
I coś do siebie wyszeptywał z cicha.
Mało z kim gadał, prócz chyba sam z sobą;
Bywał najpierwszy, gdy się bitwa pocznie;

A szukał śmierci zdaje się widocznie,
Jakaś tajemną dręczony żałobą.
— Spokój dla duszy! — rzecze Kozak drugi —
I dobrze zrobił, że do Siczy przystał;
Bo i nam oddał niemałe usługi,
I kraj rodzony coś z niego skorzystał.
Z piersi uczynił więcej jedną cegłę
Do muru, który wznosimy u granic:
Ze sto Tatarów z jego ręki legło, —
Czyż tego Pan Bóg nie poczyta za nic?

Chrobra i prosta kozacka drużyna
Tak Hrehorego życie przypomina.

No! już gotowo, już braterskie ręce
W żółtym piaseczku pościel mu posłały.
Z bronią i w grubej kozackiej sukience,
Z piersią przebitą od tatarskiej strzały,
Bez żadnej trumny, legł syn gajowego;
Piasek stepowy przysypał mu łono,
I mały kurhan na piersiach wzniesiono,
I ksiądz go wodą pokropił święconą,
I zapłakali bracia nad kolegą.
Każdy odchodzi i znak krzyża czyni, —
Hrehory jeden pozostał w pustyni.

Nieszczęsny marzył o innej mogile,
Że wiek wiekowi jego imię poda;
Ale potomność szepce tylko tyle:

Chrobry był żołnierz! a szkoda go, szkoda!
Miał serce młode, prawicę wytrwałą,
Znał bojowania rozliczne sposoby,
Jednego tylko niebo mu nie dało:
Żelaznej duszy na godzinę próby!

W jego mogile straszne sny być muszą,
Straszny wąż z jego wylęga się kości,
I straszny wyrzut chwilowej słabości
Pastwi się kędyś nad nieszczęsną duszą.
Bolesny robak snadź mu serce toczy,
Gdy przyśni w grobie, co było przed laty,
Nocleg Hetmański gdy stanie przed oczy,
Postać Derszniaka i miłość Beaty.
Z taką potężną nad sobą opieką,

Z taką miłością i poradą zdrową,
 Wszedłszy bohater na świetność dzieową,
 Wsławiłby imię w potomność daleką
 Dzisiaj, gdy wieko grobowe odsłonim
 Przykre się widmo zarazem odsłania
 A serce mówi: Zapomnijmy o nim!
 To najżyczliwszy znak pożalowania.

1857. Borejkowszczyzna.

STAROSTA KOPANICKI.

WIĘZIEŃ W SONNENBURGU.

USTĘP Z PIERWSZYCH LAT PANOWANIA AUGUSTA III.

WSTĘP.

I.

Stara i święta mych ojców ziemico!
 Kwitniesz, jak dawniej, żytem i pszenicą,
 W lasach, na łąkach znaczna łaska Pańska,
 I statki twoje pływają do Gdańska,
 I miasta twoje wspanialej się bielą,
 I wioski twoje nawet się weselą,
 I dwór szlachecki już nie z bierwion drzewa,
 Lecz z pięknej cegły wspaniale piętrowny,
 Już nie na jednym cborągiew powiewa
 Jak w stare czasy miewały barony,
 I stan twój dzisiaj kwitnący, bogaty,
 Że nawet zazdrość u sąsiadów budzi:
 Nic nie straciłaś od dawniejszej daty,
 Nic nie straciłaś — tylko wielkich ludzi.

II.

Na nasze czasy może ich nie trzeba:
 Dziś wiek jest wielkim, nie zaś jeden człowiek.
 A jednak czasem łza płynie do powiek,
 I z głębi piersi modlitwa do nieba:
 „Przywróć nam, Panie, staroświeckich ludzi,
 Z krzemienną piersią i z duszą stalową!
 Niechaj ich z trumny Twój rozkaz obudzi,
 Niech w oczy spojrzą, niech przemówią słowo,

Abyśmy mogli choć raz, choć z daleka,
Zobaczyć w życiu wielkiego człowieka!"

III.

Na każdej karcie starych dziejów księgi
Spotkasz olbrzyma duchowej potęgi;
Pod każdą strzechą były wielkie głowy,
Jakiś bohater, jakiś bóg domowy.
O nim w wieczornych gawędach gadano,
Jego był obraz w kościele, w klasztorze,
Jego imieniem dzieci nazywano
W piątym, dziesiątym pokoleniu może.
Bo w każdym czynie było ziarno ducha,
Ducha Bożego miłości i wiary,
I każdy wiedział, że potomność słucha,
Że dzieje patrzą na jego zamiary.

IV.

Mnich siwobrody w pocie swego czoła
Słowa świadectwa na pergamin leje;
W mowie łacińskiej, w języku Kościoła,
Kreśli poważne rodowite dzieje,
Aby pod świętych wyrazów osłoną
Pamięć praojców tem święciej uczczono.
Słowo, na kartę wpisane w ten sposób,
Nieodwołalnym wyrokiem się stało:
Był to i posąg uwieńczony chwałą,
I pręgierz hańby dla czasów i osób.
Takim wspomnieniem gdy dziejopis wspomni,
Człowiek na zawsze stawał na widoku,
I rzadko kiedy od tego wyroku
Sąd odwołania wyrzekli potomni.

V.

Lecz historyczna karta, choć szeroka,
Nie wszystkie zacne objęła imiona:
Część ich w domowej ciszy utajona,
A reszta całkiem ukryta dla oka;
Lecz dziejopisów urodzajna niwa
Wciąż nowe imię, nowy czyn odkrywa.
W wirze wypadków, sejmu albo wojny,
Z jakich się przedła nić ojców żywota,

Wypływa na wierzch jakiś mąż dostojny,
Wybłyska jakaś bohaterska cnota.
Pytamy, musząc czołem im uderzyć:
Przecz wielkich ludzi niema w naszej chwili?
Ach! bo nam trudno w cokolwiek uwierzyć,
A oni święcie w swą sprawę wierzyli;
Trudno cokolwiek pokochać nam szczerze,
Gdy dawne serca wciąż miłość podsyca.
W czystej miłości i w gorącej wierze
Potężnych czynów była tajemnica.
Ci wielcy ludzie, nie tak, jak my mali,
W Boga wierzyli i swój kraj kochali;
Z wiarą, z miłością szli w ogień bojowy,
Głos podnosili na sejmowej ławie,
Chętnie schylali do męczeństwa głowy,
Gdy było trzeba męczenników sprawie,
Gorąco czując czem ich kraj obdarza,
Krew i grosz nieśli, jako wypłat marny;
Był świętokradcą, kto sięgnął ołtarza,
Aby pożywać z niego chleb ofiarny...

VI.

Nurtów przeszłości rozważając zamęt
I prochy ojców rozgrzebując w trumnie,
Miło nam znaleźć kosztowny diament
I młodym wiekom pokazać go dumnie:
Oto jest wielki zabytek z przed wieka,
Znalezion w sercu dawnego człowieka!

VII.

Badacze skorup, starożytnikowie,
Spojrzą przez szkiełko, i każdy z nich powie:
— To hipoteza, to kłamstwo dla Boga!
Wierzcie, wszak jestem badaczem z rzemiosła;
U mnie jest meża wielkiego ostroga,
Rdzą starożytną najpiękniej obrosła;
A ta ostroga — niedarmo człek bada —
Do diamentu wcale nie przypada!

— Tak, macie słuszność! — mineralog rzecz —
Chroń się od złudzeń półmędrków, człowiecze!
Niby nauka czegokolwiek nie wie?
Dobrze, to gadać nieświadomej młodzi!

Starego wróbla nie złowisz na plewie:
Diament z węgla, nie z serca się rodzi,
To jest diament... tak, w samej istocie...
Chyba ze spinki, co u trupa tleje!

A przecież takich diamentów krocie
Z serc wielkich ludzi wydobyły dzieje.
Twardy, że nic go pokonać nie zdoła,
Czysty, jak czyste sumienie anioła,
Swemi promieniami tak oczy przenika,
Jak aureola z twarzy męczennika;
Blask ma ze słońca bez światła pomocy,
On starą przeszłość rozwidni choć w nocy.
Diament z wiary, miłości i czynu
Promienniejsz świeci niż diament z węgla.
Och! gdybyś z ojca brał twe wzory, synu,
Gdyby wnukowie swych dziadów dosięgli,
Wtedyby Ojciec, i Syn, i Duch święty
I wasze serca skuli w diamenty.
Och! jeśli łaski błagacie od nieba,
Gdy chcecie wstąpić do praojców śladu,
To wam miłości do serca potrzeba
I starych ludzi dobrego przykładu.
Wiele przykładów przytoczą wam dzieje,
I stary ojciec w gawędzie przytoczy;
Jednego człeka choć drobne koleje
Ja moim braciom postawię przed oczy.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

POLE ELEKCYJNE.

I.

Już to od dawna mędrcom wazyli
I dotąd wazą na rozsądku szali:
Czy dobrze było za dawniejszej chwili,
Żeśmy swych królów sami obierali?
Rozstrzygnąć sprawę rzecz nie mojej głowy,
Już ją rozstrzygły sądy tajemnicze;
Ja tylko jeden wypadek dziejowy,
Jednego męża odślonię oblicze,
A świętą prawdą kierując się ściśle,
Ze starych czasów obrazek nakreślę.

Piękny był widok, gdy naród pod Wola
Obierał króla! — zwłaszcza kiedy zgodnie.
Choć nieraz obce i domowe zbrodnie
Święty obrządek hańbiły swawolą;
Nieraz Sarmaci i nieraz Litwini
Zerwali zgodę, co się już przybliża;
Nieraz gmin ciemny, nie bacząc co czyni,
Matkę rodzoną przybijał do krzyża:
Lecz nieraz znowu miłość i ład stary
Przyszły zamieszkać w starym Piastów domu:
Duch Przenajświętszy ze swojemi dary
Na sejmujących zstępował widomie, —
A wtenczas widok elekcyjnej rzeszy
I oko bawi, i serce pocieszy.

II.

Poza Warszawą, na zielonej błoni,
Rowem się znaczą szerokie okopy.
Jak kwiaty w wianku widnieją z ustroni
Pańskie namioty i szlacheckie szopy.
A całe pole rydel i siekiera
Poczystyszały od chwastów i zielska.
Największy namiot — gdzie senat się zbiera,
Największa szopa — gdzie izba poselska.
A małe brózdy pod łańcuch mierniczy
Pole na mnóstwo podzieliły szmatów,
Na tyle części, ile ziem, powiatów,
Ile województw piękna Polska liczy.
Gdy województwa, powiaty i ziemie
Prymas swojemi poobsyła listy,
Całe lechickie gdy dowie się plemię,
Na kiedy wskazan ów dzień uroczysty, —
Ojce senatu i rycerstwa posły
Cisną się w mury stołecznego miasta;
Wiśła na wiosnę nie tak szybko wzrasta,
Jak tutaj tłumy rycerstwa urosły.
Siedmiu bramami, ze czterdziestu szlaków
Spływa się naród, jak w ocean rzeki;
Aż się zdumiewa przychodzień daleki,
Jakie to dzisiaj święto u Polaków?
Och! wielkie święto, bo wybrać przychodzi
Ojca ojczyźnie, a prawom ich stróża;

A tu z daleka niebo się zachmurza, —
Sternika trzeba dla sierocej łodzi;
Potrzeba wybrać, pod czyj znak się zbierać?
Komu nieść służby? za kogo umierać?

III.

Pole wyborcze, jak olbrzymie mrowie,
Kipi ruchomą, niespokojną rzeszą.
Posłowie ziemscy i senatorowie,
Konno, w kolebkach, przed okopy spieszą.
Wieją proporce województw, powiatów,
Z których się składa ta Rzeczpospolita,
Jak ogród pełny różnobarwnych kwiatów,
Kiedy w czerwonej pogodzie rozkwita.
Tam senatorskie złociste kolebki
Długim szeregiem pod okopy wałą,
Dzielne rumaki ujęte w lejc krzepki
W złotym ubiorze jak w ogniu się palą,
I pył szeroki, po gościńcu wzbity,
Srebrem kutemi wzniecają kopyty.

Czoło senatu książę prymas wie dzie,
Z krzyżem krucyfer harcuje na przedzie.
Dalej przez drogę bitą a przestronną
Przeciąga hufiec wspaniałych rycerzy;
Po dwóch w szeregach, powiatami konno,
Czoło ze stanu szlacheckiego bieży.
Szlachta z nad Wisły, z nad Niemna, z nad Dźwiny,
Od płaskich stepów, od Karpat, od morza,
Jako rodzone jednej matki syny,
Przyszli bratersko zająć te przestworza.
I oni sami, i dzielne rumaki
Odmienne mają postaci i twarze, —
I strój ich suty niezawsze jednaki,
Lecz jak obyczaj swojej strony każe.

Tam rysi kołpak, delia szeroka,
Tam złoty żupan, tam widzisz kiereje,
Owdzie powaga przebija się z oka,
Tam rzeźwy uśmiech z czoła promienieje,
Tam długa broda, tam wąsik ze szwedzka,
Owdzie jaskrawe, tam ciemne kolory, —
Któżby cię zliczył, o braci szlachecka?
Któżby opisał twój kształt różnowzory?

Dalecy miejscem, lecz bracia najszczerzi,
Różni zwyczajem i odcieniem mowy,
Choć nie jednako ubraliście piersi,
Lecz w sercach waszych jest takt jednakowy,
Który różnemi wypowiada tony:
„Bóg nasze prawo i nasz kraj rodzony!”

IV.

Gwarem, tętnieniem i szcęką zbroicy
Z końca do końca rozlega się niwa.
Ów tłum ozdobny, ów tłum różnolicy
Pod elekcyjne okopy przybywa.
Zsiadają wszyscy, jako prawo każe,
Panowie z kolas, a rycerstwo z koni;
Przy województwa każdego sztandarze
Trąbka sygnały przepisane dzwoni;
Województwami idzie każde grono,
Kędy mu prawem miejsce wyznaczono.

V.

Pod szkarłatnego namiotu osłoną,
Na pierwszym miejscu sam Prymas zasiada.
Przy nim dokoła senatorska rada,
Której biskupie przewodniczy grono:
Lwowski, krakowski, kujawski, poznański,
I dalej rzędem siadają pasterze,
Polak, w miłości wychowany Pańskiej,
Książąt Kościoła rad szanuje szczerze.
Pięknym to orszak, święty i dostojny,
Obrońców prawa, Kościoła i kraju,
Fioletami i purpurą strojny,
Strzeże starego przodków obyczaju;
Za kraj, za Kościół, na pociski grotów
Pierś nawet własną nastawiłby gotów.

Dalej siadają ojczyzny ojcowie,
Wojewodowie i kasztelanowie.
Serce krainy, ów Kraków Piastowy,
I chrobre Wilno, jak żelazne ramię,
I Lwów, i Kijów o złocistej bramie,
Wszystko przysłało najpierwsze swe głowy,
Aby w najświętszej krajowej obradzie
Wybrać monarchę po sercu i woli.

Bo każda ziemia w doli i niedoli
Do wspólnej urny swoje losy kładzie;
Bo każda skiba chlebobdajnej ziemi,
Każda krwi kropla i czynszu grosz wdowi,
Mając się wspólnie poświęcić królowi,
Chce wybrać króla głosami wspólnemi.
Przy każdym władza obieralna była,
Ale swe prawa zawiera brat bratu;
Więc oprócz świętej obrady senatu,
Z każdej ziemicy, z każdego powiatu,
Uboższa bracia dwóch posłów przysyła,
Aby ich życie i własność ich święta
Nie szły frymarkiem przez pacta conventa.

VI.

Senat już zasiadł — i długimi pary
Posłowie ziemscy do namiotu wchodzą;
Pod obranego przewodnika wodzą,
Witają senat, kreślą swe zamiary;
Prymas ich wita, odpowiada szczerze,
I każdy z posłów swoje miejsce bierze.

VII.

Oto rodzina cała zgromadzona
Ma wybrać ojca za wspólnym oklaskiem;
Piastów, Jagiełłów dostojna korona
Już czeka skroni, by otoczyć blaskiem.
Nie braknie obcych książąt, co dostojnie
Polskę okryją powagą i władzą,
Którzy w pokoju albo w krwawej wojnie
Dobry ład przodków u nas poprowadzą;
Nie brak i między swojemi rodaki
Męża, co świętość obowiązków pojmie;
Lecz za kim mówią najlepsze poznaki?
Kto najgodniejszą przedstawi rękojmię?
I kogo wybrać?

VIII.

Ościenni posłowie

Wchodzą do izby... cisza tajemnicza...
Każdy w szerokiej a ognistej mowie
Swojego pana przymioty wylicza.

— Bierzcie go, bierzcie na króla, Sarmaci!
On uszczęśliwi, on was ubogaci!

Różne są myśli w radzie narodowej,
 Jedni pogodzą, drudzy marszczą czoła;
 A Prymas posłów temi żegna słowy,
 Że się do woli narodu odwoła.
 Posłowie kładą wierzytelne listy
 Do Najjaśniejszej Rzeczypospolitej;
 Wreszcie odchodzą — i szmer uroczysty,
 Szmer nienawiści lub miłości skrytej,
 Rozległ się w kole. Marszałek sejmowy
 Uderzył laską, zakrzyczeli woźni,
 Szlachta umilkła i uchyla głowy,
 Zmilkły stronnictwa, co szumiały groźniej —
 I znów koronne i litewskie syny
 Sierota matka w bratni węzeł splata,
 Stają się dziećmi tej samej rodziny,
 Znowu im serce w jeden takt kołata,
 I jedna żądza wszystkie serca pali,
 Ażeby ojca ojczyźnie wybrali.

IX.

Prymas i senat i rycerstwo klęka,
 Oto nastaje uroczysta chwila:
 Jak gdyby jakaś niewidzialna ręka
 Wszystkie te głowy ku ziemi pochyła;
 Jak gdy wiatr zadmie, pochyła się zboże,
 Drżą polne kwiatki, jęczą leśne drzewa, —
 Polska, Ruś, Litwa, Mazowsze, Pomorze,
 „Przyjdź, Duchu święty!“ jednogłośnie śpiewa.
 Z tysiąca piersi pobożnej gromady
 Błagalnym hymnem rozlega się niwa;
 Ducha świętego mądrości i rady
 Rzeczpospolita na pomoc przyzywa.

X.

Skończono pieśnię do pana Syonu, —
 Prymas powstaje z powagą oblicza,
 I kandydaty do polskiego tronu
 Ze swoich ziomków lub z obcych wylicza;
 Zaklina wszystkich, aby była zgoda,
 I nie bogactwo na względzie, lecz cnota:
 A kogo Pan Bóg do serca wam poda,
 Na tego rzućcie elekcyjne wota;
 Niech zstąpi na was łaskawa otucha
 Ojca i Syna i świętego Ducha!

Więc wszyscy kornie uchylają głowy,
Żebrząc nad krajem opieki niebieskiej;
Powstaje z miejsca marszałek sejmowy,
Począyna zbierać senatorów kreski.
I zawrzał senat: zdania podzielone,
Każdy swojego chciałby kandydata,
Wota padają nie na jedną stronę,
I brat się nieraz oddziela od brata,
Tak popęd serca lub moc przekonania
Na różne strony chwieje się i skłania.

Konia przed namiot senatorski wiodą,
Siada nań Prymas w dostojnej postaci,
By każdy powiat świętą natchnąć zgodą
I zebrać wota od szlacheckiej braci.
Tu jeszcze gwarniej, bo szlachty umysły
Na jedno zdanie zgodzić się nie mogą;
Gdzieniegdzie nawet szabllice zabłyśły,
Choć broń dobywać zakazano srogo.
Ale na widok książęcia senatu
Płonie rumieńcem gromada swawolna;
Brat rozjątrzony ustępuje bratu,
Wszyscy na króla zgadzają się zwolna,
I szumią tłumy jakby fale wrzące,
Kipią w powietrzu odgłosów tysiące.

XI.

Ale Duch święty widocznie, widocznie,
Serce narodu ku jednemu skłania.
Wśród niesfornego wrzasku i wołania,
Wciąż jedno imię odzywać się pocznie.
Prymas niechętnych godzi i rozczula,
Ucicha stronnictw wołanie ponure,
Brzmi jedno imię obranego króla
I tysiąc czapek ulatuje w górę:

Vivat electus! tron nabył zasługą,
Niech nam panuje szczęśliwie i długo!

Jeszcze gdzieniegdzie, jak w muzyki chórze,
Ozwie się nuta fałszywa, niezgodna,
Jako na morzu, gdy przechodzą burze,
Ostatni piorun chce je wstrząsnąć do dna;
Lecz próżno ryczy i nadstawia czoła,
Cichym wietrzykom oprzeć się nie zdoła.

Bo już Duch święty na te fale ludu
Wionął swem skrzydłem, wionął w jednej ciwili;
Uczuli w sercach tajemnicę cudu
I ku jednemu swą myśl nakłonili.
Tak w święte imię miłości i zgody
Zbiera ich wota Prymas siwobrody.

Pod senatorskim tak samo namiotem,
Wśród niezgód, żartów i hardych przechwałk,
Szumiała burza, lecz ucichła potem,
I zgodne głosy pozbierał marszałek.
I biedny szlachcic, i pan wojewoda
Przed sądem Bożym schylają kolana.
Prymas po trzykroć zapytał: Czy z g o d a ?
I już m i a n u j e wybranego pana.
„Niech żyje!“ echem brzmi pole najdalej;
Wietrzyk wieczorny pochwycił to echo,
I do stolicy niesie wieść z pociechą,
Ze już Polacy monarchę wybrali,
Wybrali tego, pod czyj znak się zbierać,
Komu nieść służby, za kogo umierać.

XII.

Kipi w stolicy naród poruszony,
Rzewne uczucie oświeca mu łono,
I jakby cudem ozwały się dzwony,
I jakby cudem światła rozpalono,
Z twierdzy armatnie zahuczały grzmoty,
Już mamy ojca, już my nie sieroty!

XIII.

I gwar urasta, urasta powoli,
Wciąż go przybywa z przestrzeni gdzieś dalnej.
Senat i szlachta powraca z pod Woli,
Światłem zapłonął kościół katedralny.
Leci przed kościół kolaska Prymasa,
Lecą kolaski państwa dygnitarzy,
Szlachta na koniach harcuje i hasa,
A radość z każdej uśmiecha się twarzy.
Wszystko co żyje spieszy do kościoła,
Kościół zaledwie pomieścić ich może;
Każdy co żyje z głębi piersi woła:
„Ciebie chwalimy, miłosierny Boże!“
„Ciebie chwalimy!“ powtarzają dzwony,
A głos ich płynie nad powietrzną falą,

I w całym kraju już serc miliony
Za wybór króla Pana Boga chwałą.
A Bóg już księgę wyroków odsłania
I pisze do niej losy panowania.

C Z E Ś Ć D R U G A.

STAROSTA KOPANICKI.

I.

Tak, kiedy w Polsce umarł August Drugi,
Kraj objął swoje elekcyjne prawa;
A przypomniawszy cnoty i zasługi,
Znów Leszczyńskiego obrał Stanisława.
On był wygnańcem na francuskiej ziemi,
Gdy go ubiegli sascy zapaśnicy,
Zadziwiał obcych cnoty sarmackiem,
Na lotaryńskiej panując dzielnicy;
A dobrodziejstwa sypiąc wkoło siebie,
Cierpiącym bliźnim rad zasklepić rany,
Sercem na ziemi, myślą goszcząc w niebie,
Był filozofem dobroczynnym zwany.
A córka jego, co w ojca szła tropy,
Sarmatka sercem i mową, i głową,
Na najświetniejszym tronie Europy
Zdała się światu królowych królową.
Ojcu się lepsza uśmiechnęła dola,
Był wybran królem jako Piast nad Piasty,
Choć już utracił szwedzkiego Karola,
O jego sprawę stał Ludwik Piętnasty.

II.

Świetne te związki i świetniejsza cnota
W myślach Polaków gdy obecnie stawa,
Gdy przyszło dawać elekcyjne wota,
Znowu obrali królem Stanisława;
Z ręką na sercu i wielcy i mali,
Jak go kochali, tak go i obrali.
Co ich obchodzi jakaś tam niełaska,
Albo intryga rakuska i saska?
Gdy się zbierają pod okopy Woli,
Z sumiennem trzeba występować zdaniem:
Któż tu własnemu sercu nie pozwoli,
By wypowiedzieć, co tam leży na niem?
Sejm elekcyjny gdy o zdanie pyta,

Senat i szlachta głąb piersi odkryje;
Więc wykrzyknęła wnet Rzeczpospolita:
„Vivat electus! niech Stanisław żyje!”,
I wiatr wieczorny pochwycił to echo,
I do stolicy niesie je z pociechą,
I już wiadomo, pod czyj znak się zbierać,
Komu nieść służby, za kogo umierać;
I dzwony głoszą, i armatnie grzmoły:
Już mamy ojca, już my nie sieroty!

III.

Gdy umocniony narodu powagą,
Prymas ogłosił królem Stanisława,
We wsi Kamionnej, za przedmieściem Pragę,
Zbiegła się kupa wyborców nieprawa.
Tam jednym przestrach saskiego pałasza
A drugim złoto zawiązało usta:
Cząstka Polaków za króla ogłasza
Potomka Sasów, Trzeciego Augusta.
Wsparty potężną trzech dworów pomocą,
Koroną Piastów uwieńczył swe skronie.
Szlachta się waśniąc, choć nie wiedząc o co,
Gwałtem go chciała utrzymać na tronie.
Więc się utrzymał — i do tronu biega
Po garstkę nagród, jak po cacko dzieci,
I mimo wybór narodu wszystkiego,
Monarchą polskim został August Trzeci.
Tak było w wiecznej zapisano księdze,
By na wspak poszła narodowa sprawa.
Mało kto wiernym pozostał przysiędze,
Chociaż ją złożył na rzecz Stanisława;
Nowemu słońcu już każdy się modli,
Nie dba, niełaska czy łaska w tem Pańska.
Gdy Stanisława odstąpili podli,
Z kilku wiernymi schronił się do Gdańska;
Stamtąd na lichym kupieckim okręcie
Spieszy się schronić na Zachodu kraniec,
Dwakroć na króla mianowany święcie,
Dziś znowu tułacz i znowu wygnaniec.
Szlachta, zjednana przez grosz i oręż,
Przed nowem słońcem w cześć upada twarzą...
Lecz w starej Polsce, och! są jeszcze męże,
Którzy przysięgi swej lekce nie wąż.

Gdy każdy uznał wobec nieprzyjaciół,
Że siłą serca żelazu nie sprostą,
Jeden z niewielu Poniński się zaciął,
Pan kopanicki grodowy starosta.

IV.

Kiedy za obcej potęgi podniętą
Kładli koronę na Augusta czole,
Stary Poniński: Veto! — krzyknął — veto!
Jam go nie wybrał, ja nań nie pozwolę! —
I zadrzał August, a z nim dygnitarze,
Nie w smak im poszła wśród ludu przechwałka;
A więc posłano marszałkowskie straże,
Aby zatrzymać i uwięzić śmiałka.
Śmiałek napaści przed kościołem czekał,
Czekał, aż przyjdzie kohorta zajadła;
Straż marszałkowską rozproszył, posiekał,
I już w stolicy wieść o nim przepadła.

V.

Król August Trzeci, za poradą Brühla,
Wciąż swoją siłę Sasami zasila.
I niemasz wioski i niemasz miasteczka,
Gdzieby się schronić przed niemiecką wartą,
Gdzieby z Niemcami nie wynikła sprzeczka,
Gdzieby narodu serca nie rozdarto.
Tam zbito kmiotka, że niby pijany,
Owdzie szlachezca zakuto w kajdany;
Tam przy gościńcu kapłan z organistą,
Gdy do chorego z Sakramentem spieszył,
Sas mu odebrał patenę złocistą,
Pokrzywdził starca, albo szablą przeszył.
Senat i szlachta choć do króla woła,
Zanosić skargi — daremna mozoła,
Bo August Trzeci głuchy na bezprawia, —
Chyba ktoś z braci Saksonów wychłosta;
Takim mścicielem Poniński się zjawia,
Pan kopanicki grodowy starosta.

VI.

Pięknaż to postać! Stary, siwy, chudy,
Na całym ciele choć policzyć kości;
Oko błękitne, pełne uprzejmości,
Nie świeci blaskiem zdrady lub obłudy, —
Ale z miłością kiedy spojrzy na cie,

To zda się mówić: Chodź do serca, bracie!
A z nienawiścią kiedy spojrzy czarną,
To: Niech cię wszystkie szatany ogarną!
Miał częstochowski medalik na szyi,
Stary pas słucki podtrzymywał zbroję, —
W imię Jezusa i świętej Maryi
Już stary żołnierz gotów iść na boje.
A gdy prawicą po czuprynie muśnie,
Lewicą dotknie rzemiennego pasa,
To było ślubem, że póty nie uśnie,
Póki nie zwalczy choć jednego Sasa.
A Bóg mu szczęścił: bo gdy Sas napada
Wdowę, sierotę lub starego dziada, —
Jemu się w wiosce jakaś sprawa zdarza,
I zajrzy w okno, i podsłucha w sieni;
A kiedy w domu niemasz gospodarza,
I do chałupy zajrzeć się nie leni.
A tam broń Boże jaki żołdak saski
Pokrzywdzi chatnich, lub wszczyna niesnaski, —
Och! wtenczas biada, o! biada Sasowi,
Gdy go Poniński w swoje kleszcze złowi!

C Z Ę Ś Ć T R Z E C I A.

NAPAD NOCNY.

I.

Przy dworze Dłuskim. pod miastem Skwierzyną,
Kędy starosta kopanicki bawi,
Mniej od Saksonów kraj cierpiał bezprawi,
Bo tam starosta był tarczą jedyną.
Bezpieczniej kmiotek przejeżdżał do miasta,
Bezpieczniej grunta orano i siano,
Bezpieczniej dziecię lub słaba niewiasta
Mogli wypocząć pod strzechą słomianą.
Kopanickiego starosty nazwisko
Błogosławiła każda wiejska chata...
Lecz i nad jego głową cios już blisko, —
Jakaś złowroga przepowiednia lata...

Ciemno na dworze, noc się rozpoczyna,
Bucha w komnacie światło od komina;
Od blasków ognia, zda się, gore ściana,
W świetny rynsztunek i oręż przybrana.
Stary Poniński smutnemi oczyma
Patrzy na fale i skręty ogniska,

Wolumen prawa w jednej ręce trzyma
A drugą syna do piersi przyciska.
Dwuletnie dziecię w niewinnej swawoli
Oburącz targa za suty wąs dziada;
Dziad zadumany nie zważa, że boli,
Bo cięższa boleść serce mu przejada.

II.

Młoda niewiasta, siedząca w półcieniu,
Zda się aniołem stróżem bohatera;
Drobną mu rączkę zwiesza na ramieniu
I piękną główkę na piersi opiera;
I sama smutna — bo jej dusza tkliwa
Przyczynę smutku u starca zgadywa.

— Żono ty moja i ty synu mały,
Drodzy wy moi... wy żywi i zdrowi...
Jak smutno myśleć, że nieba nie dały
Bezpiecznej doli naszemu krajowi!
Jak smutno umrzeć z tą pałacą myślą,
Że pod nieprawem berłem panowania,
Już naszych swobód prawa nie określa,
I nic waszego życia nie osłania!
Nieprawny obór i Sasa uciski,
Domowe wojny i bratnie niezgody,
Pewno mi wróżą, że już koniec bliski
Naszych praojców najświętszej swobody.
Pod starem prawem ujrzałem świat Boży,
Żyłem pod królem i pod sejmów władzą, —
I nim się kości do trumny położy,
Starego prawa jeszcze nie zagładzą;
Lecz po mnie... po nas... ty i nasze dziecię
Jakże w tej Polsce bezpieczni będziecie?
Elektor saski, co się królem zowie,
Puścił po kraju zastęp rabowniczy;
Twój chleb, twój pieniądz, nawet twoje zdrowie
I wszystko twoje — twojem się nie liczy.
Mała otucha, że naszej ustroni
Jeszcze mój pałasz od ucisku broni.
Na mojej głowie już słabe nadzieje:
Choćbym was pragnął bronić najgoręcej,
Ręka się chwieje, żelazo tępieje,
A oni mocni, a coraz ich więcej.

III.

— Rzuć czarne myśli — odpowie niewiasta —
Przestań się dręczyć urojoną trwogą,
Bo jeszcze długo nasze wsi i miasta
Pod twym orężem bezpiecznie spać mogą;
I jeszcze w kraju mężów jest немало
Z odważnem sercem i z odważną dłonią,
Którzy za prawa zastawia się śmiało
I bezpieczeństwo swych dachów zasłonią.

Starzec się zaśmiał. Och, ci stróże prawa!
Ty nie uwierzysz, jacy oni mali:
Umieli królem wybrać Stanisława,
Ale wyboru poprzeć nie zdołali.
Czyż nie wiem codzienn przez listy i gońce
O moich ziomeków słabości zbrodniczej?
I że to saskie fortunniejsze słońce
Coraz to nowych zwolenników liczy?
To za starostwo, to za trochę groszy,
Codzienn elektor stronniki swe mnoży:
Stanisław w nędzy, a Sas ich panoszy,
Więc niosą serce, gdzie sprzedać je drożej.
W Polsce, na Litwie, na Rusi i wszędzie,
Codzienn zdrad nowych odkrywa się zaród.

IV.

— Przebacz mi, mężu... możeś ty sam w błędzie,
Może gdzie większość, tam cały jest naród.
Kiedyśmy Sasom oprzeć się niezdolni,
Tak widać w losów zapisano księdze.
Znam, co winienes poddańczej przysiędze,
Lecz od przysięgi sam Bóg cię uwolni, —
Bóg, co Augusta umacnia na tronie,
Co mu pomyślnych wypadków udziela...
August cię liczy za nieprzyjaciela,
August ku tobie nienawiścią płonie;
Swoje rajtary i swoje husarze
Przysłał na ciebie, jak chmurę szarańczy.
Jedź do Warszawy, złóż mu hołd poddańczy,
A on twe wioski poszanować każe;
A wtedy, mężu — tak mi serce szepce —
Syn twój spokojniej spać będzie w kolebce.

V.

— Niech umrze raczej! — rzekł starzec z zapalem,
— Gdy życie jego mam kupić niesławą.

Stanisławowi przysięgę składałem,
Któż od mych przysiąg rozgrzeszyć ma prawo?
Zgwałcono nasze odwieczne statuta,
Złamano wybór najlepszego z króli,
Ziemia sarmacka okowami skuta, —
Jaż mam się łączyć z tymi, co ją skuli?
Jaż mam raz drugi poprzysięgać zdradnie?
Niech ten dom raczej na głowę mi spadnie!

VI.

Rzekł i dziecinę ze swych kolan spycha,
I odszedł w ciemnej komnaty ustronie.
Jakaś wątpliwość, czy narada cicha,
Snadź w jego męskim odbywa się łonie.
Żona nieśmiało przyjęła pacholę,
Ukołysała, w płaczu utuliła,
I przeżegnała i za jego dołę
Cichą modlitwę do niebios posyła.

Starosta spojrział na żonę, na syna,
Jak chcąc przebłagać jednym oka rzutem;
Potem się znowu zbliżył do komina
I znowu pilnie zasiadł nad statutem,
I po raz setny żrenicą ciekawą
Zgłębia narodu kardynalne prawo.

Jedna i druga chwila tak upłynie;
Nastała cisza, tylko przerywana
Szelestem karty, lub wiatrem w kominie,
Lub silnym pryskiem smolnego polana.

VII.

Szanując dumkę tęsknego rycerza,
Młoda małżonka odeszła z komnaty.
On przejrzał broń swą, bo jutro zamierza
Znowu wyruszyć na zwyczajne czaty,
Przyjść przeciw Sasom na pomoc kmiotkowi,
Zbawić sierotę, ocalić grosz wdowi.

Na swoim dworze starosta posiadał
Mężnych i bitnych kozaków półsotek,
A w jego wiosce każdy młody kmiołek
I strzelał celno, i szabliskiem władał.
Znali ich Sasi po hardej postawie,
Czuli ich przyjście po pyłu kurzawie.

VIII.

Ale starosta swój huf niezwalczony
Wyprawił kędyś w odleglejsze strony.

Czeka powrotu z obawą widoczną;
Powrócą w nocy, — a jutro do ranka
Ludzie wypoczną i konie wypoczną,
I znowu będzie Sasom niespodzianka.
U pruskich granic stojąc na załodze,
Słysząc kaplicę spalili przy drodze;
Więc niechaj polskie nauczą pałasze,
Jak to świętości poszanować nasze.

Iskra po iskrze ognisko przygasa,
Godzina jedna i druga wybija, —
Starosta, marząc o pobiciu Sasa,
Szepce Ojcie nasz i Zdrowaś Marya.
Myśl jego lata w przeszłości dalekiej.
Wśród lepszych czasów i dzielniejszych ludzi;
Aż sen łagodny zamknął mu powieki,
Choć czujne ucho każdy szmer przebudzi.

IX.

Tak, gdy w milczeniu nocy uroczystem
Dusza starosty lepsze światy marzy,
Kozak, u bramy stojący na straży,
Hasło baczości dał przeciągłym świstem.
W sto kopyt końskich zatętniła droga,
Leci huf jezdny, dwaj starsi po przedzie;
Musi to swoja powracać załoga.
Kozak u bramy zapytał: Kto jedzie?
Gdy w tejże chwili krzyknięto surowo,
I strzał rusznicy palnął mu nad głową.

X.

— Otwieraj wrota! — ktoś huknął z niemiecka,
Aż zlekły kozak cofnął się ku bramie, —
I sto rajtarów, jak kupa zbójcecka,
Hurmem się kupi i wrzeciądze łamie.
Głucho stęknęła brama już otwarta,
Rozległ się łoskot aż po całym dworze.

— Kto jedzie? — krzyczy starościńska warta,
Lecz gwałtu gwałtem odeprzeć nie może;
Grzmotnęła z rusznic — po małym przestanku
Drugi raz, trzeci — i skryła się w ciemnie.
Ale już opór stawieć nadaremnie,
Wodzowie sascy już stoją przy ganku;
A ich rajtary w tejże samej chwili
Pałac starosty wkoło otoczyli;

Snadź tutaj przyszli z mordem i łupieżą,
Bo w każde okno ze dwóch rusznic mierzą.

Starosta, z marzeń zbudzon wystrzałami,
Skoczył do okna, ujrzał hufiec Sasa, —
I już się próżną nadzieją nie mam, —
Szablę na pędce przywiązał do pasa,
Zatlił w kominie żelazny kaganek,
I przy wybuchu rżęsiwych płomieni,
Wyszedł do gości, co obległszy ganek,
Już drzwi zamczyste łamali do sieni.

XI.

— Kto tam i poco?

— Otwórz w imię prawa! —

Głos jakiś dziki krzyknął z tamtej strony.
Drzwi się otwarły — przed starostą stawa
Starościć Unrug, w pancerz uzbrojony.
Dawny przyjaciel i syn przyjaciela,
Dzisiaj go saska zholdowała władza,
On o starościę wiadomość udziela,
On w jego dworzec gości naprowadza.
A za nim Hesler, znajomy wódz saski,
Co, za rabunki swojego orszaku,
I dotąd jeszcze ze starosty łaski
Zranioną rękę nosił na temblaku.

XII.

— Zdaj się, bo zginiesz! — tak Hesler zawoła —
Czas porachunku! twe żniwo ustało.

Starościć Unrug, spojrzawszy z pod czoła:

— Zdaj się, starosto... — wymówił nieśmiało —
Widzisz tu we mnie brata, nie siepacza;
Chcę cię wyzwolić w tej ciężkiej potrzebie.
Król August Trzeci winę ci przebacza;
Tylko przysięgi wymaga od ciebie.
Zdaj się, starosto! a na znak pokory
Oddaj twą szablę, bo jesteś w areszcie.

XIII.

— Zdać się... król August... a któż wy jesteście,
Co śmiecie w nocy najeżdżać na dwory?
I któż mi prawo obrony odejmie?
Oddać wam pałasz? ani mi się ruszcie!
Ja byłem posłem w elekcyjnym sejmie,

Lecz nie słyshałem o królu Auguście.
Elektor saski, gdy ma jakie prawa
Do berła Piastów — niesprzecznym w tej mierze:
Jest na to Wola, jest na to Warszawa,
Jest na to naród — niechaj go wybierze.
Wtedy, panowie, tak mi pomóż Boże,
Ja sam najpierwszy przysięę mu złożę,
Ja sam mu będę poddany najszczerzy;
Lecz teraz: vivat król Stanisław pierwszy!

XIV.

Vivat Stanisław! — krzyknął z drugiej strony
Głos chrapowaty, jak surma bojowa.
Pan Piotr Olędzki, rębacz doświadczony,
Co go starosta na swym dworze chowa,
Co był staroście jakby prawa ręka,
Co się ni Sasa, ni czarta nie lęka, —
Przybieżał k'panu jako wierny sługa,
Kiedy posłyszał strzały i hałasy,
I nie zważając, że tuż stoją Sasy,
Płatnął szablikiem po głowie Unruga.
Szabla, puszczone omackiem i w ciemnie
Zgrzytnęła tylko po hełmie wzdłuż skroni,
Sypnęły iskry... Unrug się posłoni, —
Cios spaść miał znowu, ale nadaremnie;
Bo nim zaświstał znowu nad przyłbicą,
Dziesięciu Sasów porwało się skoro,
Już pana Piotra rajtary pochwyć,
Na smycz rzemienią jego ręce biorą.
Płatnął pałaszem, poprzecinał węzły, —
Płatnął raz jeszcze, lecz trudne staranie,
Bo się zatrzymał jego miecz, zagrzeźły
W miękkim, łosiowym rajtara kaftanie.
Raniony rajtar chwieje się, ukłeka,
I krzyczy z bólu, i zębami zgrzyta, —
I wkrótce jedna, potem druga ręka
Znowu za barki pana Piotra chwyta.
Pan Piotr zrozumiał nierówne obroty,
Tracił żołdaka, co jęczał od bólu,
Z rąk się wywinął, umknął między płoty, —
Rajtary za nim — szukaj wiatru w polu!
Strzelono w pogoń raz, drugi i trzeci;
Lecz pan Piotr umknął, dobrze świadom drogi.

Tylko gdy wystrzał dziedziniec oświeci,
Starosta widzi, że Sasów huf mnogi,
Że jego hufiec nie wrócił z podróży,
Że nocna walka na nic nie posłuży.

XV.

Więc cisnął pałasz i wyrzekł z zapalem:
— Bierzcie mię w więzy, gdy wam siła dana;
Lecz elektora nie uznaję za pana,
Bo już innego monarchę wybrałem!

— Jak wola wasza, miłościwy panie!
Mamy królewski mandat oczywisty,
Więc musimy wasze obejrzyć mieszkanie,
Zabrać oręż i przeczytać listy;
A tego u was musi być zbiór duży,
Mnie pan staroście tłumaczem posłuży.

Wzięto kaganiec, i Sasów gromada
Hurmem do komnat starościńskich wpada.
Jeden za drugim żołdak podżegany
Błyszczące zbroje odziera ze ściany,
Ze starych szablic gorzko się najgrawa,
Co były świętem dziedzictwem rodziny,
Chociaż tam plama zardzewiała, krwawa,
Jeszcze z pod Wiednia, jeszcze z pod Buczyny,
Mogła zaświadczyć, że w imieniu Bożem
I bronić drugich, i bronić się możemy.
I pism szacownych starożytne pliki,
I pamiętników rodu foljały,
I świeższe listy, co w półkach leżały,
Wszystko to żołdak porabował dziki.
Gdy jaki świstek lub pergamin rzadszy
Starosta chciałby ocalić z grabieży,
Hesler powiada, że to sąd rozpatrzy,
A rozpatrzywszy, zwróci jak należy;
Tymczasem wszystko w jeden zwitek kręci,
Łamie pergamin i kruszy pieczęci.
Jak lew starosta w swych więzach się targa,
Lecz walczyć z tłumem daremne nadzieje,
Daremny protest, wołanie i skarga,
Że się krajowym swobodom gwałt dzieje.

XVI.

Młoda małżonka, strwożona, wybladła,
Ocalić męża do komnaty wpadła.

Daremne jęki słabej białogłowy, —
Chciała przed Sasem ukłęknać nieśmiało,
Ale ją wstrzymał wzrok męża surowy,
Zamknął w jej piersiach rozpacz oniemiała.

— Słuchajcie waszmość! — rzecze do Heslera —
Waszej przemocy oprzeć się nie mogę.
Macie mnie więzić! gdzież wodza kwatery?
Już świt — co prędzej puszczajmy się w drogę.
Czemuż mi dotąd kajdan nie kładziecie?
Już mię prowadzić rozkażcie swej straży.
Oszczędźcie, proszę, zboliałej kobiecie
Widoku waszych rozbójniczych twarzy.

— Wszystko, starosto, pójdzie w swoją kolej! —
Odpowie Hesler z szyderstwem na twarzy. —
Ty, piękna pani, namawiać go wolej,
Niech doma siedzi, niechaj gospodarzy,
Niechaj królowi hołd poddaństwa składa,
Niechaj na jego wojska nie napada.
Tak... po rycersku... niech rękę mi poda,
A ja rozkażę rozwiązać mu plecy.
Trochę za przeszłość posiedzi w fortocy,
I znów nastąpi pożądana zgoda!

XVII.

Gniew groźny osiadł na starosty czole,
Wzgarda zmarszczyła jego brwi sokole.

— Żołdaku! — rzecze z postawą wyniosłą —
Po coś przysłany, czyń twoje rzemiosło.
Musisz dopełnić, co ci rozkazali,
Choć prawo więzić szlachcica zabrania;
Lecz wara tobie zapuszczać się dalej,
W obywatelskie wchodzić przekonania!

— Jak się podoba, — jeśliś tak uparty,
Muszę cię stawić przed zwierzchności władzą! —
Odpowie Hesler — i krzyknął do warty:
Niech go wywiodą i na konia wsadzą!

Spełnił się rozkaz — wyszła ciżba cała
Z hałasem, brzękiem i urągowskiem.
Małżonka nawet męża nie żegnała;
Bo pod przestרחu i żalu naciskiem,
Taki ból w sercu, tak w głowie się mroczy,
Że skamieniała, jak posąg rozpaczy;
Błądzą dokoła nieprzytomne oczy,

Lecz nie pojmuje co to wszystko znaczy.
Wreszcie do okna podbiega jak we śnie,
Słucha... już hufiec wyjechał za wrota...
— O dziecię moje! — krzyknęła boleśnie —
Tyś już sierota!... .

XVIII.

Jesienne słońce z pod deszczowej chmury
Wyrzało rankiem i w chmurach się chowa.
Lecz Dłuski dworzec smutny i ponury,
Jakby tu przeszła zaraza morowa.
Służba ze strachu gdzieś pierzchła na stronę,
Przy bramie leżą dwa trupy ze straży,
Wpadłszy do komnat, wicher gospodarzy;
Sprzęty popsute i ściany odarte,
Gdzieniegdzie pochwa staroświeckiej broni,
Wiatr po podłodze rozwiewa gdzieś kartę...
A pani, blada, oparta na dłoni,
Nie wie, co począć; — przestrach tajemniczy,
Odjął jej siłę, odrętwił ją samą.
A małe dziecię z kolebki jej krzyczy:
— Daj wody, mamó! weź na ręce, mamó!
Ręce zdrętwiały — a tu w całym domu
I kubka wody niemasz przynieść komu.
Nieprędko słudzy zeszli się do pani,
Aby ją złożyć na niemocy łożę;
Nieprędko przyszli strwożeni poddani
Zobaczyć, co tam działo się we dworze.
Aż zapłakali — bo wszędzie ruina,
Jaka po Sasach bywała zwyczajnie;
Zginęły z piwnic stare stągwie wina,
Konie najlepsze zginęły ze stajnie,
Tylko myśl jedna utwierdza ich w wierze:
Kozactwo wróci — i pana odbierze.

XIX.

Wróciła zresztą i kozacka jazda,
Straż opiekuńcza okolicy całej,
Jako sieroce orlęta do gniazda,
Skąd już ich wodza sokoly porwał.
Pan Piotr Olędzki wielce boleściwy
Z gorzkiemi łzami przemówił do sotni:
— Bracia mójcy! patrzcie, przez Bóg żywy!
Co tu zdziałali Saksonowie psotni!

Oj! gorzkiej, gorzkiej zadali nam soli,
Pan Bóg na ciężką przeznaczył nas chłostę!
Pani w chorobie, a pan nasz w niewoli.
Hej! może odbić uda się starostę!

— Jedźmy! — krzyknęli — Sakson nie uciecze!
W pień wyrąbiemy Heslera załogę!
Popaśli konie, wyostrzyli miecze,
Wzięli kul, prochu i chleba na drogę,
Krzyżyk na piersi — i po twardej błoni
Huf starościński w kopyta już dzwoni.
Trzy dni, trzy noce, od chwili do chwili,
Pani się wszystkich niespokojnie pyta:
Czy już kozacy z wyprawy wrócili?
Czy z dala końskie nie tętnią kopyta?
Lecz słudzy wierni, ale obojętni,
Zawsze odpowiedź dają jednej treści:
Że o kozakach ni słychu, ni wieści,
Że nic nie widać, i droga nie tętni.

XX.

Powrócił wreszcie oddział podjazdowy.
I, rozdarł smutkiem biednej pani łono:
Że zdołał dotrzeć do miasta Kargowy,
Lecz tam w koszarach pana osadzono;
Więc się i kusić nie było już po co,
Wykraść fortelem lub odbić przemocą.
Stamtąd go w nocy wywieźli do Drezna,
Otoczonego niezliczoną strażą;
Tam na Augusta przysięgać mu każą,
A on odmówi, on przymusu nie zna.

— Och, dobra pani! z tą niemiecką zgrają
Jeszcze nas długie cierpienia czekają,
Dni pełne trwogi, niespokojne noce.
Jedną pociechą i jedną mam radę:
Wezmę kozaków, na drogę wyjadę,
I choć jednego Saksona wygrzmocę!

Tak pan Olędzki pociesza się w smutku.
W to graj kozactwu! ruchawka nie trudzi.
Co zapowiedział, to dotrzymał w skutku,
Wybrał pięćdziesiąt najdzielniejszych ludzi,
I ruszył na świat; — a kędy napotka,
Że Sakson skrzywdził szlachcica lub kmiotka,
Że się dopuścił rabunku w kwaterze,

Albo niestusne prowianty bierze, —
Pan Piotr jak piorun wpada na bezprawia,
I wedle sądu, jako czego warci,
Jednych Saksonów do grodu odstawia,
A drugich płazem albo ostrzem karci.
To gościł w wioskach, to się skrywał w lasy,
Jak za warowną bezpieczeństwa ścianę;
A jego imię często w tamte czasy
Po wioskach polskich było wspominane.

CZĘŚĆ CZWARTA.

WIĘZIEŃ W SONNENBURGU.

I.

Piękne są Elby germańskiej wybrzeża:
Na łąkach trawka kołysze się świeża,
Piękne pagórki uwesela oko,
Zielony gaik odbija się w wodzie,
Pod pięknem niebem, wysoko, wysoko,
Szczęśliwy ptaszek śpiewa na swobodzie,
Szczęśliwa rybka pod wodą swawoli,
Wszystko rozkoszą oddycha w naturze...
Tylko na pięknej Sonnenburgu górze
Człowiek zbudował straszny dom niewoli.

Wokoło groźną, niedostępną ścianą
I słońcu nawet wchód zamurowano.
Od baszt i strzelnic wieje zimna trwoga,
Z okien sklepiionych patrzy noc złowroga;
A głos żołdaka i szczękot pałasza
Puszczyki nawet od murów odstrasza.
Żelazne kraty świadczą w każdym piętrze,
Że uciec niema żadnego sposobu;
A jakież straszne musi być wewnątrz
Tego dla żywych ceglanego grobu!

II.

Noc... głucha cisza... W izdebce więziennej
Pali się lampka blaszana ukryta;
Za drzwiami szyldwach na taflí kamiennej
Brzęknie pałaszem aż w sercu zazgrzyta.
Knot lampy parsknie, ćma nocna zaskwierczy,
Gdy wpadnie w płomień z niebacznych igraszek,

I znowu cisza... chyba nocny ptaszek
Przyśle swą piosnkę, jak na śmiech szydarczy,
Lub mucha, wpadła do sieci pajęczej,
W szybce więziennej o ratunek jęczy.

III.

Tam na słomianym zwitku materaca
Śpi ktoś, a serce uderza mu skoro;
Podeszły więzień targa się, przewraca:
Znaczno, że z senną pasuje się zmorą;
Znaczno, że robak morderczy dla ducha
W najboleśniejszą wbił się serca stronę;
Znaczno, że szatan szepce mu do ucha:
Życie stracone, czyny niespełnione!
Zerwał się więzień z twardego pośłania
I senną ręką uczynił znak krzyża,
I znowu głowę na materac skłania, —
Znaczno, że szatan już się nie przybliża,
Znaczno, że więzień sny lepsze już marzy,
Bo spokój Pański odbił się na twarzy.
Młodość i spokój przed więźniem i starcem
Płoną, migocą barwy tęczowemi:
Śni, że po swojej rodowitej ziemi
Pierwszym wojennym występuje harcem
Przez niezmierzone stopy Ukrainy,
Przez Wołoszczyznę i podolskie skały.
Kędy się snuły jego młode czyny,
Lata myśl jego i duch rozbuchały.
Na wiernym siwku, z wiernym mieczem w dłoni,
W trop króla Jana hasa pod Kamieńcem;
Bija mu pulsa na gorącej skroni,
Jakby laurowym opasane wieńcem;
Śni, że był z królem, że pokonał wrogi,
I że ich sztandar składa mu pod nogi...
Szyldwach zabrzęczał — bo więzień w tej porze
Okrzyk triumfu wydał jakiś może...
Ocknął się więzień — ale nie na długo,
Bo sen tęczyowy nowe kształty bierze:
Grzmoce kapela, wino tryska strugą,
A on na uczcie prowadzi tancerze;
A w jego rękę drży niewieścia ręka,
Biała jak mleko, a droga jak życie;
Jak taniec każe, on przed nią uklęka,

I pieści oczy w nadziejskim zachwycie.
 Znów poszli w taniec — wesołość wybucha,
 Na jego rękę wspiera się dziewoja,
 I w wirze tańca szepce mu do ucha:
 Jam twoja, luby! jam na wieki twoja!
 On przez sen nuci i w dłoń klasnął dłonią,
 Kiedy mu serce zakipiało żwawo...
 Szyldwach powtórę zaszczekotał bronią:
 Tu pieśń wesela wzbroniona ustawa!

IV.

Zbudził się — usnął — i słyszy organy, —
 Snuje się orszak zebrany na gody;
 A on, w złocistą delię przybrany,
 Idzie przed ołtarz — szczęśliwy pan młody!
 Piękna jak jutrznia, wesoła jak wiosna,
 Daje mu rękę i staje z nim razem...
 Pieśń na organach głośna, bardziej głośna,
 Dobrze znajomym przepływa wyrazem.

To hymn do Ducha, co swe łaski zlewa,
 Którego darów dla duszy wzywamy...
 I ton ten samy, i wyraz ten samy,
 Prymas na polu elekcyjnym śpiewa.
 W muzyce hymnu, w sennej wyobraźni,
 Sejm elekcyjny zmieszał się z weselem,
 I serce więźnia uderzyło raźniej,
 Że jest małżonkiem i obywatelem.
 Dziwne się w piersiach kołysze uczucie,
 Sny promieniste latają nad głową...
 Lecz cóż to znaczy, że nuta po nucie,
 Hymn się przemienia na pieśń pogrzebową?

HYMN.

Dzień, on dzień straszny, zbliża się gniew Boży,
 Świat na proch zetrze i w gruzy położy;
 A Dawidowi tylko i Sybilli,
 Dano być świadkiem tej okropnej chwili.
 Cóż poczną grzeszni? gdzie schronić się mogą,
 Gdy i cnotliwy zaleknie się trwogą?
 Królu straszliwy...

*

*

*

Wtem na zmianę warty
 W trąbkę i bęben uderzyły strażę;

Ocknął się więzień, z marzenia wydarty,
 Gdzie jest przypomniał — pierzchły miłe twarze,
 I znane miejsca, i młodzieńcze dzieła,
 I cała przeszłość w grób się osunęła.
 Lecz co za dziwy, że w nocnej zaciszy,
 Pieśń pogrzebową i na jawie słyszy?
 Słyszysz wyraźnie, gdy ucho natęży,
 Słowa łacińskie i śpiewanie księży:

Królu straszliwy, co zbawiasz wybrane,
 Niech i ja grzeszny w ich liczbie zostanę.
 Ty jawnogrzesznej, błędnej Magdalenie,
 Łotrowi z krzyża dałeś przebaczenie;
 Tyś sam i na mnie spojrział po kolei,
 I puścił w serce isierkę nadziei.
 Usz twych niegodne wołanie nędzarza;
 Lecz przebac, Panie! piekło mię przeraża,
 Gdzie potępieni wołają w rozpacz...

V.

Więzień wstał z łóżka i we drzwi zapuka:
 — Hola, żołnierzu, co ten odgłos znaczy?
 Kto tutaj śpiewa?

— To nie nowa sztuka,
 To umarł Polak, czy Litwin do licha,
 Stronnik Leszczyńskich, podobny do ciebie;
 Więc pan komendant sprowadził tu mnicha,
 Co go w kaplicy ze śpiewaniem grzebie.
 Ta sama kolej i nad twoją głową,
 Bo w Sonnenburgu Polakom nie zdrowo.
 Cicho siedź w celi.

VI.

— Mój Boże! mój Boże! —
 Zawołał więzień, siadając na łożu:
 Żem wybrał króla, jak prawo kazało,
 Żem mu przysięgnął, jak chce zwyczaj stary,
 I żem w swem sercu postanowił śmiało
 Krzywoprzysięstwem nie złamać mej wiary, —
 To już mi za to odetchnąć nie wolno
 Powietrzem kraju, co śnił się tak błogo,

To mam umierać śmiercią tak powolną,
Nie zobaczywszy ze swoich nikogo!...
Kraj... żona... dziecię... rodzicielska niwa...
Do nich, och! do nich serce się wyrывa,
Myśl do nich spieszy, sen do nich ulata, —
A tutaj rygiel i żelazna krata!...
Panie Zastępów! umocnij me ramię,
Rygle rozbiję i kraty połamię!

VII.

Chwycił za sztabę żelazną okienka,
Lecz była mocno zasklepiona w ścianę;
Tylko zuchwała skrwawiła się ręka,
Uderzył głową w sklepienie ceglane,
Zachwiał się, upadł... i po małej chwili
Począł modlitwę szeptać już swobodniej, —
Snadź aniołowie na pomoc przybyli:
Boże! to rozpacz — zachowaj mię od niej!
I długo, długo modlitwa strzelista
Leciała z piersi, jak ptaszek do nieba;
Musiała trafić wprost na serce Chrysta,
Bo Chrystus przysłał co duszy potrzeba,
Co w każdej walce zapewnia zwycięstwo, —
Wiarę, cierpliwość i żelazne męstwo.

VIII.

Nazajutrz przybył komendant zamkowy,
Wziął go za rękę i z dobrocią mówi:
— Panie starosto! żal mi twojej głowy;
Zostaniesz wolnym — przysięgnij królowi.
Król August Trzeci k'Polakom ochoczy,
Winę przebaczy, łaską cię otoczy.

IX.

Rzecz starosta: Wedle praw narodu,
Anim go wybrał, ani mu przysięgłem.
Że trzyma Polskę w niepokoju ciągłym,
Miastom i wioskom każe umrzeć z głodu,
Zalał nam ziemię swoich wojsk nawałem,
Nie dziw, że miecza z pochew wydostałem.
Jeśli jest królem, jako wam się zdawa,
To dlań przysięga powinna być święta:
A łamie statut i pacta conventa,
I mnie... szlachcica więzi, mimo prawa.

Gdy Stanisława obrano pod Wola,
 A August siebie podtrzymać był gotów, —
 To, zamiast Polskę napęlić niedolą,
 Dlaczego prawnych nie użył obrotów?
 Dlaczego żaden ze stronników Sasa
 Nie rzekł: Ja zdania przeciwnego jestem! —
 I wobec sejmu i wobec prymasa
 Nie chciał z publicznym przyjść k'nam manifestem?
 Czyście zwołali rokoszowe koło,
 Jako zwyczaje staropolskie chciały?
 Czy wasz marszałek stawiał komu czoło,
 Słał do powiatów swe uniwersały?
 Te wszystkie stare statutu koleje
 Lekceważono na drezdeńskim dworze;
 Lecz kraj świętymi formami istnieje,
 Których bezkarnie pogwałcać nie może.
 Czyż kiedy łamią przysięgę swawolni,
 To już ich przykład prawo nam stanowi?
 — A jeśli papież od przysięgi zwolni,
 Czy przysiężecie wiarę Augustowi?
 — Nie, generale — rzekł więzień uprzejmie. —
 Rzym niczyjego sumienia nie zmusza!
 Będąc na przeszłym elekcyjnym sejmie,
 Dobrzem wybadał zdanie nuncjusza.
 Próżno na wasze namowy liczyć,
 Próżne zabiegi, próżne wasze prace:
 Straciłem wolność, utracę i życie,
 Ale sumienia i czci nie utracę.
 Obrałem jedną przekonania drogę,
 Elektorowi poprzysiąc nie mogę.

X.

Odszedł komendant. I znowu staroście
 Długie tygodnie męczeństwa nastaly.
 Czyli noc czarna, czy dzień nadszedł biały,
 On zawsze jeden — a tylko dwie goście
 Przyszły do niego, dwie żmije morderce:
 Jedna mózg kasa, druga szarpie serce.

— Tam za górami, och! tam za rzekami,
 Twój kraj sinieje, twój domek bieleje,
 Tam wszyscy twoi pozostali sami,
 Pierzchły z ich serca najdroższe nadzieje.

Ten, który tutaj nad tobą się znęca,
Pewno i dom twój bezbronny uciska;
I żalność wdowia, i boleść dziecięca
Pewnie mu służy do urągowiska...
Wczoraj mówiono, że jest list od żony,
Lecz go posłali, by złożyć przed władzą;
Stary mój sługa od bram odpędzony,
Pewno mu do mnie przystępu nie dadzą.
Naprawdę chciałbym wybadywać strażę,
Żołdak coś mruknie i milczeć mi każe.
Gdyby mi papier, gdyby dano pióro,
Ująłbym w karby moją myśl ponurą:
Gwarzyłbym z tyńi, co mię krata dzieli,
Moje boleści w słowa by się zlały;
List długi, długi pisałbym dzień cały,
Do żony, dziecka, współobywateli.
Lecz mi zabrano papier nienawistnie,
A tu dni moje tak okropnie płyną!
Sen jest dla więźnia osłoda jedyną,
Lecz kiedy zasnę, to znowu ich przyśnię;
Wciąż w jedną stronę myśli mi się garna,
Zawsze ich widzę krwawo albo czarno.
Nie chcę ich widzieć, myślą nie pogonię;
Ot czemś ubocznem chcę rozerwać siebie.
W oknie tak ciemno, z murów wilgoć zionie,
Deszczowe chmury muszą być na niebie.
Jesień... mój Boże, jak to życie leci!
Gdzie się podziała nasza wiosna młoda?
W tym kraju słońce posępniej coś świeci,
U nas daleko piękniejsza pogoda.
Pan Bóg dał wszystko naszemu krajowi,
Ale nie zawsze fortuną dał dołę:
Pocziwe serce, urodzajne pole,
Cóż kiedy duchem niezawsześmy zdrowi?
Gdy starsi bracia, nęcąc nas swobodą,
Niebaczną szlachtę do niewoli wiodą,
Niegodni w kraju najświętszych obradach,
Rodzim zatargi i wojny domowe,
Chodząc po krwawych doświadczenia śladach,
Codzień to klęski spotykamy nowe.
A Pan Bóg karze, och! karze nas za to,
Wkrótce do końca może obezsili...

O! dym pożarny widzę nad mą chatą!
Pewnie Saksoni ogień podłożyli.
I ręce łamie nieszczęśliwa żona,
Bo na jej głowę cierpieć już za wiele!
Dziecię w kolebce zachodzi się, kona...
Musiało skonać — słyszę dzwon w kościele...
Zgiń, czarna maro! Skąd taka myśl płynie?
Przecież nie miałem myśleć o rodzinie!...
Chcę zapomnienia różkoszy niebieskiej...
Odwróćmy myśli — przejrzyjmy te ściany.
Tu jakiś więzień polski zapisany:
Jakób Sobieski... Konstanty Sobieski...
Jako? więc oni — więc w tej samej celi
Króla mego synowie cierpieli!
Ich własne ręce na szerniałym murze
Wyryły swoje męczeńskie nazwiska!
Może duch ojca unosi się w górze,
Wieżeniec synów rozpatruje z bliska,
A serce jego, boleścią zatrute,
Tutaj odbywa za Wiedeń pokutę.
Monarchy mego bohaterska duszo!
Och! gdybyś w lepsze nie odeszła światy,
Ci, którzy Sasów dziś lękać się muszą,
Mieliby spokój pod cieniem swej chaty.
Przy twoim boku walczyłem tak śmieie,
Tyś mię pochwalał, tyś mi przyszłość wróżył;
Teraz patrz, królu, czegom się dosłużył:
Jam tu w ciemnicy, a mój dom w popiele.
Mój dom... rodzina... poddani... ziomkowie...
Tam moja ręka, tam potrzebna rada...
Ratujcie, ludzie! kręci mi się w głowie...

XI.

Więzień na ziemię bezprzytomny pada,
Znękanem czołem o mury uderza,
I tak spoczywa w omdleniu czy we śnie, —
Aż kiedy przyjdzie obiad, czy wieczerza,
I dwóch dozorców pojawi się wczesnie,
Ocuca więźnia, usadzą przy stole,
Z oblicza jego uchodzi pomroka...
Czy go na prawdę opuszczają bole?
Czy je ukrywa od ludzkiego oka?

XII.

A obiad skromny: jedyna potrawa.
Puharek wina, czarny chleba kawał.
Dozorca przyszedł, mięso porozkrawał,
Bo noża więźniom zaprzecza ustawa.
Próżno starosta swoją czarką wina
Chciałby się dzielić z swym więziennym stróżem,
Próżno rozmowę jakaś rozpoczyna:

— Ani jeść z wami, ni rozmawiać mozem.
Lecz w jednym razie, w jednym tylko razie,
Rozwiązesz nasze i serca, i usta:
Jeśli zewolisz, jak pisze w rozkazie,
Złożyć przysięgę na króla Augusta;
Wtedy, gdy zechcesz, kazano nam prosto
Drzwi twojej celi otworzyć, starosto.

XIII.

— Więc jabym wolność, ja wolnośćbym zyskał! —
Rzecz starosta, do głębi wzruszony —
Więcbym zobaczył kraj ziemi rodzonej!
Jabym małżonkę i dziecię uściskał!
Jabym powitał me obywatele!
Jabym się modlił w mych ojców kościele!
To być nie może!... nie... to być nie może.
A cóż Bóg powie? cóż kraj na to powie?
Swojej starszyźnie powiedzcie, panowie,
Że na Augusta przysięgi nie złożę.
Tylko poproście, niechaj mi pozwoli
Zażyc okruczę Anielskiego chleba:
Znekane serce tak mię srodze boli,
Z Bogiem koniecznie rozmówić się trzeba,
Trzeba Chrystusa, co serca przenika,
A uleczony na duszy zostanę.
Proście, niech przyślą do mnie spowiednika,
Coby mi balsam przyłożył na ranę.

Dozorca odszedł — powie, czy nie powie,
A dusza zawsze spragniona pociechy.
Starosta upadł na twarde wezgłowie,
W myślach oblicza swojej duszy grzechy.
A myśl zblakana... O! niech prędzej spieszy,
Kto go w imieniu Chrystusa rozgrzeszy!

XIV.

Więzień zaniemógł — to krasny, to blady,
O dziwnych rzeczach gorączkowie gwarzy;
Przysłano k'niemu najpierwszych lekarzy,
Ale starosta odrzucił ich rady;
Tylko o Polsce nieprzytomnie bredzi,
Tylko kapłana prosi do spowiedzi.

XV.

Wkońcu, coś we dwa czy we trzy tygodnie,
Nadjechał kapłan, przysłany ze Drezna.
Więzień, co zda się nikogo już nie zna,
Na jego widok odetchnął swobodnie,
Przytomniej spojrział — jego oczy płoną,
Gdy Przenajświętszy Sakrament wniesiono.
I długo, długo zakonnik go badał,
I długo, długo więzień się spowiadał.
Dziwne uczucia czytał w jego twarzy
Szyldwach z daleka stojący na straży:
Była tam święta uległość pokory,
Było promienne podniesienie ducha,
Był gniew na twarzy, do wybuchu skory,
Znow chrześcijańska uległość i skrucha;
Kilkakroć głośniej powtórzył z zapalem:
Ja nie przysięgnę, bo go nie wybrałem!
— Synu! — rzekł kapłan — czyn, jak ci się zdawa,
Ja dopełniłem, co mi polecono.
Losy monarchów i narodów prawa
Nie nam tu grzesznym rozwiązywać pono.
On niechaj weźmie w przenajświętszą pieczę
Twoje uczucia, jak obywatela.
Teraz przeze mnie za grzechy człowiecze
Kościół ci swoich rozgrzeszeń udziela:
Odejdź w pokój!

Starosta uklęka,
Bije się w piersi, pokutuje w myśli.
Kapłan się modli, — namaszczona ręka
Nad siwą głową krzyż łaski nakreśli,
I uroczyście klęczącemu w skrusze,
Chlebem żywota posila mu duszę.

XVI.

Lżejszy na sercu po wytrwaniu próby,
Więzień nie wrócił na łóżę choroby.

Twarz pokraśniała — oczy po iskerce
Nabrały blasku powoli, powoli;
Pan Bóg wytrwaniem namaścił mu serce,
Umocnił hartem niezachwianej woli.
Nad jego głową już trzy gwiazdy świecą:
Dobrej Nadziei, Miłości i Wiary; —
Tylko że myśli nieprzytomnie lecą
Gdzieś na dalekie ojczyste obszary;
Tylko z daleka w snach doń się uśmiecha
Koło sejmowe i napaść zbójecka,
Wioska rodzinna i domowa strzecha.
I młoda żona, i pieśzcoty dziecka, —
I tyle, tyle znajomych mu osób
Na sejmie, w wiosce, w kościele, we dworze...
O! takich marzeń odpędzić nie sposób,
Lub je odpędzać to ciężki grzech może!
Może tym kształtem ziemia ojców miła
Swe pozdrowienie więźniowi przysyła.
Rycerskiej głowy nie tłucze o ściany;
Tylko gdy oknem spojrzy na poddasze,
Słabość ogarnia jego duszę wzniosłą:
— Och! gdyby motyl, gdyby małe ptaszę
Pod skrzydelkami wieść stamtąd przyniosło!

XVII.

Może myślicie, że hańba dla męża,
Kiedy się czasem zamarzy, rozsłocha?
Ale nie wiecie, że ducha natęża,
Kto silnie wierzy i serdecznie kocha;
Ale nie wiecie, że niebo zabrania
Wiary bez marzeń, a bez łez kochania.

XVIII.

Gdyby choć papier... O znikoma karto!
Ty jesteś wszystkiem po szczęścia utracie.
Kiedy nam serce boleśnie wydarto,
Miła krwi kropla, co wytryska na cię.
Gdy biedną głowę, co najświęciej marzy,
Nadzieja zdradzi, a wiara omami,
Jakaż pociecha dla biednych nędzarzy
Myśl we łzach skupić i kartę zlać łzami!
Tu każda kropla, czy łzawa, czy krwawa,
Boleść umniejsza, nadziei dodawa.

XIX.

W bitwach, na sejmach, puhar wychylany
Orzeźwiał myśli i krew biła raźniej;
Lecz tu w więzieniu, między czterema ściany,
Straszno rozogniać chorej wyobraźni.
Raz chciał starosta użyć Bacha darów,
Smutek utopić w rzeźwiącym nektarze:
Zażądał wina — i kilka puharów
Za jednym razem przyniosły mu strażę.
Łapczywie chwycił i pił ciągiem długim,
Chylił puhary w ślad jeden za drugim,
I sam nie wiedział, z pragnienia, czy z chęci,
Aby się na dnie dopić niepamięci.
Lecz niepamięci próżno żąda człowiek,
Kiedy wspomnienia mózg i serce palą: —
Nawet sen słodki nie obciążył powiek,
Tylko krwi potok rozigrał się falą,
Latają w oczach obrazy złowieszcze,
Lecz krwawsze jeszcze i czarniejsze jeszcze.
A kiedy chora paliła się głowa,
Gdy twarz skraśniała, gdy mu drżały usta, —
Rozkaz mu służba przyniosła zamkowa,
Aby przysięgał na króla Augusta.
Odtrącił rozkaz i puhar odtrącił,
Dłońmi zacisnął głowę, co go boli,
I jasnej myśli już winem nie mącił —
Poznał, że wino trucizną w niedoli;
Tylko się w drzemce niespokojnej miotą,
Tylko mu cięższa do swoich tęsknota.
— Wy moi drodzy! wy moi dalecy!
Choć wiatr niech o was wiadomość udzieli!...
Wtem zapukano do więziennej celi,
I wszedł ponury dowódca fortocy.

XX.

— Jak się miewacie? czy żywi? czy zdrowi?
Jak wam smakują niewolnicze pęta?
Nie chcecie wiary przysięgnąć królowi,
A król jegomość zawsze was pamięta:
O ile pańska pozwala mu władza,
Więzy rozwalnia i los wasz ośladza.
Oto i teraz naszych wojsk kolumny

Pojmały ptaszka — och! kolej z nim długa!
 Jak wy, zuchwały, niespokojny, dumny,
 Pan Piotr Olędzki, dawniejszy wasz sługa,
 Rozbijał w Polsce naszych wojsk oddziały,
 Krył się po lasach, wypadał jak zbójca;
 Lecz potrafiono pochwycić mołojca
 I porozpędzać jego hufiec cały.
 Więc go sądzono do tej samej celi, —
 Wasz sługa z wami niewolę podzieli.

XXI.

Drzwi się otwarły — i w podartej szacie
 Wpadł Piotr Olędzki z bliznami na czole.
 — Pan Piotr!

— To pan mój!

— Ha! jak się miewacie?

Dlaczegoś, głupcze, dał się wziąć w niewolę?

— Kozak nas zdradził — to i mówić szkoda.
 Ale ja pana nie poznałbym z dali...

Ta długa broda...

— Ho! ta długa broda —

Jużbym ogolił, lecz brzytwy nie dali.

Lecz co tam słyhać?... Moja biedna żona?...

— O! biedna pani! nie wytrwać jej sile:
 Może skołała — może teraz kona.

— A moje dziecię?

— Dawno śpi w mogile;

Umarło biedne... Przyczyna zbyt prosta:

Wiadomo — słabe niemowlętek zdrowie;

Wiatr zawiał w szybę... widzi pan starosta,
 Szyby potłukli w domu Saksonowie.

— A wioska moja?

— Wioska na Stawiszczu

Już po pożarze buduje się nieco:

Szlachta osiadła na spalonym zgłiszczu,

Lecz poddanego nie znajdziesz ze świecą, —

Wszyscy uciekli... niechaj Pan Bóg broni,

Co tam po wioskach broili Saksoni!

Dzielniem ich plażył — to aż śmiech porywa,

Co im na plecach popisałem znaków!

Jak ze stu ludzi gromada pierzchliwa

Od kilku naszych zmykała Kozaków!
 Lecz przebacź, panie! zdradą a nie siłą
 Dałem się ująć, dałem się i kwita:
 Sprzedał nas Kozak, Brzozowiec Kiryłło;
 Gdy cała sotnia spała jak zabita,
 Z jednej i z drugiej, z trzeciej, z czwartej strony
 Na śpiący obóz napadły Saksony.
 Jedna rzecz tylko dręczy mię, niestety,
 Że zapomniałem postawić pikiety!
 Gdyby pikiet! tożbym kapitalnie
 Pogrzezmołał groźnych saksońskich wásali!
 Dopóki Niemiec z pistoletu palnie,
 Harap kozacki z siodła go obali.
 Lecz co się stało, to już nie odstanie.
 Dam hartu Niemcom — ich niedoczekanie!
 — Cóż na sejmiku szlachta i panowie?
 — Stanisław w mowie, a August im w głowie.
 Nasza obrada... wiadomo obrada;
 Ten będzie królem, który wojskiem włada.

XXII.

— Boże mój, Boże! czyż to prawda szczerą? —
 Jęknął starosta z głębi swego łona:
 Dziecię umarło, a żona umiera,
 Wioska w popiele, a bracia spodłona!...
 Och! gdyby wrócić! odżyłbym na nowo,
 Żonębym wskrzesił z śmiertelnej pościeli,
 A braci szlachcie takie rzekłbym słowo,
 Że zdradzić króla nigdyby nie śmieli.
 Przekłète mury, straszliwa pokuta,
 Usta zamknięte, a dłoń moja skuta!
 Puśćcie mię, puśćcie, choć na jedną chwilę, —
 I sam się wzmogę, i mój kraj zasile!

XXIII.

— Panie starosto! wyrzecz jedno słowo,
 A twoj^o wieży w jednej chwili prysną:
 Uznaj nad krajem władzę Augustową,
 Zrzuć z twego serca zemstę nienawistną.
 Wskrzesisz twą żonę, która dogorywa,
 Zbadasz na sejmie twego kraju losy;
 A twoja niwa, twoja piękna niwa,
 W żytnie i pszenne odrodzi się kłosy.

A za cierpienia, a za twoje szkody,
 Bóg cię obdarzy szczęściem niespodzianem:
 Król tobie nada godność wojewody;
 Jak hetman umrze, zostaniesz hetmanem;
 A w Polsce starostw dużo, bardzo dużo —
 Co zechcesz wybrać, do wyboru służą.

Wzdrygnął się starosta — spojrzął poza plecy:
 — Precz, kusicielu! precz mi stąd, pochlebce!

To sonnenburskiej komendant fortecy
 Słowa nadziei do ucha mu szepce.
 Starosta skraśniał, chciał jąć się pałasza,
 Pas z lewej strony potargał w zapędzie;
 Lecz broń odjęta!... — Idź precz, miłość wasza!
 Elektor saski mym królem nie będzie.
 Niech co chcą czynią rodacy swawolni,
 Od moich przysięg nikt mię nie uwolni.

XXIV.

— Jak się podoba, jak się wam podoba;
 Nikt wolnej woli nie przymusza przecie.
 Będziecie w zamku pokutować oba,
 Jeśli przysięgi wykonać nie chcecie.
 Czyńcie już sobie, jako wasza łaska.
 Tak rzekł komendant i drzwiami zatrząska.

XXIV.

Znów się poczęło między czterma ściany
 Okropne życie — wieczność nieprzeżyta,
 Noce bezsenne, dzień nieprzeczekany,
 Potem noc znowu, potem ranek świta.
 Och! nim przez okno do więzienia wpadnie,
 Wolałby w morzu utopić się na dnie.
 On dzień zwiastuje — a dzień taki długi!
 Co począć z życiem, gdy działać nie może?
 W południe obiad przyniosą ci sługi,
 Wieczorem szyldwach przetrząśnie twe łoże.
 Zda się szyderstwem, kiedy dźwięk zegaru
 Jakiejś godziny przedstawia odbicie.
 Dla trupa w grobie czas nie ma rozmiaru,
 A życie więźnia — to umarłe życie.
 Gdzie wszystkie czynu zerwane ogniwa,
 Każda godzina wieczność się nazywa.

Ale towarzysz, w więzieniu towarzysz:
Z nim swoich ludzi, z nim wspomnisz swe strony.
Ho! bywa czasem, tak się z nim rozgwarzysz,
Że dzień upływa ani postrzeżony.
Lecz myśl, gdy leci w nadpowietrzne kraje,
Z aniołem stróżem gdy chcesz się rozgadać, —
On ci o śniegu przeszłorocznym baje,
I puste rzeczy będzie rozpowiadać.
Wtedy ci droższa twa samotna cisza,
Choć słuchasz brata, szanując w nim człeka;
Przykreć gadanie twego towarzysza,
Chciałbyś mieć celkę od niego z daleka,
Chciałbyś sam dźwigać jarzmo swej niewoli,
Chciałbyś sam cierpieć, kiedy serce boli...

Tak myślał więzień; ale trudna rada,
Wszak władza wieszczów nie każdemu dana:
Gdy trzeba milczeć — to pan Piotr zagada,
Gdy trzeba mówić — on milczy jak ściana;
Gdy myśl uleci ku domowej strzesie,
On cię obraży powszedniemi mami;
Gdy cię modlitwa do niebios uniesie,
On zimno rzecze: Zmiłuj się nad nami!
Chciałeś go podnieść i bujać z nim w niebie,
A on myśl twoją zniżył aż do siebie.

Tysiąc jest w świecie moralnych niewoli,
Tysiącem bólów nasze serce boli.
Lecz kiedy cierpim, — miłosierny Boże,
Daj nam żyć myślą swoją a nie cudzą:
Przyjaciół, żon, domowników, pies może,
Złamię nam wiarę i miłość ostudzą;
Wtedyby, Panie, my ludzie zuchwali
I w Twoją miłość wierzyć zaprzestali.
Na co nam w życiu towarzysz powszedni?
Gdy mamy cierpieć — cierpimy sami jedni!

XXVI.

Wreszcie do swojej niewoli przywyka,
Bo go towarzysz broni od rozpaczy:
Dźwięk ojczystego w obczyźnie języka
I to coś znaczy — ach, to wiele znaczy!
Gdy w myśli chwila spokoju zaświta,
Uczucie serca tu nie czuje tamy,
Można się z ziomkiem nagadać do syta.

O tych, co znamy, o tych, co kochamy,
I uobecnić znajome postacie,
Odświeżyć dawne radości i biedy,
Odżyć wspomnieniem: Czy pamiętasz, bracie,
Jak to bywało wtedy, albo wtedy?

Ten, kto zbyt ciężką niedotknięty próbą,
Ten marzy przyszłość — kto ma czyn przed sobą;
Ale dla więźnia, który nic nie czeka,
Dobrym jest skarbem i przeszłość człowieka.

Ze starym sługą pośród pogadanek
Nieraz schodziły całe dni i noce,
Nieraz noc przyszła i zaświtał ranek.
Szyldwach napróżno pałaszem stukoce,
Ciszę zaleca — ale gdzież tam cisza!
Kiedy zabłyśnie choć promyk wesela,
Więzień szczęśliwy, że ma towarzysza.
Nawet i śmiechem rozlega się cela,
Kiedy przypomną dawniejsze swe czasy,
Bitwy, pamiętne i wioskom i miastu,
Jak to przed nimi uciekały Sasy,
Jak jeden Kozak schłostał ich dwunastu,
Jak to po lasach kryła się piechota,
Jak to rajtarów wpędzono do błota...

XXVII.

Ale niewola toć zawsze niewola,
Więzy, choć z kwiatów, ale niemniej bola;
Zawsze bolesne łańcucha ogniwa,
Który nam ręce do czynu skowywa.
Kiedy nas w trumnę kładą za żywota,
A jeszcze w piersiach święty ogień gore,
Nie dziw, że człowiek boleśnie się miota,
Aby odwalić gniotącą zaporę.
Ale gdy nadto sklepiste są ściany,
Czy wieko trumny, czy wazkie drzwi celi,
Niepożyteczną walką zmordowany,
Gorzko złorzeczy tym, co go zamknęli.
Wiedział starosta, że przez jedno słowo
Mógłby potargać swych więzów ogniwa,
Mieć każdej chwili swobodę gotową,
I lecieć w stronę, gdzie duch się wyrывa,
Wskrzesić małżonkę, co kona w niedoli,
Podźwignąć dom swój, co w zgliszczach upada, —

Przez jedno słowo — lecz tem słowem: zdrada!
A on na zdradę nigdy nie zezwoli.
Lepiej, spełniając, co do czci należy,
Skonać z tęsknoty w sonnenburskiej wieży.
Mniemał dowódca, że kiedy dobodzie,
Łacniej starosta ugnie się przed próbą:
Siedzieli więźnie o chlebie i wodzie,
Nawet im mówić zakazano z sobą,
Wodzone na mszę tylko w wielkie święto,
Nawet im książkę modlitew odjęto;
Lecz im się bardziej męczarnia wyteża,
Tem się duch silniej zahartował w obu.
Wreszcie król August uszanował męża,
Kazał rozszerzyć przestrzenie ich grobu:
Celę przy celi otworzono drugą,
Przyozdobiono ich pościel ubogą,
Dano im książki — i już pan ze sługą
Gwarzyć, czy pisać, czy modlić się mogą.
Wreszcie raz jeden dowódca zamkowy
Z temi do niego odezwał się słowy:

XXVIII.

— Powiedz, starosto, dlaczegoście gniewni?
Czemuście twardzi przy waszym oborze?
Król, co cię skarał, pożałować może,
On wam stracone dostatki zapewni.
Już się kraj wszystkim królowi poddawa,
Nowe przymierze król zawarł dokoła;
A wasz Stanisław do swojego prawa
Nigdy nie wróci i wrócić nie zdoła:
Więc mimo wszystkie waszych ustaw księgi.
Wolni jesteście od waszej przysięgi.

— Któż przekonanie moje zabezpieczy,
Że naszym królem jest saksońskie książe?
Dałem przysięgę Pospolitej Rzeczy,
Ona mię tylko od przysiąg rozwiąże.
Dopóty śluby moje nie ustały
W obliczu kraju, króla i Kościoła,
Aż wreszcie prymas przez uniwersały
Szlachtę na pola elekcyjne zwoła,
Aż wszystkich społem niezmuszone usta,
Łaską i wolą kierując się Bożą,
Królem ogłoszą Trzeciego Augusta

I prawnie z tronu Stanisława złożą.
Gdy król przysięgnie na pacta conventa,
Wywiedzie z kraju saksońską załogę, —
Wtenczas przysięga to powinność święta.
Wtenczas się od niej wyłamać nie mogę,
I będę wierny Augustowej sprawie,
Krew zań wyleję i piersi nadstawię,
Niech będzie świadkiem mego domu zgliszcze,
Grób mego dziecka i ta siwa broda,
Że póty waszych żądań nie uiszczę,
Póki mi prawo rękojmi nie poda.

— Próżno, starosto, króla obrażacie
Tą upartością waszą niesłychaną.
A gdyby krzesło dostojne w senacie?
Gdyby wam godność wojewody dano?
Pan mój łaskawy — kto mu wiernie służy;
A jego serce zawziętości nie zna.
Dam ci pieniądze na kosztą podróży:
Jedź go przebłagać, jedź, panie, do Drezna.
— Godności nasze — rzekł starosta dumnie —
Tylko dla zasług kraj na sejmie dawa;
A żadnych zasług jeszcze niemasz u mnie,
Ja w zasłużeńszych nie wdzieram się prawa.
Pieniędzy saskich dla mnie nie potrzeba:
Dajcie swobodę... swobodę jedynie;
Pójdę o kąsku żebraczego chleba
Płakać na domu mojego ruinie.

XXIX.

— Ha! trudna rada — rzekł dowódca wreszcie —
Godna spraw lepszych takowa odwaga.
Słuchaj, starosto: swobodni jesteście!
Król żadnych przysiąg od was nie wymaga.
Jednego od was domaga się przecie,
Na co mi słowo zaraz dać należy:
Że wojska saskie szanować będziecie,
Co stoją w Polsce na zimowej leży.
Bo gdy trwać w dawnym będziecie zamiarze,
To was osądzić jak zabójcę każe.
Wolni jesteście — podwoje otwarte;
Znów macie prawo przypasać pałasza.
Od waszych komnat odprowadzam wartę,
I idźcie z Bogiem, dokąd wola wasza.

— Wolny?! swobodny?! więc ja wyjść stąd mogę?
Do mego kraju wnet puścić się w drogę?
Mogę ocalić małżonkę, co kona?
Na moich ziomków rzucić się ramiona?!... --
Krzyknął starosta z radosnym zapalem. —
Nie! być nie może!... ja nie dosłyszałem...
Lub wy słów moich nie pojęli może:
Bo ja Sasowi przysięgi nie złożę.

— Król miłościwy, pewien swej potęgi —
Dowódca zamku obrażony powie —
Żadnej już od was nie pragnie przysięgi,
Wolność powraca wam bezwarunkowie.
Jesteście wolni, i wy, i wasz sługa,
Jedźcie do wioski, wracajcie do pług.

Obaj mężowie padli na kolana,
Jak gdyby jedna popchnęła ich siła,
Modła dzięczynna, z ich duszy wylana,
Pierwszy swobodny oddech orzeźwiła.

EPILOG.

Pochmurnym dzionkiem, po jesiennej grudzie
Bije stuk kopyt o drogę przestronną.
W rysich opończach dwaj rycerscy ludzie
Pod wielką wioskę zbliżają się konno.

— Panie Olędzki — starszy z nich zapyta,
Co miał rumaka dzielniejszego nieco:
Czemu to żadna chata niepokryta,
A rzadko w której małe szybki świecą?
Wszystko tu widzę zniszczonem, obdartem,
Nawet gospoda nie świeci z daleka.

— Ej, panie, panie! umocnij się hartem:
Co krok to nowa niespodzianka czeka.
Ludzie z wsi poszli kędyś w strony insze,
Więc i pustkują dawniejsze ich chaty.
Tu kilku szlachty osiadło na czynsze,
A to — wiadomo — naród niebogaty.
Gdzież to po wojnie pilnować wygody?
Gdzież to naprawiać takie wielkie szkody?
Otóż... po polu bydło się wałęsa,
Chwast ogryzając na dwornym poparze...
W stodołach siana nie masz ani kęsa,

Wszystko Sasowie wzięli na furazę.
Ot dworzec pański... tam same ruiny...
Panie starosto, nie patrzaj w tę stronę:
Z kupy popiołów sterczą trzy kominy
I cztery brzozy ogniem opalone.
Konie dom czują — już ochoczej lecą:
Dzielnie parskają! oj, będąż nam radzi!
Dzielne koniska, poczekacie nieco,
Nim was do stajni służba odprowadzi...
Strzygą uszami — już marzą o sianie...
Ale po Sasach pewno go nie stanie...
Oj, za to wszystko warciż oni, warci...
Lecz pan dał słowo, że bić ich nie będzie!!...
Ot idą ludzie... a jacy odarci!
Na taką nędzę aż strach spojrzeć wszędzie.
I po stodołach, i w domach, i w bydle,
Wszędzie brak cierpią szlachta i poddani...
Dzień dobry, człeku! gdzie niesiesz te rydle?

— Idziem na cmentarz grób kopać dla pani.
Tydzień jak zmarła, lecz nie było cieśli,
Wyciosać trumnę nie było tu komu.
Stała w ogrodzie w opuszczonym domu,
Dzisiaj ją z rana do kościoła wnieśli!...

Krzyknął starosta — zachwiał się i błednie,
Zesłupił oczy, jak gdyby umarły;
Lecz żadne żale ni jęki powszednie
Już się z rycerskiej piersi nie wydarły.
Gniew lekką chmurką zwisnął mu z czoła,
Tłumioną groźbą ścisnęły się pięście.
Jak wiatr poleciał ku stronie kościoła:
Tak mu tam pilno sprawdzić swe nieszczęście,
Tak mu tam pilno na zimnej podłodze
Gorące czoło zahartować mocą,
I swej żalości popuściwszy wodze,
Bogu powierzyć swą skargę sierocą,
Świecę pogrzebu ponieść przed innemi,
Na lube oczy nasypać garść ziemi...

*

*

*

Już nie powrócił do swych ojców domu,
Nie zasiadł w gronie współobywateli;
Zniknął z ojczyzny — a ludzie widzieli,

Jak w kraje pruskie przeszedł po kryjomu.
Na ziemi obcej, w ponurej rozpacz
Skończył starosta swój żywot tułaczy.

1857. Borejkowszczyzna.

SEJM LUBELSKI.

(POCZĄTEK POEMATU).

Dzwony zagrały po mieście długiem, szerokiem ję-
czeniem,

Błękit rannych niebiosów huk uroczysty odbija,
Drży nad wieżami kościołów rozkołysane powietrze,
Że aż ptaszkom niebieskim coś uroczyściej na sercu.

Mury odwieczne Lublina poweselały, spiękniały,
Jakby słońce włożyło na nie świąteczną oponę.
Dzień w chrześcijaństwie dziś wielki — Ciała Pań-
skiego pamiątka,

Święto Chleba i Wina — ducha co karmi i poi.
W Polsce, przed wieki ochrzczonej, w Polsce rozum-
nej, bogatej,

Zygmunt August panował; a choć w Koronie i Litwie
Pełno z Genewy i z Niemiec mistrzów, co po to przybyli,
Aby w starym kościele psować, przekształcać ład stary,

Przecież niemała gromada dzierży się Piotra opoki,
Umie pacierz dawniejszy, umie uchylić kolano,
Umie pieśnią pobożną po staroświecku zanucić,
Upaść na twarz przed Bogiem, co w Sakramencie
ukryty.

Przeto gdy dzwony jęknęły, lud się wysypał jak mrowie
Na ulice wytkane klonem i brzošką zieloną;
Tłum się jak fala przelewa z jednych kościołów do
drugich,

Albo czeka na rynkach, czeka otwarcia obchodu.
Okna kwiatami ubrali, powywieszali proporce,

Ślali drogie kobierce, kędy Sakrament nieść będą.
Ubiór narodu jaskrawy, świeci purpurą i złotem,

Twarze ludu wesole — cichem, pobożnem weselem.
Dzwony umilkły na chwilę i znowu huczno zagrały,

Orszak procesjonalny ruszył od farnej świątyni:
Naprzód rycerstwo na koniach, z hełmów wyzuwszy
swe głowy,

Dzierżąc ręce u boków na wpół dobywszy pałasza,
(Z wieków obyczaj był taki, na znak, że bronią swej
wiary);

U ich siodła, u boku krasny powiewa proporzec,
Gorą blaszane pancerze, w pręgi złociste zdobione,
Złotem gore rynsztunek, złotem czapraki migocą,
Iskry się sypią z kamieni, rumak gdy stuknie podkową,
Ziemia tętni i huczy, jakby wulkanem wstrząśnięta.
Rażny był żołnierz sarmacki, ale w tej ważnej godzinie
Zmienił postać junacką w postać Bożego rycerza,
Głosem przywykłym do wrzawy, szorstkim jak dusza
bojowa,

Grzmiało polskie rycerstwo pieśnią o Chlebie żywota.
Prostą kruchcianą piosenkę, prostym żołnierskim
sposobem,

Jeden huczy tak silnie, jakby w sto kotłów uderzył,
Drugi jak cienka piszczałka, trzeci jak trąbka wę-
gierska;

Jeden śpiewa z łacińska, drugi polskimi wyrazy.
Straszny to rozgwar dla ucha, jękami dzwonów zmie-
szany,

Z twardym chrzęstem zbroicy, z kopyt rumaczych
łoskotem;

Przecież jest ucho w niebiesiech, co te rozgwary zro-
zumie,

Czyta w sercu śpiewaka, tony fałszywe przebacza,
A z łez pobożnie wylanych tworząc dyament prawdziwy,
Kładzie leżkę — dyament w swą nieśmiertelną ko-
ronę.

Tu za rycerską chorągwią idą po parze, po czterech,
Sygnifery kościelne i rzemieślnicy cechowi.

Każdy chorągiew ma w ręku: widzisz na każdej cho-
ragwi

Obraz święty lub skromne prac rzemieślniczych
oznaki:

Tam wyszyta siekiera — godło ciesielskiej roboty,
Pancerz — godło płatnerza, młot, co kowala oznacza,
Z wiatrem szeleści chorągiew — jedna błękitna jak
niebo,

Druga jak krewczerwona, a trzecia czarna jak całun.
Długim się ciągną szeregiem te różnobarwne sztandary.

Jakby lasy ruchome, z kwiatów olbrzymie wyrosłe,
Dalej orszaki zakonne z hymnem łacińskim na uściech,
W płaszczach czarnych i białych, z obnażonemi
głowami,
Starcy z brodami siwemi, młodzi z obliczem wy-
chudłem,
Jednych oczy w niebiesiech, drugich spuszczone
ku ziemi.
Dalej starszyczna Kościoła, strojna w ornaty i togi.
W krzyże, złote łańcuchy, znaki godności prałata,
Dalej biskupi koronni, którzy na sejm tu przybyli,
Idą zwolna parami, wedle starszeństwa kolei,
Z Wilna, z Krakowa, z Poznania, z Rusi halickiej,
z Kijowa,
Idą święci pasterze, w jednym orszaku zebrani.
Pod baldachimem szkarłatnym, tłumem kapłanów
otoczon.
Starzec, Prymas koronny, niósł Przenaświętzy
Sakrament.
Naród się ciśnie ciekawie, aby oglądać oblicza
Ludzi nieznanych w ojczyźnie: Paców, Karnkow-
skich, Myszkowskich;
Jeden drugiemu wskazuje, gdy się przez tłumy prze-
ciśnie,
Protasewicza twarz bladą lub Hozyusza włos siwy.
Rzeczy krajowych świadomy Polak szanował swe męża.
Dobrze umiał na pamięć wielkie ojczyste imiona.
Drżące starością i trudem ręce pasterza podparli
Z jednej strony król Zygmunt, z drugiej krakow-
ski kasztelan.
Przeszły dni pięknej młodości w życiu Zygmunta
Augusta.
Piękne jego oblicze coś posmutniało, nadwiedło.
Trudy, cierpienia i myśli czoło pokryły zmarszczkami.
Ogień w oku błękitnem iza przygasła żalosa,
W brodzie wspaniałej i długiej już siwy włossek
przegląda,
Pańskie wzniosłe ramiona już się schylają i garbią;
Kiedy Prymasa prawicę, święty niosącą Sakrament,
Dzierży w rękach synowskich — sam potrzebuje
podpory.

Z oczu utkwionych w Sakrament znaczo, że polski
monarcha

Wie, skąd płynie pociecha, skąd się podpory spo-
dziewać.

Silnej mu trzeba podpory, bo rzecz przedsięwziął
nielada:

Skończyć wieków rozterki, złączyć pokrewne dwa
kraje,

Siła uprzedzeń przełamać, siła pokonać złej woli,

Mądrym prawem określić spokój obojga narodów.

Jeszcze obadwa narody wspólnej nie baczą korzyści,

W oczy sobie miatają dawno zebrane niechęci,

W jednej chacie zrodzeni, jakby dwaj bracia niezgodni,

Marne prawo starszeństwa każdy dla siebie waruje.

Patrzaj na panów, idących za majestatem monarszym,

Na te grona szlacheckie, kędy są ziemscy posłowie,

Jak się rozbiegli w dwie kupy, z dala od siebie idące,

Których nawet nie złączy wspólność świętego ob-
rzędu:

Dwoma długimi szeregi idą mężowie oddzielni,

Rzadko kiedy z gromady ktoś się do drugiej przybliży;

Jedno — dwa słówka zamieni ze przyjacielem lub
krewnym,

Co ma w tamtej gromadzie, i znów do swoich po-
wraca.

Tak z dwóch pagórków wypływające dwie rzeki

Obok siebie do morza płyną z ponurym pluchotem,

Tylko niekiedy strumyczek z rzeki przebieży do rzeki,

Jeśli złączyć nie może, wód pokrewieństwo przy-
pomni.

Płyną dwie rzeki, już częściej... częściej strumień-
mi spojone,

Aż się łączą pierściami, zleją się w jedno koryto,

Jednem korytem popłyną walczyć z jednemi skałami,

Jedną pierśią pluchocąc, wpadną zarazem do morza.

Każdy, czy rzeka, czy strumień, mieni się barwą
swej wody,

Inszym wirem się kręci, inne ma takty w swym
szumie.

Długo, ach! długo dwie rzeki będą niesfornie igrały,

Aż swą barwę i takty w sposób jednaki ułożą!

Każdy, czy naród, czy plemię, inszy obyczaj ma z ojców,

Insze prawa dziejowe, serca odmienne pukanie.
Wiele, ach! wiele potrzeba w zlanu dwóch plemion
osobnych.

By się zrównał obyczaj, by się takt serca zespolił!
Wspólnie przebyte kamienie wirem połączą dwie rzeki,
Wspólna dola, niedola łączy dwa różne plemiona.
Jeszcze nie przyszła dla Polski, jeszcze nie przyszła
dla Litwy

Wielka chwila braterstwa; żaden, prócz króla, nie
Ilu kwiatami zakwitnie, ile owoców wyrodi [czuje,
Wielkie drzewo sarmackie, jeśli z gałęzią wszczepioną
Soki żywotne podzieli, zrośnie się w jedno i spoi,
Cieniem jednym okryje ziemi szerokie obszary,
Ze uszlachetni owoce, z soków obojga wyrosłe,
Drzewo będzie wytrwalsze, snadniej się oprze
wichrowi.

Ale powietrze wciąż huczy, rozkołysane dzwonami,
Arcybiskup gnieźnieński niesie Najświętszy Sa-
krament,
Król go wiedzie pod rękę, a poza królem w dwa rzędy
Dwa senaty przechodzą — senat litewski i polski...

.
1857. Wilno.

FOLWARK STARA NIWA.

(U Ł A M E K).

I.

Jeśpan Mieczysław Miodowicz był to podobno ekonom,
Mówią przecież, że sumkę miał na folwarku zastawną;
Szlachcic ab avis, atavis, a może zresztą i dziedzic
(Szczury zgryzły w papierach tytuł dziedzictwa
onego),

Hulał z początku, jak piszą, i w Pana Boga nie wierzył,

Ale jak się ożenił, przyszedł mu rozum do głowy.

Pleban sąsiedniej wioseczki często go doma nawiedzał,

Żona uszu natarła!... szlachcic więc w Boga uwierzył,

Kilka kapliczek zbudował i włość przyuczył do wiary,

Syna dzielnie wychował, choć sam mękkiego był
serca.

Reszty odgadnąć niełatwo: bo w dokumentach zbut-
wiałych

Szczury jedno wygryzły, w drugim pobledniał
atrament.

Musiał umierać spokojnie, paląc z glinianej fajeczki,

Albo mówiąc Różaniec, Amen ostatnie domówił.

Wiedzieć nie sposób — tem bardziej, że dokumenta
dawniejsze

Ledwie mówią nawiasem, że był Mieczysław Miodowicz.

II.

Lecz syn jego — toż był syn!

Tam, co słowo, wielki czyn.

Sąsiad włość mu wziął przemocą,

On mu krzyknął: Tyś tu poco?

Dość z mych włości ciągnąć zysk!

I nie myśląc, palnął w pysk.

Sąsiad oddał cudzą rzecz

I do domu odszedł precz.

Drugi sąsiad, niby pan,

I dziedzicem jeszcze zwan,

Sam przyjechał w letniej porze

Do folwarku na jeziorze

I do Miodowicza rzekł:

— Widzę, żeś ty tęgi człek,

Więc te włości trzymaj sam,

Ja-ć dokument na to dam.

— Dasz dokument, czy nie dasz,

Włość jest nasza, folwark nasz;

Gdy nie wierzysz, to idź prawem

Z Miodowiczem Bolesławem;

Ale w sądzie znają rzecz,

Od cudzego ruszaj precz!

Ześ tu do mnie przyszedł wprzód,

Masz talara za twój trud!

Gość talara chętnie wziął,

Opuściwszy uszy w dół,

I dziedziczne uznał prawa

Miodowicza Bolesława,

I na pozór niby zmiłkł;

Ale odtąd już jak wilk,

Choć barani włożył płaszcz,

Lecz żarłoczną rozwarł paszcz.

— Ruszaj wilku, ruszaj w las,
Zabić wilka zawsze czas! —
Pan Miodowicz tak powiada.
A drugiego miał sąsiada,
Co z nim wieczny toczył spór
O przyległą wieś i bór.
Sąsiad przeczył, — przecz, nie przecz,
Niech rozsądzi sprawę miecz.

Zebrał tedy szlachty dość,
Zebrał całą swoją włość,
I sąsiada ścisnął w okół,
Pogruchotał mu częstokół;
A przez bramę i przez łom
Wpadł zajazdem w jego dom,
A po bramie rąbnął tak,
Że aż dotąd został znak.

Sąsiad w prośby, żona w płacz, —
Zmiękczył serce dzielny gracz,
Bo już takiej był natury,
Że choć czasem zły, ponury,
Lecz na widok ludzkich trosk
Mięknął stary gdyby воск;
Więc wypuścił z ręki łów
I do domu wrócił zdrów.

Jużby doma siedział snadź,
Lecz mu wkrótce dano znać,
Że tam z jego łąk korzysta
Jakiś Niemiec kolonista,
Że się wdziera aż do kniej, —
Więc na Niemca hejże, hej!
Spędził Niemca gdzie pieprz rósł,
I graniczne kopce wzniósł.

Był to dziedzic wielkich cnót,
Na sąsiada ciężki młot,
I swoimi rządził srogo,
Nie miał względu na nikogo,
Bronił biednych z całych sił,
Sprawiedliwość świętą czczył;
Więc gdy przyszedł śmierci kres,
Lud niemało wylał łez.

III.

Po jego śmierci folwark, Stara Niwa,
 Miodem i mlekiem obficie opływa;
 Pan Bóg mu przysłał urodzajne lata,
 Bogaty kmiotek i niwa bogata.
 I sżłoby dobrze przy pocziwej pracy,
 Ale już byli dziedzice nie tacy.
 Syn Bolesława, dobra sobie dusza,
 Tropi zające i kufle wysusza;
 A jejmość, baba, jak to mówią, kuta,
 Sama dla włości urządza statuta;
 A że się chętka do nowości budzi,
 Wzięła na służbę zagranicznych ludzi.
 Żal było patrzeć, co się działo z domem:
 Niemiec był skarbnym, Niemiec ekonomem;
 Gdy jeden patrzy, cę na groszu zyska,
 Drugi niewinne poddane uciska.
 Porosły chwasty w polu nieoranem,
 A biedny kmiotek okrył się łachmanem;
 Dworskie budynki spustoszały marnie,
 A Niemiec złoto do kieszeni garnie.
 Wkońcu jegomość położył się w grobie,
 Jejmość, skąd przyszła, pojechała sobie;
 I począł czynić nowy ład we dworze
 Młodziuchny panicz, co mieszkał w klasztorze.
 Ać sobie człowiek! nie wymyślił prochu,
 I zły, i dobry — wszystkiego po trochu;
 Stan włości zdziałał niby to szczęśliwszy,
 Umarł, dwóch młodych synów zostawiwszy.
 Oto i wszystko — folwark Stara Niwa
 Jeszcze w dostatki i spokój opływa...

1858. Wilno.

CZARNO I BIAŁO.

OBRAZEK.

Żyła sobie dewotka
 Niedaleko od fary;
 Miała pieska i kotka,
 Obok sąsiad żył stary.
 Była wielce z nich rada,

Bo i jakże inaczej?
Z kotka, z pieska, z sąsiada
Miała wiernych słuchaczy.
Czasem dojrzy jej oko
Wśród powieści i plotek,
Że usnęli głęboko
Sąsiad, piesek i kotek.
Lecz sąsiad, sztuka bita,
Zręcznie jej się wywinie,
Bo gdy czasem go spyta:

— Prawdaż, panie Marcinie?
To on, choć krzepko zaśnie,
Zawsze pokiwa głową
I mruknie w porę właśnie:
Tak... tak, pani Janowo!

* * *

— Uważałeś, jegomość?
Dziś asesor coś bladszy;
Musiał dostać wiadomość,
Że sąd ziemski źle patrzy...
Oj te ludzkie języki!
Gdyby zebrać je razem,
I za nałóg ich dziki
Wszystkie uciąć żelazem!
Jabym mówić gotowa,
Ale prawdę, a skromnie;
Na co mi ta obmowa?
Co to należy do mnie?
Jan o sobie pamięta,
Ekonom ludzi bije,
Pisarz klaska w karcieci,
Wójt z organistą pije...
Bóg tam z nimi!... Bóg z niemi!
Ja patrzę tylko siebie!
Każdy człowiek na ziemi,
Nie to, co święty w niebie.
Myślmy o własnej winie,
Nie sądźmy zbyt surowo...
Prawdaż, panie Marcinie?

— Tak... tak, pani Janowo!

*

*

*

— U nas plotki, jak błoto,
Wszystkich mażą bezwzględnie;
Słuchaj tylko, co plotą,
To aż ucho ci więdnie!
Uważałeś?... na prawo...
Ktoś miał czepek w pół głowy...
Masz i plotkę ciekawą,
Bo już przedmiot gotowy!
Dobrzy sąsiedzi moi
Ogadali już może:
Że ta pani się stroi
Nie dla męża... broń Boże!
Że ma zalotny narów,
Że to na gachów siatka,
Że ktoś tam z za filarów
Patrzył na nią z ukradka;
Lecz to fałsze... potwarze!...
Ja widzę co niedziela:
On zawsze bywa w farze,
Lecz nie tam okiem strzela.
Może sądzisz po minie,
Że ja podrwiłam głowę?
Prawdaż, panie Marcinie?

— Tak... tak, pani Janowo!

* * *

— Już co zgadnę, to zgadnę!
Wierzę w domysłność moją;
A te plotki bezładne
Kością mi w gardle stoją!
Jam dosyć ich słyszała,
Lecz prawdy ni kropelki.
Naprzykład... suknia biała...
Niby to symbol wielki!
Niewinność... skromność... cnota...
Och! żeby nos im taki!
Śledziłam ją z za płota,—
Chłopcom dawała znaki!
A oczy tak ogniste,
A kibić wymuszona:
O Panie Jezu Chryste!
Niby to święta ona!

Znamy się na świętości...
Dzisiaj i ja sensatka...
Och! powiem jegomości,
Wróćcie mi młodsze latka!
Każda, co się nawinie,
Przedemną w kąć się schowa.
Prawdaż, panie Marcinie?
— Tak... tak, pani Janowo!

— Tylko się chwalić nie chcę,
Lecz miałam szczęścia trocha!
Kogo spojrzeniem zlehcę,
To zaraz mię pokocha!
Rzuciłam płocze żarty,
Postrzegłam, jak te szpecą;
Rok... drugi... trzeci... czwarty...
Jam spoważniała nieco.
A młodzież?... gdzież ci młodzi?
Pierzchnął mój lud poddańczy!
Jeden dziś z kijkiem chodzi,
Drugi swe wnuki niańczy.
Zepsucie dziś na ziemi!
Dzisiejszy rój młodzieży
Za szesnastoletniemi,
Za wietrznicami bieży!
Pan Bóg wie, czem zajęci,
Śmiechem pogardy płacą
Najlepsze nasze chęci:
Za cóż to? pytam, za co?
Bo młodość wkrótce minie,
Bo mi siwieje głowa...
Prawdaż, panie Marcinie?
— Tak... tak, pani Janowo!

— Kłamstwo!... jesteś sam stary!
Przyjdą czasy odmienne!
Ja dam na Mszę do fary,
Pościć będę Nowennę,
I ołtarzyk ponoszę;
Ujrysz waćpan dobrodziej,
Że wyposzczę, wyproszę

Więcej statku dla młodzi.
 Mimo wszystkie zalety,
 Nikt nie spojrzysz na młodą,
 A stateczne kobiety
 Rej na świecie powiodą.
 Chociaż się lata roni,
 Choć mija wiek człowieczy;
 Ale święty Antoni •
 Patron zgubionych rzeczy:
 On mi młodość odszuka,
 Wróci rumieniec licom!
 Będzie sztuka!... ot sztuka!
 Na złość młodym wietrznicom!
 Nie ich... a mnie jedynie
 Szarpać będą obmową!
 Prawdaż, panie Marcinie?
 — Tak... tak, pani Janowo!

1858. Wilno.

WIDZENIE PUSTELNIKA.

LEGENDA.

I.

Kiedyś przed laty pustelnik stary
 Wrócił wieczorem do swej pieczary;
 Wykrzesał ognia, zatlił pochodnię,
 Kłękł na kamieniu mówić pacierze;
 A płomień lampy z modlitwą zgodnie
 Wprost ku niebiosom kierunek bierze.
 Gdy pergamin wolumen szasta,
 Gdy się przewraca karta Psalterza,
 Płomień się chysta, zwięża, rozszerza,
 I ludzka postać z knota wyrasta.
 A воск i smoła w knocie się skwarzą,
 Że zda się słyszeć jęki czyścowe;
 Knot wśród płomienia wziął kształty nowe,
 Z ludzką postacią i z ludzką twarzą:
 Łuk ma przez plecy, sokoła w dłoni,
 Głowę schyloną, plecy barczyste,
 A trąbka zda się na łowy dzwoni:
 O miserere! o salve, Christe!

II.

Święty pustelnik zgadnął te dziwy,
Że jęczy w czyściu jakiś myśliwy.
Może nie bacząc klątwy kościelnej,
Ufny, że nic się złego nie stanie,
W dzień uroczysty, lub w dzień niedzielny
Ruszył do lasu na polowanie;
A ceniąc rozkosz jednogodzinną,
Cały zajęty własną uciechą,
Rozbudził z drzemki borowe echo,
Coby w niedzielę milczeć powinno.
Dla wybawienia biednej istoty
Pustelnik ślubów poczynił wiele:
O chlebie z wodą suszyć soboty
I leżeć krzyżem w każdą niedzielę.
Lecz postać strzelca z knotu nie znika,
Wiją się przy niej kłęby ogniste,
Skwierczy i jęczy muzyka dzika:
O miserere! o salve, Christe!

III.

Może zabywszy myśliwskie prawa,
Sięgnął na własność cudzego mienia,
Gdy go zawzięta gnała obława,
W puszczy królewskiej zabił jelenia.
Może gdzie spotkał dziewicę młodą
Wśród gęstej puszczy i samą jedną;
Nieskromne oczy tak ją przeboda,
Że zarumienił wieśniaczkę biedną.
Może gdy w polu strzelec się błąka,
Pusta go chętka morderstwa bierze:
Puścił sokoła w lot na skowronka,
Kiedy ten Panu śpiewał pacierze.
Więc nowe śluby — goręcej, godniej,
Czyni pobożny duch pustelnika;
Ale nie trafił na rodzaj zbrodni,
Bo postać strzelca z knotu nie znika.
Wciąż się w płomieniu widmo unosi,
Wiją się przy niem obłoczki mgliste,
A pisk bolesny ratunku prosi:
O miserere! o salve, Christe!

IV.

Czy w nierozumnym zapale może
 Końmi i psiarnią — zwyczajnie młodzież —
 Trałował biednych rolników zboże,
 Lny, z których kmiotek miałyby swą odzież?...
 Knot się pochylił, — pustelnik rzecze:

— Dosyć ci, dosyć cierpieć tak srodze!
 Przebac, o Boże! winy człowiecze,
 A szkodę, pozwól, ja wynagrodzę!
 Z wioski do wioski, z młyna do młyna,
 Pójdę żebrować po garstce żyta,
 By co rok jedna wdowia rodzina
 Czarnego chleba miała do syta.
 Z chaty do chaty, kędy tką krosna,
 Pójdę żebrować o płótna szmatek,
 Ażeby ludzi ręka litosna
 Okryła troje sierocych dzieciak.
 Bóg winowajcom Swą litość dawa,
 Królowie winę przebaczyć mogą;
 Ale przebaczyć nikt nie ma prawa
 Temu, kto ludzkość skrzywdził ubogą.
 Jedyna rada: o ile siły,
 Nagrodzić krzywdę biednej chudobie!

Tak mówił starzec, — a knot pochyły
 Padł na kolana w strzelca osobie.
 I płomień parsknął z środka pochodni,
 Wzniosły się k'niebu światła gwiazdziste;
 Grzesznik rozgrzeszon ze swojej zbrodni.
 Ojczyzna ubogich! chwała Ci, Chryste!

1858. Wilno.

TRZY CÓRKI LITWINA.

OPOWIEŚĆ.

I.

Ponad Niemnem na górze
 Stało Litwy przedmurze,
 Pograniczna osłona od wroga,
 Stał zameczek drewniany,
 Lecz warowne miał ściany,
 Krzepka była litewska załoga.

Nieraz horda krzyżacka
Napadała znienacka,
Lecz nie wzięła warowni ni razu;
Bo dowodził załodze
Litwin waleczny srode,
Stary, jary, wykowan jak z glazu.

Będąc wdowcem rok wtóry,
Sam piastował trzy córy,
Trzy uroczę pociechy Litwina.
Aż trzech zięciów mieć będzie,
Więc szczęśliwy w tym względzie.
Choć bogowie nie dali mu syna.

— Jeden, z mieczem a w szłyku,
Pójdzie w stronę Bałtyku,
Za rodzinne wysunie się knieje;
Przy malborskiej gdzieś wieży
W róg bawoli uderzy,
Ze aż Niemca mdłe serce struchleje.

Drugi, w sutej niedźwiedni,
W kraje Rusi sąsiedniej
Na mierzynie powiedzie rębaczy, —
I w Kijowie, na Ławrze
Z kniazem miru nie zawrze,
Aż ośminę czerwonońców zahaczy.

Trzeci, cały w żelazie,
Miecz i ogień powiezie
Aż pod Kraków, na dar dla sąsiada;
Przy Floryańskiej gdzieś bramie
Chrobry oszczep załamię,
Na Wawelu z Lachami pogada.

Wy tymczasem, dziewoje,
Krasne córki wy moje,
Tczyjcie krosna i prządcie kądziele,
Jak kaliny rośnijcie,
Jako róże kwitnijcie
Na sędziwych lat moich wesele.

Duma słodko wódz siwy,
Jaki będzie szczęśliwy,
Swoje przyszłe pociechy oblicza.

Nie zapędzaj się, stary:
Insze ludzkie zamiary,
Insze w niebie Perkuna i Znicza.

II.

Raz wieczorkiem na wieży
Trąbka sygnał uderzy;
Zapytano: Kto jedzie? i pogo?
Zbrojny od stóp do głowy
Niemiec, rycerz krzyżowy,
W lasach Litwy zabłądził przed nocą.

Serca złością zadrgały,
Gdy ujrzano płaszczy biały,
Z czarnym krzyżem, zwieszony przez ramię;
Lecz domowa gościna,
Święta sercu Litwina:
— Niech i Niemiec chleb z nami przełamię.

Praw gościny wódz słucha,
Most zwiedziono z łańcucha,
Zaproszono na nocleg rycerza,
I przy piwie, przy miodzie,
Przy gościnnej swobodzie
Zastawiona litewska wieczerza.

Krzyżak zmęczon z podróży,
Wypił miodu róg turzy,
Otoczyła go Litwy gromada;
On słowami pięknymi
O niemieckiej swej ziemi
Troje dziwów Litwinom powiada.

Jaki tam lud wesoły,
Jakie piękne kościoły,
Jakie zamki, pałace i bramy,
Jakie świetne turnieje,
Jak tam rycerz krew leje,
Krusząc kopię za honor swej damy.

Stary Litwin się dąsa,
Kręci siwego wosa,
Bo mu nie w smak niemieckie te brednie;
Lecz najstarszej dziewoi
Ten kraj w oczach już stoi,
Patrzy, słucha, kraśniej, to błednie.

Zda się mówić oczami:
— Mnie to nęci i mam,
Nawet ojca-mi porzucić gotowa!
Tak z krzyżackim siepaczem
A dziewczęciem prostaczem,
Poszła niema oczami rozmowa.

Nie wiem, co tam mówili,
Lecz o porannej chwili,
Kiedy słońce błysnęło nad rzeką,
Już jej w zamku nie było:
Wzięta wolą czy siłą,
Ujechała z Krzyżakiem daleko.

Dziad załamał swe dłonie,
Wysłał szybkie pogonie,
Lecz o zbiegach ni śladu, ni wieści.
— O! Perkunie, Perkunie!
Czemu grom twój nie runie,
Aby pomścić się mojej bezcześci?

Już mi na koń niesnadno,
Już mi ręce bezwładną,
Już mi pancierz dolega pod szyją;
Lecz mieć będę dwóch zięci,
Każdy z nich się poświęci,
Wyszukają psa Niemca — zabiją.

Wy tymczasem, dziewoje,
Krasne córki wy moje,
Tczyjcie krosna i prządcie kądziele,
Jak kalina rośnijcie,
Jako róże kwitnijcie,
Z waszych mężów potrzebni mściciele.

III.

W rok — wieczorkiem na wieży
Trąbka sygnał uderzy.
Zapytano: Kto jedzie i poco?
Młody, krasny a strojny
Ruski wojak szedł z wojny,
W lasach Litwy zabłądził przed nocą.

Rad, że gościem Bóg darzy,
Więc z uśmiechem na twarzy
Litwin Rusa przyjmuje najmilej,
I przed całą drużyną
Stawi hojnie miód, wino,
I zaprasza, by jedli, i pili.
Gdy wypili a zjedli,
Na rozhovor zasiedli,
Długi wieczór upłynął w rozmowie.
Rusin, siadłszy na ławie,
Opowiada ciekawie,
Opowiada o swoim Kijowie:
Jaki tam lud zamożny,
Jaki tam Dniepr wielmożny,
Co to płynie i mlekiem i miodem,
Cerkwie z bańmi ze złota,
Co jak słońce migota,
Co jak gwiazda przyświeca nad grobem.
A jak idzie gród stary,
Tak pod ziemią pieczary,
Kędy święci spoczęli mężowie;
A niewiasta ma wolę,
Nosi szuby sobole
I sobole kołpaki na głowie.
Średnia córka go słucha,
Ani oka, ni ucha
Z nadobnego nie spuszcza Rusina;
A on rad, że mu radzi,
Złotą brodę pogładzi,
I piękniejsze powieści poczyną.
Starzec bacznie uważa
Kijowskiego bazarza,
I polubił, bo mówi do rzeczy...
Lecz nazajutrz po nocy
Jęk się rozległ sierocy:
Stary Litwin swej doli złorzeczy.
Średnia córka na Rusi
Już daleko być musi:
Do granicy nie więcej pół mili.

W trąbkę: na koń! uderzy,
Wysłał w pogoń rycerzy;
Lecz rycerze bez skutku wróclii.
Szkoda ojca nędzarza!
Piersią w prochu się tarza,
Siwe włosy i siwą rwie brodę:
— Ha! uciekłyście skrycie,
Cudzym bogom dać życie,
Wrogom niańczyć szczenięta ich młode.

Szczęściem — nawet w kurhanie
Mych popiołów nie stanie,
Gdy lat dziesięć, dwadzieścia przeminie,
Gdy dla krwawych łupieży
Syn Litwinki przybieży
Hańbić Litwę i bogów świątynie.

Lecz nim pójde pod ziemię,
Będę wasze kłął plemię,
By zmarniało nikczemnie a podle;
A gdy skończę to życie,
Tam w niebieskim błękiecie,
Piorun na was u bogów wymodłę.

Córko! niech cię popieszczę,
Coś została mi jeszcze,
Tyś najmłodsza, tyś moja jedyna!
Prędkoż družki nad młodą
Pieśń weselną zawiodą?
Mnie potrzeba mściciela i syna!

IV.

Rośnie dziewczę, ej rośnie,
Jako kwiatek w półwiośnie!
Gdy raz trąbka zagrała na moście.
Powstał Litwin brodaty,
Wyjrzał oknem z komnaty:
Nieznajomi zjawili się goście.

To sarmaccy husarze;
Helmy kryły ich twarze,
Z ramion rysie staczały się burki;

Na ramionach i czole
Mieli skrzydła sokole,
A na piersiach pancerze w jaszczurki.
Już zgrzybiały wódz Litwy
Miał dać hasło do bitwy,
Już topory i miecze dobyto, —
Kiedy Lachów wódz młody,
W znak pokoju i zgody,
Hełm złocisty ze strusią zdjął kitą.
I posyła przed strażę,
I powiedzieć tak każe:
— Mir i cześć ci, szlachetny Litwinie!
Idziem z Niemiec do Niemna,
A nastaje noc ciemna, —
Dajcie nocleg gościnny drużynie.
Na żądanie wnet wasze
Odpaszemy pałasze.
Wódz litewski ich przyjął najmilej;
Tylko spytać ich każe:
— Ej wy Lachy, husarze!
Czemu Niemców do szczętu nie zbili?
Choć zawiedzion zdradziecko,
Litwin ufny, jak dziecko,
Wita Lachów uprzejmie, ciekawie;
Każe dać miodu, piwa,
A ich wodza przyzywa
I sadowi przy sobie na ławie.
I rozkrawa pierś dzika,
I piwnice odmyka,
I wynosi czem chata bogata:
Miód od wielkiego święta,
Co Mendogów pamięta,
Co już setne przechował się lata.
A gdy miodu sowito
Raz i drugi wypito,
Litwin starej a prostej natury
Wyspowiadał przy miodzie,
Jaka żałość go bodzie,
Jak mu z domu zginęły dwie córy.

Dobrze w oczach u Lacha,
Więc się zdrady nie stracha, —
A że dusza podzielić się rada,
Więc wypiwszy po trzecie,
Każe wołać swe dziecię
Do komnaty, gdzie była biesiada.
Młody Laszek wzrok wnąca,
Czarny wąsik pokręca,
Strzela słowy gładkimi, jak może, —
Że Litwinka nieśmiała
Aż trzy razy skraśniała,
Ot! zwyczajnie, chowała się w borze.
Gadu... gadu... Lach rzecze:
Zacny jesteś, człowiecze,
Smaczny miód i puhary masz duże.
Przyjedź tylko pod Kraków,
Ja w imieniu Polaków
Za gościnę gościną odslużę.
Bo wam powiem otwarcie:
Dobre miodne tu barcie,
Ale nasze bogatsze są kraje;
Mamy pełno pszenicy,
A z węgierskiej granicy
Przywozimy stuletnie tokaje.
Dobrzy wasi książęta,
Ale wola ich święta,
Wy nie znacie sejmowej obrady;
U nas szlachta na sejmie
Kiedy okrzyk podejmie,
To i król nie potrafi dać rady.
Dobre wasze są bogi,
Ale Poklus za srogi,
Perkun grzmotem przeraża z daleka;
Nasz Bóg — dobroć to szczera,
Krwawą śmiercią umiera,
Byle tylko wybawić człowieka.
Matka Jego — Dziewica,
Jakże święte ma lica!
Jakże oczy miłością płonące!
Ile ludziom łask czyni
W Częstochowskiej świątyni,
Kędy idą pielgrzymów tysiące!

Patrzcie!... — odjął od szyi
Obraz świętej Maryi,
Wyrzeczany misternie na blasze: —
Ona naszych prośb słucho,
Ona wzmacnia nam ducha,
Ona w boju hartuje pałasze.
Litwin spojrział z niewiarą,
I najeżył brew starą,
I cichemi odezwał się słowy:
— Ha! uwierzyłbym może,
Niech mi tylko pomoże
Zwodzicielom mych córek zgiać głowy!
Dziewczę z twarzą odmienną,
Jakby w tęczę promienną,
W święty obraz wlepiła swe oko;
Wsparła główkę o ścianę,
Marzy dumki nieznane,
Pokraśniała, westchnęła głęboko.
Gadu... gadu... koleja,
Drugie kury już pieją,
Zasłuchali się prości Litwini:
Jak tam Kraków ubrany,
Jakie dzwony, organy
Na wawelskiej zamkowej świątyni.
Litwin pyta a śledzi,
Czy tam wiele niedźwiedzi,
Czy tam dobrze hartują bardysze;
A ciekawa dziewczyna,
Gdy gość książki wspomina,
Rozpytuje, co w książkach tych pisze?
Tak rozmowa husarza
Głowę Litwy rozmarza,
Że gdy jutrznia błysnęła z za wzgórką,
A sen zmorzył powieki,
To w krainie dalekiej
Śnili Kraków i ojciec, i córka.
Ranek świecił precudnie...
Lecz jak przyszło południe,
Z chmur rześiste polały się deszcze.
Więc gospodarz powiada:
— Gościu! chata wam rada,
A przebawciez tu z nami dzień jeszcze.

Pora zimna i dżdżysta,
Lach z ofiary korzysta.
Dano miód, naniecono kominek; —
Przegwarzyli dzień cały...
Lecz nim kury zapiały,
Zniknął Lach — i najmłodsza z Litwinek.
Litwin strzaskać chciał głowę
O kamienie zamkowe,
Ale rozpacz potłumił szaloną;
Nie zatrąbił do broni,
Nie posyłał pogońi:
— Niech już jedzie, gdzie jechać sądzono!
Obezsilniał w rozpaczy,
Znać, że głowa majaczy.
Snadź się dusza zachwiała gorąca;
Z obłąkanem obliczem
Pali ognie przed Żniczem,
To posągi Perkuna roztrąca.
Czasem jakby szalony,
Grozi pięścią w trzy strony
I orężem w powietrzu wywija.
Wreszcie — rzucił załogę,
Nic nie wzięwszy na drogę,
Oprócz torby żebraczej i kija.
Próżno Litwa go błaga:
— Ojcze! twoja odwaga,
Twoja mądrość broniła te ściany;
My nie damy tu rady
Przed zbrojnemi napady!
— Dzieci moje! — rzekł starzec znękany: —
Wodza kołpak niedźwiedzi,
Miecz kowany, tarcz z miedzi,
Niech piastuje kto z młodszych rycerzy;
Bo w te nasze warownie
Wkrótce może gwałtownie
Niespodziany grom z nieba uderzy.
Widzę — w niebios przestrzeni
Jak się jutrznia rumieni,
To się snują obłoki bezładne;

Huczy w chmurach pieśń nowa,
Dobrze słyszę jej słowa,
Ale słów tych znaczenia nie zgadnę.
A ja... z przeszłości starej
Umiem piosnek bez miary,
Tym ostatek dni moich poświęcę.
Pójdę w dzieci wioskowe
Wpajać piosnek osnowę,
Bo żyć tylko będziemy w piosence.
Litwa — w bredniach boleści
Nie domyśla się treści,
Rozśmieszyły ją starca widziadła.
Opętały go duchy,
Poszedł sobie w las głuchy,
I wieść o nim na długo przepadła.
Ktoś go spotkał... coś plecie,
Szuka córek po świecie,
Obłąkany, zmarzony, jak senny;
To rozeszła się mowa,
Że szedł w stronę Krakowa,
Ukazując obłoczek promienny.
W rok, czy we dwa — przy wieży,
W jakiejś dziwnej odzieży,
Znaleziono trup starca nareszcie;
Zamiast pasa sukmany,
Miał powrozek wełniany,
Przy powrozkę — paciorki niewieście.
Lecz co dziwniej się zdało,
Że gdy wodza już ciało
Mieli spalić na stosie Litwini, —
Na jego piersi męznej
Błyszczał krzyżyk mosiężny
I obraz świętej Lachów bogini.

Wilno. 1859.

KSIEGARZ ULICZNY.

G A W Ę D A.

Aksamitem i złotem świetnieją księgarnie,
Aksamitna publiczność po książki się garnie;

A księgarz, ceniąc towar, jako mu się zdawa,
Złocistemi wyrazy sypie jak z rękawa;
I nam, którzy do druku gotujemy skrypta,
Do spartańskiej polewki dana soli szczypta.
Dzięki Bogu i za to, — a czy pamiętacie,
Kiedy w pańskim pałacu i w szlacheckiej chacie
Starczył za wszystkie książki wileński kalendarz,
A za wszystkie gazety wioskowy arendarz?
Dziś cała Litwa czyta, dziś wszystko jest znane,
Więc pytasz sam u siebie: Kto sprawił tę zmianę?

Patrzcie! ja go wam wskażę: Przyparty do ściany
Stoi Żyd siwobrody, okryty w łachmany,
Oczy krwawe, zamglone, zgrzybiałość na twarzy,
Pod pachą kilka książek. To Nestor księgarzy!
Nie szydźcie z tej postaci! Lat sześćdziesiąt blisko,
Jak zajął przy tej ścianie swoje stanowisko,
I przechodniom zalecał bibułę i szmaty,
Za miedzianą monetę dał złoto oświaty.

Gdzie wielka pieśń i mądrość Hellady i Romy
Górowała nad naszej mądrości atomy,
Kiedy w słowie Platona, w Horacego nucie
Znajdowano Wielkości i Piękna pocucie,
On sprzedawał łacińską książeczkę in quarto,
Zabrudzoną z początku, a z końca odartą.
Sprzedał za kilka groszy i w dodatku powie:

— Niech pan czyta szczęśliwie, niech służy na
zdrowie.

Zdrowieź było w tych książkach! słowo wrzące czynem,
Naczytawszy się Rzymian, byłeś Rzymianinem,
Duch olbrzymiał w potęgę, opływał w rozkoszy
Za ubogą zapłatę kilkunastu groszy.
A nędzarz, co to sprzedał, patrz, jak błogo leci
Kupić czarnego chleba dla żony i dzieci!
Jak za ten czarny chlebek, plon swojego żniwa,
Panu Bogu dziękczynne Psalmy wyśpiewywa!

Pogadajmy z nim sami. Wspomniał czasy młode,
Westchnął, oparł na kiju osiwiiałą brodę,
Otarł czerwone oczy:

— Panicze! panicze!

Tyle dobrego zdrowia i setnych lat życzę,
Ile przez moje ręce przeszło za lat dawnych
Prawdziwych Elzewirów w pergamin oprawnych!
Czy to raz profesorska figura zgarbiona
Płaciła po dukacie listy Cycerona?

Za Plautusa, choć prawda inkunabuł stary,
Pan Grodeck mi zapłacił aż cztery talary,
A ja tylko sprzedając ściskam ramionami,
Bo na co im te książki, kiedy piszą sami?

Rarytne były czasy! a książek ogromy;
Grodeck, Czacki, Śniadeccy popisali tomy,
Dzieła choć naukowe szły jak asygnata,
Dużo ich sprzedawałem w staroświeckie lata!
Czy żyją, czy pomarli, daj Boże im zdrowie!
Kupowali je hurmem akademikowie.

Nie jeden z nich dostąpił sławy literata,
Lub wielkiego lekarza przed obliczem świata;
Nie jeden tego doszedł przez mego Homera,
Że dziś jeździ kareta i ubogich wspiera.
Toż wszystko moje dzieci! mogą mówić śmiało,
W moich to oczach rosło, w moich rozumniało.
A był to lud ubogi, obciążony pracą,
Nie jeden chciałby kupić... a tu nie ma za co!
Nie jeden — tych paniczów dobrze mam w pamięci, —
Targuje, zwraca książkę, a łza mu się kręci.
To ja tak myślę sobie: No! szkoda mi dzieci,
Dam na kredyt lub w zamian literackich śmieci,
Od Baki do Newtona wszystko mi się przyda.
A poczciwi panicze pokochali Żyda,
Grosz powoli, lecz ciągle, do worka się sący,
Aż przyszedłem na koniec do nowej opończy.

W zamianę dostawałem grube foliały:
Rejów, Wujków, Paprockich, Strykowski zbior
Łazarzów, Piotrkowczyków wydania bogate, [cały,
I pamiętam tytuły, pamiętam ich datę.
Nie chwając się, znam druki krakowskie najrzadsze,
Że czasem i w Bentkowskim omyłki dopatrzę.
Niepopłatny był towar, mało znany komu,
To ja... z piętra na piętro... od domu do domu...
Obnoszę, pokazuję, rarytność dowodzę,
Wypchną mię przez drzwi jedne, ja drugimi wchodzę;
Bo z biedy cóż mam począć? dla kawałka chleba

Jasnym panom oświatę narzucać potrzeba.
I trochę rozbudziłem do książek ochotę:
Kolońskiego Kromera sprzedam za dwa złote;
Jeszcze wyższej w mym handlu dochodziły ceny
Stuletnie Kalendarze i Nowe Ateny;
Najwyżej stał Paprocki — bo tam było ryte,
Jaki herb dla lokaja, jaki na karecie.
A choć mi czasem szkoda gotyckich rupieci,
Cóż robić? myślę sobie — to na chleb dla dzieci.

No!... pana Mickiewicza zabłysnęła chwała;
Ale już postarzałem... broda posiwiała,
Ręce, znużone dziełmi Tacyta, Plutarcha,
Wsparłem ot na tym kiju stary patryarcha;
I nieraz, gdy książeczkę roznosiłem małą,
Samemu na ten towar patrzeć się nie chciało;
Bo do czego to warto? tom taki niespory!
Jam przywykł do in folio lub quarto majori.

Co w tem, to pobiłdzilem, bo to dobre dzieła!
Wallenrodom i Dziadom Litwa przyklasnęła.
Czy pan wiesz? były cuda, co i sen nie marzy:
W pół godziny sprzedałem... dziesięć egzemplarzy!
A wzięwszy dziesięć złotych raduje się dusza:
Ha! to musi być większy od Horacyusza!
Pamiętam jakby dzisiaj, gdy w rzewnej podzięce
Autorowi Grażyn y całowałem ręce...

Lecz poczałem ubożec: czas płaci, czas traci...
Nowe kramnice książek otwarli bogaci,
A w każdej pełno ludzi, ciekawość ich zdjęła,
Każdy się dopytuje o najnowsze dzieła;
A ja, najstarszy księgarz, com sprawił tę zmianę,
Stoję, zgarbiwszy plecy, i podpieram ścianę.

Co staremu do tego, czy wilgoć, czy słońce?
Zalecam przechodzącym romans Walter-Skota.
Egzemplarz niekompletny... cóż ja biedny zrobię?
Pan Joachim wyjechał, pan Mickiewicz w grobie...
Pamiętam ich, pamiętam... ja żyłem z ich darów.
Teraz już nie sprzedaję tak dobrych towarów...
Skarlał czas, pokarleli nasi literaci,

Ale, jak mówią ludzie: czas płaci, czas traci.
Bóg mi czterdziestoletnią wynagrodzi pracę,
Odzyskam na Kraszewskim, co na innych stracę.

Kupujcie go panowie! sprzedaję niedrogo,
Bo biedne moje wnuki z głodu pomrzeć mogą.

Wtem karetą księgarza po bruku się toczy,
I błotem obryzgała ślepe starca oczy.

Otarł zbolale oczy i podniósł je w górę:

— Och! na co ja stworzyłem tę literaturę?!

1859. Wilno.

MARCIN STUDZIENSKI.

KARTKA Z KRONIKI WILNA.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Wieczór mieszczański.

I.

Stefan Kotwica, rajca wileński,
Sprawował ucztę w dzień swego święta.
Rej wodził w tańcu Marcin Studziński.
Milem nań okiem patrzą dziewczęta,
Siwi starcowie patrzą nań mile,
Jako na wnuka albo na syna;
Bo pan Studziński zuch w całej sile,
Każdemu młode dni przypomina.
A nasi starcy, plemię junacze,
Postarzeć sercem prędko nie mogą —
Ze skaczącymi choć okiem skacze
I rzeźkie takty wybija nogą,
Z pod sutych skrętów siwego wasa
Mruczy piosenkę — snadź dusza rada —
Głowę zarzuca, brodą potrząsa,
I ręce pysznie za pas zakłada.
W dzielnym narodzie, wiedzą to starzy,
Że być powinni wzorem młodzieży;
I znają dobrze, co im do twarzy,
Co dostojności ich przynależy.
Czy kord bojowy, czy puhar w dłoni,
Starzec ochoczo rej u nas wie dzie;
Czy biesiadnicza muzyka dzwoni,
U nas starcowie zawsze po przedzie.

II.

Muzyka dzwoni, a młodzież hasa,
I najserdeczniej szumi zabawa;
Zagrzana tańcem dziewczęta krasa
Jeszcze się bardziej promienną zdawa,
I jeszcze ostrzej do serca sięga
Grot pięknych oczek błyszczący jaśnie;
Furknie w powietrzu dziewczęcia wstęga,
Albo splot włosów po skroni głaśnie,
Taki dreszcz dziwny przejmie tancerza,
Że wrazby duszę oddał dziewczynie,
Krew mu do serca młotem uderza,
A głowa krąży jakby po winie.
Marcin Studzieński, tancerz ochoczy,
Do tańca córkę wiódł gospodarza:
Iskrą goreją młodzieńca oczy,
Iskra dziewczęce oczki rozżarza.
Gdyby nie hucznej muzyki gwary,
Gdyby w podkówki tak nie grzmocono,
Możnaby słyszeć u piewrszej pary,
Jak jednym taktem uderza łono;
Lecz choć nie słysząc nic za łoskotem,
Łatwo odgadnąć, nie myśląc wiele, —
Stare matrony już szepcą o tem:
Będzie wesele.

III.

Będzie... nie będzie... na dwoje wróży
Babka wróżbiarka, śledząc z ukradka;
Bo coś pan ojciec oblicze chmurzy,
A niespokojna coś pani matka,
I pan wójt miejski nadchmurzył lica,
Zwrócił ku ojcu wzrok zagniewany:
— Pocóż ci było wwodzić szlachcica
Między mieszczany?
— Żem go wprowadził — niewielka rzecz!
Jak sobie przyszedł, tak pójdzie precz,
Jeżeli szlachcic, stąpając z góry,
Zechce nam miejskie uwodzić córy!
Niechaj się każdy dzierży swych granic,
Nam ich wielmożność nie zda się na nic.
Ważność mi wielka! koń i szabelka,
Pustka w kieszeni i harda postać!

Sławetna miasta obywatelka
Żoną szlachcica nie może zostać!
Niech się tak bardzo z nami nie kuma,
My się na łasce szlacheckiej znamy;
U nas jest nasza mieszczańska duma,
Z łokcia i szali, z handlu i kramy.

Tak mówił z gniewem Stefan Kotwica,
Trafił mieszczanom w stronę pochlebczą,
I pan wójt miejski zachmurzył lica,
I na młodego zucha szlachcica
Już znowę szepcą.

IV.

Marcin Studzieński nie wie o znowie,
Nie zważa na nic i na nikogo;
A taniec idzie, grzmocą grajkowie,
A on zajęty Maryą drogą.
Na wypoczynek usiada przy niej,
I tysiąc grzecznych przymileń czyni,
Pieści jej rączkę, szepce do ucha,
A głos ma drżący — braknie mu słów...
A ona rada, śmieje się, słucha,
Ochłodzi oddech — i w taniec znów.

V.

Na półzegarzu już po północy,
Już słyhać nocne wołanie stróży,
Już w muzykantach nie stało mocy,
Już i do tańca siła nie służy.
Ucichły huczne skrzypce i kotły,
Tłum się zamieszał po izbie całej;
Już się tancerzów ręce rozplotły,
Już się zmęczone nogi zachwiały;
I u pań mieszczyk złociste czepce
Już po szklanicy na bakier głowa,
Jedna do drugiej po cichu szepce:
— Już czas do domu, pani majstrowa!
Beczulka wina jedna i druga
Już pustym dźwiękiem na finis dzwoni;
Niejeden mdławo oczami mruga
I srebrny puhar wypuszcza z dłoni.
— No, gospodarzu! żegnać cię trzeba!
Daleś nam hojnie i pić, i jeść,

Daleś nam soli, daleś nam chleba,
Daleś nam wina, daleś nam cześć.

VI.

Goście zegnają pana Kotwicę
I opuszczają gościnne progi.
Tłum panów mieszczan poszedł w ulicę,
Choć nie każdemu posłuszne nogi.
Słychać w ulicy pochmielne gwary,
Lub głos piosenki ostrej, a twardy;
Niech sobie zrządzi stróż miejski stary,
Niestraszne groźby ni halabardy!

— Czyż człek w ulicy krzyczeć nie może,
Gdy sobie podpił, kiedy go stanie?
Czy my włóczęgi jakie broń Boże?

Tutejsi kupcy, albo mieszczanie.
Pachołek miejski! żartuj zdrów, bracie!

Tak stroją śmieszki z nocnego stróża.
A w gospodarskiej pustej komnacie
Została gości garstka nieduża:
Został wójt miasta i dwaj ławnicy
Z siwemi brody, z siwemi głowy,
Czterech przyjaciół pana Kotwicy,
I magdeburski pisarz sądowy;
Sama starszyzna — same senaty —
Znaczno po wąsach, co jeżą srogo...
A w oddalonym końcu komnaty
Pozostał rycerz ze swą niebogą.
Czegoś tam w tańcu nie dogadali,
Nie dokończyli jakiejś chichotki,
Więc od starszyzny siedli w oddali
I wiodą z sobą rozhovor słodki, —
Rozhovor słodki, pusty, dziecinny,
Bez ładu, składu, jakby w podchmieli;
Gdyby go z boku słyszał kto inny,
Mógłby powiedzieć, że poszaleli.
Spytaj się u nich, gadali o czym?
To żadne z dwojga samo nie powie.

Ot my gwarzymy, ot my chichoczem,
Bo nam tak dobrze na tej rozmowie.

Dobrze wam społem?... strzeżcie się młodzi!
Starsi inaczej widzą te rzeczy.
Pan wójt coś groźnie oczami wodzi,

Pan ławnik szepce i ręką przeczy,
 Pan pisarz miejski nie kończy kwarty,
 A pan Kotwica czoło zachmurza.
 To zły prognostyk, nie żadne żarty,
 Ej, będzie burza!

VII.

— Panie szlachcicu! panie Marcinie! —
 Zawołał burmistrz najpierwszy w radzie —
 Czy znasz przysłowie: że zła nie minie,
 Kto między szparę w drzwi rękę kładzie?
 Czy znasz przysłowie sowy i kruka?
 Proszę na baczynym chować je względzie.
 Niech sobie równy równego szuka;
 Czem czart nie orał, tem siał nie będzie,
 A to się znaczy, że my, choć prości,
 Choć naszych przodków szereg niedługi,
 Mieszczanie Jego Królewskiej Mości,
 Tacyśmy dobrzy, jak i kto drugi.
 A może lepsi... Co to?... na świecie
 Niema szlachcianek, wojewodzianek,
 Że córki miejskie uwodzić chcecie?
 Dość tych chichotek i pogadanek!
 Ja wiem, szlachcicu, co tobie w głowie:
 Że się odurzy biedna niewłasta.
 Wara tych myśli! — ja ci to mówię,
 Wójt wileńskiego sławnego miasta.

VIII.

Marcin Studzieński powstał zdumiony,
 Krew mu do twarzy warem nabiegła.
 Wtem pisarz miejski wpadł z drugiej strony,
 Groźny, jak Jowisz, krasny, jak cegła.
 Szeroko o tem gadano w mieście,
 Że k'pięknej Maryi miał afekt rzewny;
 Prawda, czy kłamstwo — kto to wie wreszcie?
 Ale pan pisarz bardzo był gniewny.
 Poprawia pasa, czuprynę muska,
 A pogładziwszy ręką po głowie,
 Stylem statuta, po polsku z ruska,

Tak się odzwie:

— Wszak król jegomość, Jagiełło stary,
 Dał nam statuta i pergaminy:

Ktoby niedobre knował zamiary,
 Ma być ukaran wedle swej winy.
 A waść kto taki. Hej, panie bracie,
 Co na nas wszystkich pogładasz z góry?
 Na miejskim gruncie, przy magistracie,
 Do córki miejskiej stroisz konkury.
 Przecz się szlachcice tutaj panoszą
 Pustą kieszenią i tarczą biedną?
 Możesz tańcować, kiedy cię proszą,
 Ale nie z jedną...

Ale nie z jedną... bo to zniewaga.
 Patrz, jak mu piękne smakują lica!...
 To przyzwoitej kary wymaga!

Precz stąd szlachcica!

Precz stąd szlachcica! wszyscyśmy równi,
 Nam nie potrzeba szlachty widoku!

Pan Marcin k'miecza porwał się główni;
 Pan pisarz szukał czegoś u boku.

Przyszlaby walka słowo po słowie,
 Lecz pan Kotwica huknął, jak z beczki:

— Co to się znaczy? Mości panowie!
 Wara w mym domu kłótnie i sprzeczki!
 Ja was prosiłem, panie Studzieński,
 Podzielać z nami chleb i zabawy,
 Bom siła liczył na wasz duch męski,
 Bo byłem pewien, żeś rycerz prawy;
 A waść się znęcasz nad moim progiem,
 Czyhasz na cnotę mojego dziecka!
 Jakeś tu przyszedł, idź z Panem Bogiem!
 Nam niepotrzebna łaska szlachecka.
 Idź i nie wracaj — albo bądź gotów,
 Że cię niegrzecznie za drzwi wywiode.
 Ty, panno córko!... dość tych zalotów,
 Bo cię zasadzę na chleb, na wodę.

IX.

Tak mówił stary groźnie i żwawo,
 Aż mu żrenice iskrami gorą.

Marcin Studzieński z godną postawą
 Poszedł ku niemu i rzekł z pokorą:

— Sławetny rajco! nie w złym zamiarze
 Próg waszych komnat przestępowałem.

Moje sumienie wyznać mi każe,
Że waszą córkę kocham z zapalem.
Chciałem odłożyć moje wyznanie,
Aż przyjaźniejsza chwila posłuży;
Lecz mnie zmuszacie... niech się więc stanie!...
Żyć bez twej córki nie mogę dłużej.
Rad, że rozmowa ku temu zmierza,
A jej sprzyjania pewien po trosze,
Racście przebaczyć śmiałość żołnierza,
Że o jej rękę przy świadkach proszę.

X.

Podumał trochę Stefan Kotwica,
Spojrzał na wójta i resztę gości:
— Nie, panie bracie!... nie chcę szlachcica,
Nam nie potrzeba Waszej Zakości.
My się na zięcia takiego piszem,
Co go zrodziła matka mieszczańska,
Co byłby w handlu mym towarzyszem,
Coby po towar jeździł do Gdańska,
Coby miał grosza swego dostatek,
Nie patrząc na to, co mu zostawię,
A na ratuszu u sądu krateg
Obok mnie zasiadł na rajców ławie.
A waszmość szlachcic — herbu Gryf pono,
Cóż mi z waszego Gryfa czy Smoka?
Masz chudą szkapkę, szablę stępioną,
Ot i dostojność wasza wysoka!
Pójdiesz na wojnę, lub siądziesz w mieście
Na teściowego kawałku chleba;
Jeszczeby bracia rzekła nareszcie,
Że mi szlacheckich związków potrzeba!
A toż mi na co? — Nie, panie bracie!
Nie waż mi więcej wdzięczyc się do niej!
Lepszy cechowy przy swym warsztacie,
Niż lichy szlachcic, co wiatry goni.

— Dobrze powiedział!... czyta jak z księgi! —
Krzyknęli goście już podchmieleni. —
Wiwat Kotwica! mieszczanin tęgi,
Co tak dostojność mieszczańską ceni!
Podano gościom miodu antały,
I rozpoczęto huczne wiwaty.

Zalem i wstydem przejęty cały,
Rycerz Studzieński wyszedł z komnaty.
Zarzucił rysią delię na szyję,
Hełmem płonące czoło osłania,
I na spłakaną w kącie Maryę
Rzucił bolesny wzrok pożegnania.

CZĘŚĆ DRUGA.

Obm u r o w a n i e W i l n a .

I.

Stara stolica Gedyminowa,
Wilno, pieszczota pięknej natury,
Pomiędzy gaje, pomiędzy góry,
To kwiat, co w dzikim zielsku się chowa...
Gdy się na strome wdzierasza urwisko,
Albo brniesz piaskiem drogą pochyłą,
Nigdybyś nie zgadł, że Wilno blisko,
Gdyby twe serce silniej nie biło.
Gdy przed twojemi mignie oczyma
Szczyt pierwszej wieży, pierwszego krzyża,
Czujesz dreszcz święty, ów dreszcz pielgrzyma,
Co się ku miejscu świętemu zbliża.
Korne kolano samo się zgina,
Serce uderza tętnem żaloby;
Bo tu Litwina Mekka, Medyna,
Tu jej proroków kolebki, groby!
Tu przed wiekami Litwini starzy
Palili bogom ofiarne Żnicze;
Tu Przenajświętszej Panny oblicze
U bramy miejskiej stoi na straży;
Tu Jagiellończyk, lilia dziewic,
Syn uświęcony litewskiej matki,
Patron — przyczyńca, książę, królewic,
Złożył w świątyni ziemskie ostatki;
Tu się męczeństwa pamiątka budzi,
Trzy krzyże wieńczą górę pochyłą,
Bo gdzież jest naród, gdzie miasto ludzi,
Coby proroków swych nie zabiło?
Niejednokrotnie nad miastem starem
Pan różdżkę pomsty wyciągnąć raczy:
Trapi je głodem, morem, pożarem,

Trapi przez krwawy najazd krzyżaczy.
To znów miłościw ku dzieciom swoim,
Daje po klęskach wytchnąć szczęśliwie;
Ludzi nawiedza zdrowiem, spokojem,
A urodzaje pleni na niwie,
Baszty ukrzepia, mury rozszerza,
Duchem mądrości nawiedza starsze,
Wlewa odwagę w piersi rycerza
I zbawcze myśli w serce monarsze.

II.

Tak wśród rozlicznych losów przemiany,
Wilno przetrwało drugie stulecie.
Gedymin pierwsze zasnawał ściany,
Olgiard gród ojca kochał, jak dziecię;
Pod Jagiellonem w potęgę wzrasta,
Bo czuwa nad niem łaska książęca,
Pogańskie czoło starego miasta
Już Chrystusowym krzyżem uświęca.
I z wież kościelnych zagrały dzwony,
Kiedy pogaństwa pierzchła pomroka,
A Pan Zastępów żegna z wysoka
Litwę, i Wilno, i Jagiellony.
A choć krzyżackie czasem znamiona
Zawiały tutaj w bojowym szyku, —
Polski i Litwy dłoń zespolona
Odparła Niemca aż do Bałtyku.
Zaprzestał ufać w zdrad swoich dzieło,
Że nas wypłeni, że kraj nam wydrze,
Gdy pod Grunwaldem Witold z Jagiełłą
Rogatą głowę strzaskali hydrze.
Tymczasem wzrastał, wzrastał gród stary
W sławę u ludzi, w łaskę u Boga;
Z Niemiec, od Rusi drużyna mnoga
Szła tu osiadać, kupczyć towary,
Sprawiać rzemiosła dłońmi biegłemi,
Odmierzać łokciem, ważyć na szali,
I żyć pod prawem litewskiej ziemi,
Co jej kniaziowie dobrzy nadali.

III.

Co ojciec począł, to syn dokona,
Uzacni Wilno nad insze grody:

Książę Kazimierz, syn Jagiellona,
Dał przywileje, nowe swobody.
A kiedy ludzie zewsząd się garna,
Kiedy ład w mieście rodzi się nowy,
Książę napisał ustawę karną,
Dzielo ojcowskie umocnił jeszcze
Aby bezpieczne były ich głowy.
Kniaź Aleksander prawy nowemi,
Tylko postrachy jakieś złowieszcze
Krażyć poczęły w litewskiej ziemi:
Ze się odgraża kniaź Michał Gliński,
Na Illiniczów coś w sercu knowa,
Ze ma ich bronić pan Zabrzeziński,
I buchnie w kraju wojna domowa.
A z drugiej strony, tam od Podola,
Tam z Tatarszczyzny strach wieje wszędzie;
Rycerz w zbroicy dostoi pola,
Ale z bezbronnem miastem co będzie?
Póki mieszkańców było w niem mało,
Za mur starczyły piersi waleczne;
Dziś już ceglane mury konieczne,
Baszty i bramy mieć już przystało.
By nieprzyjaciół nie wszedł tak łatwo,
Opasać murem konieczność zmusza:
Świątynie Pańskie, ściany ratusza,
Kapłanów, starców, niewiasty z dziatwą,
To, co najświętsze dla duszy człeka,
Gdzie z jego piersi modlitwa płynie,
Gdzie go otacza prawa opieka,
Gdzie ma wytchnienie przy swej rodzinie.
Może wróg przypaść niespodziewany,
Spali, zbezczęści i pozarzyna;
Więc rada w radę, pany, mieszczany:
Opasać murem gród Gedymina,
I z pięciu krańców, z pięciu stron świata,
Gdzie pięć dróg wielkich w mieście się schodzi,
Niech z baszty sterczy groźna armata,
By wstrzymać wylew wrogów powodzi.

IV.

U nas wiadmo z ojców przykładu,
Ze gdzie potrzebny środek ochronczy,
Tam gadu, gadu, a niemasz ładu,

Do dnia sądnego rzecz się nie skończy,
Aż myśl ognista, jak promień słońca,
Ku celom Bożym powoła rzesze,
Aż dłoń potężna, wzruszeniem drżąca,
Z zimnego głazu iskrę wykrzesze,
Aż gorejące natchnieniem słowo
Wybuchnie ogniem, zapłoni twarze,
Wstrząśnie zmartwiałą deskę piersiową
I sercu czynem zakipieć każe.
Wtedy na Litwie żyć już nie szkoda,
Nowych w jej działwie dojrzysz przymiotów,
I ład się znajdzie, i święta zgoda,
I duch do ofiar gorących gotów.
Litwin zapomni uraz uprzejmie,
Pójdzie choć w ogień w najlepszej chęci,
Kęs chleba sobie od ust odejmie
I krwi ostatnią kroplę poświęci.

V.

Taką ognistość w myśli i słowie,
Taki we wzroku zapal zwycięski,
Taką potęgą, co k'czynom zowie,
Miał Wojciech Tabor, biskup wileński.
On, jako niegdyś Stanisław święty,
Królom i panom nadstawiał czoła;
Jak Oleśnicki równie był zdjęty
Miłością kraju i czcią Kościoła.
Wedle pasterzy dobrych zwyczaju,
Po Chrystusowemu do serca garnie
I wierne owce swojej owczarnie,
I wszystek naród swojego kraju.
On za ich sprawę stawiał się śmiało,
Jak mu kapłańskie każe sumienie,
Chociażby za to spotkać go miało
Prześladowanie lub umęczenie.
On Aleksandra Jegielły głowę
Uwieńczył książąt litewskich mitrą;
On wzmocnił z Polską przymierze nowe,
Przeniknął wrogów zasadzkę chytrą.
Za jego wpływem polska korona
Na Aleksandra błysnęła czele;
A jednak później nieprzyjaciele
Wyzuli starca z pańskiego łona.

Król się nań gniewem srogim obrusza,
Zamyka przed nim wejście senatu,
Ze chrześcijańska Wojciecha dusza
Za lud się wstawia do majestatu,
Ze ze swojego wręcz stanowiska
Śmiał mu przypomnieć kraju ustawy.
Śmiał głośno wołać, że lud uciska
Gliński — powiernik króla nieprawy.
Lecz się kapłańskie nie zlekło serce;
Wojciech przed sejmem stanął raz drugi,
I śmiało palcem wskazuje zdzierce,
Słabego pana zdradliwe sługi.
Stawi jak pasterz groźne oblicze,
Jako poddany przed tronem klęka,
Ażeby tylko królewska ręka
Ze szpon Glińskiego wydarła bicze.
Nic nie pomogła szlachetna praca,
Uwiedli króla chytry zbrodniarze;
Król od Wojciecha oczy odwraca,
I z przed oblicza odejść mu każe.
I gdyby wkrótce nie śmierci prawa,
Co Bóg na króla przedwcześnie zsyła,
Może drugiego krew Stanisława
Kartęby dziejów naszych splamiła.
O zacną głowę obrońcy swego
Litwini drżeli po całym kraju:
Król nie ma serca karcieć Glińskiego,
Gliński przebaczać nie ma zwyczaju.

VI.

Jeszcze za czasów łaski królewskiej,
Błagał go ojciec z radnemi pany,
Aby gród święty, gród nasz litewski,
Był krzepką ścianą obmurowany.
Król podskarbiego przyzwał ku radzie,
A rozważywszy środki i cele,
Rzekł, że murować przeszkód nie kładzie,
Ale dziś w skarbie grosza niewiele,
Że to niepilna jeszcze robota.
Że co ma stać się, później się stanie.
— Nie, miłościwy królu i panie!
Do Litwy zewsząd otwarte wrota:
Tatarzyn goni wiatr w Ukrainie.

Wielki kniaź Moskwy z wami w rozterce;
Gdy niespodziana chmura napłynie,
Gdy piorun w Litwy uderzy serce,
Nie pora będzie murować bramy,
Gdy przyjdzie późno płakać nad stratą.
Jeżeli w skarbie grosza nie mamy,
Serca litewskie dał Bóg nam za to!
Serca ochocze, wierne krajowi,
Swojemu miastu i chwale Bożej;
Każdy z nas znajdzie drobny grosz wdowi,
Co na ofiarę ojczyzny złoży.
Dłonią ubogą, dłonią bogatą,
Jako kto może, niech się przyczyni.
Ja całe mienie poświęcam na to,
Mnie dopomoga wszyscy Litwini!

— Wszyscy Litwini! — zgoda, tak zgoda!
Niech każdy wzniesie muru kawałek! —
Mówił wileński pan wojewoda,
Mówił litewski wielki marszałek,
Żmudzki starosta, kanclerz litewski.
Wszyscy wołali jednym wyrazem,
Jak gdyby płomień z iskry niebieskiej
We wszystkich sercach wybuchnął razem.

VII.

Wojewodowie, i kasztelany,
I wszystek senat litewskiej ziemi,
Rzucają pieniądz garściami pełnemi,
Warować miasto tworzą już plany.
Czy który więcej, czy mniej bogaty,
Jeden przed drugim pospiesza z darem.
I Jagiellońskie w zamku komnaty
Kipią zapału świętym rozgwarem.
Już Wojciech Tabor nie wyrzekł słowa,
Przeżegnał złoto z modlitwą tkliwą,
I łza gorąca, dyamentowa,
Spadła na jego brodę sędziwą.
Zebrawszy pieniądz porozrzucany,
Głosem natchnienia wyrzekł dostojnie:
— O! krzepkie będą baszty i ściany,
Bo miłość kraju nada im spójnię.

VIII.

I stał się rozgłos między mieszczany,
Co senatorstwo na zamku czyni:

— A my któż tacy? to nie Litwini,
Że lud do składki niepowołany?
Tu idzie sprawa o naszą głowę,
O bezpieczeństwo chat i ratusza,
Gdzie przywileje pergaminowe,
Gdzie naszych swobód złożona dusza!
Na nas by spadły krajowe klęski,
Starzec, niewiasta, dziecię przypłaci!

Tak na ratuszu wołał do braci
Pan Otoczeńko, burmistrz wileński.
Pan rajca miejski, Stefan Kotwica,
Między swoimi głowa nielada,
Obywatelski zapal podsyca,
I tak powiada:

IX.

— Dom mój ubogi, nawet drewniany,
Ale mam w sklepie wiele towarów;
Wolę coś stracić na miejskie ściany,
Niż stracić wszystko z łaski Tatarów.
Zbierałem grosze w ciężkim mozoł, —
Bo nie tak łatwo teraz o złoto;
Jednak na waszym radzieckim stole
Dwie kopy groszy składam z ochotą.

Pan pisarz miejski, człowiek z natury
Do dobrych czynów chętny i łatwy,
Dał kopę groszy na miejskie mury,
Dla bezpieczeństwa swej przyszłej dziatwy.
Bo choć był człekiem nie pierwszej wiosny,
Siwiał przy aktach miejskiej ławicy,
Jednak na córkę pana Kotwicy
Zawsze poglądał wielce miłośnie.
Tak jeden, drugi, wielcy i mali,
Skąpi i szczodrzy — z ochotą miłą
Złotem radziecki stół zasypali,
Bo o powszechną sprawę chodziło.
Bo gdzie zagraża krajowa bieda,
Tam są Litwini zawsze bogaci:
Panom się nędzarz wyprzedzić nie da,

Kto krwi nie leje — to groszem płaci;
Pomny, co zawždy od kraju bierze,
Wszystko krajowi składa w ofierze.

X.

Stało się tedy — pieniądz już gotów,
Kupiono cegiel, kamieni, chleba;
Lecz nim do kielni, lecz nim do młotów,
Wprzód do modlitwy udać się trzeba.
Bóg, po ojcowsku patrzący z góry,
Ludzkim starunkom zsyła pomoce,
Ukrzepia w grodach bramy i mury.
Wiekową twardość daje opoce,
Daje natchnienie planów osnowie,
Obronnym basztom kształtuje czoło,
Robotnikowi umacnia zdrowie,
Nawiedza w pracy myślą wesolą.

XI.

Od Boga zbożne dzieło poczęto,
Król je od siebie jeszcze uświetnia,
I wielkie było na Litwie święto.
W dzień Wojciechowy, przy końcu kwietnia,
W rozkwitającej wiosny poranek,
Piękna na niebie była pogoda;
Przed katedralny w Wilnie krużganek
Lud się litewski cisnął, jak woda,
Kolebki panów i same pany,
Szlachta, mieszczenie, wszyscy w natłoku,
Każdy w świąteczny ubiór przybrany,
A z uroczystym wyrazem w oku.
Tłum różnobarwny, gwarny, wesoly,
Po katedralnym placu się błąka;
Rzekłbyś, słuchając, że huczą pszczoły,
Rzekłbyś, patrząc, że kwitnie łąka.
Rzuć tylko okiem, jak tłum się mnoży,
Jakiem wrą życiem starzy i młodzi,
A łącno zgadniesz, że to lud Boży
Jakieś krajowe święto obchodzi.

XII.

Drzwi się otwarły. Pod baldachimem
Dały się widzieć dwa jasne czoła:
Pasterz z monarchą, jak ojciec z synem,

Z katedralnego wyszli kościoła.
Tabor schylony i siwobrody
Niesie krzyż Pański dłońmi drżącemi;
Król Aleksander, choć jeszcze młody,
Coś bolejąco patrzy ku ziemi.
Wiedzie pod rękę starca pasterza
I jasną brodę lewicą głaska;
Lecz chorowita na twarzy kraska
Wszystkich boleśnie w oczy uderza.

— Gasną powoli Jagiellonowie,
Lach nas zagarnia więcej a więcej.
Kto wie! czy długo kołpak książęcy
Na tej schorzałej zostanie głowie!

Taki gdzieś szmer przytłumiony
Między wileńskim ludem się szerzy;
Ale tymczasem zagrzmiały dzwony
Ze starożytnej Krywejtów wieży,
Słychać śpiewanie, tłum coraz wzrasta,
Dzwony wstrząsają stolicą naszą,
A pochód idzie wokół miasta
Tak, jak je murem wkrótce opaszą.

XIII.

Naprzód na czarnych koniach trębacze
Grają sygnały, wydawszy twarze;
Potem nadworna chorągiew skacze,
A święty Krzysztof na jej sztandarze.
Dalej, ubrany w żupan bogaty,
Wielki marszałek, z łaską swej cześci,
Wiedzie za sobą wszystkie powiaty,
Ile ich ziemia litewska mieści.
Szlachcic, jak Centaur wrosły do siodła,
Jakby żelazny, zakuty w zbroi,
Pod powiatowym sztandarem stoi.
A każdy sztandar insze ma godła:
Tam dziarska Pogoń nad szlachtą wieje,
Tam święty Michał wojuje smoka,
Ówdzie Anioła postać wysoka;
Tam Żubr barczysty z grodzieńskiej knieje,
Ówdzie Opatrzność, ówdzie pęk kluczy.
Dobrze te godła znają sąsiady!
Gdzie Pogoń skoczy, gdzie Żubr zamruczy,
Gdzie Anioł skinie mieczem zagłady,

Tam nieprzyjaciół uciekać musi.
Jakby powietrze spotkał morowe.
O pierś skalistą Litwy i Rusi
Niejedno plemię strzaskało głowę!

XIV.

Za powiatami, pamięć ich chwały,
Idzie Witolda działo armatnie,
I sztandar stary a wypłowiały,
Po bohaterze godło ostatnie.
Dwanaście koni, z strusiem i kity,
Obwozi działo na podziw miastu;
A stary sztandar, ledwo rozwity,
Niesie kolejno mężów dwunastu.
Na święte szczątki patrzą ciekawi
I proszą w duchu o łaskę Bożą:
Kiedyż się drugi Witold nam zjawi,
Gdy Tatarowie Wilnu zagrożą?!

XV.

Poza armatą, poza sztandarem,
Pergaminową księgę niesiono;
I szedł wójt miasta za prawem starem,
Za nim ławników i rajców grono.
Za radą miejską — wpośród kapeli,
Pogoń litewską niesiono w górze,
Poza Pogonią szykiem stanęli
Strzelcy nadworni, jej wierni stróże.
Potem kapłani — wszyscy po parze,
Śpiewając hymny i wznosząc modły,
Potem król, pasterz i dygnitarze,
A tłumy ludu zdala ich wiodły.

XVI.

Wietrze litewski! gdybyś te gwary
Zdołał pochwycić w jedną osnowę,
I świętym hymnem przeszłości starej
Zawiać nam w piersi, orzeźwić głowę!
Gdybyś te dzwony, śpiewy, okrzyki,
Rozniósł po Litwie na wszystkie strony,
A potem zawiał — gdzieś na step dziki,
By je usłyszał Tatar spłoszony:
Że nie struchleje przy krymskim hanie
Nasza stolica wielko-książęca,

Że mur obronny, co tutaj stanie,
Naród buduje, a król poświęca...
Że pasterz Pański, przodkując rzeszy,
Natchnione z nieba słowa ogłasza,
A lud je słuchać skwapliwie spieszy,
Że tu jest niczem potęga wasza!
Pędź już na Litwę, hordo zbójecka,
Puszczaj zagony z bliska, z daleka!
Wkrótce dolecisz na pola Klecka,
Gdzie anioł pomsty z mieczem cię czeka!

XVII.

Fundament muru już okopany ,
Okop na baszty już oznaczony;
Sędziwy biskup poświęca ściany,
Błaga nad niemi Bożej obrony.
A chór kapłanów, w pięknej gromadzie,
Do każdej bramy z królem się zbliża,
Pod każdą basztę fundament kładzie
I żegna kamień znamieniem krzyża.
Pasterz kraj żegna życzliwą dłonią
Na cztery strony Bożego świata;
A lud się modli, a dzwony dzwonią,
A z wałów zamku grzmoce armata.

XVIII.

Tak kiedy przeszli kres obwodowy,
Cały się pochód pod ratusz zwraca;
I Wojciech Tabor śpiewa hymn nowy,
Aby szczęśliwie wiodła się praca.
Kiedy wezwano świętego Ducha,
Zadrżały ściany grodu Jagiełły,
I Witoldowskie działa ryknęły,
I w serce Litwy weszła otucha:
Że przez te murów święconych głązy
Nie przejdzie żadna do miasta klęska,
Ani morowej powiew zarazy,
Ani Tatarów stopa zwycięska.

XIX.

O! nieraz przeszły przez miejskie bramy
I krwawa wojna, i mór wybladły;
Bo w sercu Litwy duch nie ten samy,

Bo na kościołach krzyże opadły.
Ale nad jedną basztą obronną
Musiał się Tabor modlić najdłużej;
Bo jego modła była niepłonna,
Bo dziś ta baszta za twierdzę służy!
Twierdza to święta, twierdza potężna,
Której piekielna siła nie złamie:
Bo tam króluje litewska księżna —
Bogarodzica na Ostrej Bramie!
Tam codzień ucho łaskawe daje
Na swych poddanych korne pacierze,
I Palemona szerokie kraje
Od głodu, moru i wojny strzeże.

CZĘŚĆ TRZECIA.

Tatarowie pod Kleckiem.

I.

Wiatr ciągle wieje od stron południa,
Przez Ukrainę i przez Polesie;
Z wiatrem zaraza wioski wyludnia,
Wiatr piorunowe obłoki niesie.
W piaskach i górach Litwy szczęśliwej,
Ponad miastami wicher się kręci,
Grady zną kłosy dojrzałej niwy
I szarpią kwiaty na sianozęci.

II.

To nie wiatr wieje od stron południa,
Przez Ukrainę i przez Polesie,
To nie zaraza wioski wyludnia:
To Tatar nóż swój morderczy niesie.
W piaskach i górach Litwy szczęśliwej
To nie huragan szalony hasa:
Tatar pustoszy złociste niwy,
Tatar kwieciste łąki wypasa.
Ludzka się praca w niwecz obraca,
Krew chrześcijańska płynie jak fala.
Codzień a codzień smolna pochodnia
Insze słomiane dachy zapala.
Dalej a dalej chmura się wali,
Wiatr ją zaledwie wyprzedzić zdoła:

Gwizdnie na dachy biednego siola,
Aby się ludzie w lasy chowali;
Gwizdnie, uderzy o baszty wieży,
Ażebym strzelbę miano w odwodzie,
Sygnał baczości da dla rycerzy,
A serce niewiast strachem przebodzie.
Daremna, wietrze, twoja usługa!
Zaledwie kmiotek przestrogę zgadnie,
Zaledwie woły wyprzęgnął z pługa,
Już go tatarska horda opadnie.
Jaskółki skore niezawsze w porę
Zdołają zemknąć z strzechy rolnika;
Szczęka krzesiwo i strzecha gore,
I dym i płomień odlot zamyka,
I ginie ptaszę.

Ledwie w poddasze
Zawionie, wietrze, twoja przestroga,
Zaledwie rycerz pałasz przypasze,
Już go krępują powrozy wroga.
Ledwie niewiasta, wieścią strwożona,
Zdoła wykrzyknąć, włożyć krzyż Pański
Na biedne czoło, piersi, ramiona,
A już ją wloką w jasyr pogański.
Próżno rycerstwo po stepie hasa,
Zbiera podsłuchy, śledzi oczyma,
Z gór się przygląda, tropi wśród lasa:
Wczoraj tu byli, a dzisiaj niema.
Tatar co chwila szlaki omyła,
Z każdej przystani albo noclega,
Albo rozsypką cwałuje szybko,
To w niezliczony hufiec się zbiega.
Lecą, jak leci szarańcza mnoga,
Z kraju do kraju, z niwy na niwę,
Za hordą ślady — krew i pożoga,
Przed hordą gońce — wieści trwożliwe.

III.

Król Aleksander, złożon niemocą,
Do snu wiecznego ma zamknąć oczy.
Wtem jeden goniec przyleciał nocą,
Że już Podole we krwi się broczy;
Przyleciał drugi od Ukrainy
Z wieścią o wojsku nieprzyjaciela,

Że Achmet Gerej ze swemi syny
Na cztery części horde rozdziela:
Jedna część w środek litewskiej Rusi
Pod starą Mińska poszła warownię;
Druga w Polesiu plondrować musi,
Do twierdzy słuckiej drze się gwałtownie;
A trzecia, pewna dobrego skutku,
Poszła na Połock z tysiącem koni;
A czwarta horda już w Nowogródku,
Którego Gasztold walecznie broni.
Przyleciał goniec trzeci i czwarty,
A wszyscy bladzi i przerażeni;
Bo pożar wszędzie już rozpostarty,
Bo Litwa gore w dziesięć płomieni.
Struchlało Wilno. Radni panowie
Do boku króla zbiegli się trwożnie.
Król konający odzyskał zdrowie,
Swoją powinność uczuł pobożnie.
Próżno królowa do stóp się ściele,
Próżno się senat odradzić stara:
Król chce sam stanąć na wojska czele,
Chobre rycerstwo wieść na Tatara.
Rada senatu długo się wlecze,
Lecz od zamiaru go nie odwiodła.
Młodzież rycerska brząknęła w miecze,
Przywdziała zbroje i konie siodła.
Kniaź Gliński wodzem! a każdy z panów
Gotuje hufce swoich żołnierzy.
Skreślono kartę wojennych planów:
Kto dokąd pójdzie i jak uderzy?
Już nie pochmurne myślmi trwożnemi,
Ale zapalem błysnęły czoła:
Święte kochanie rodzinnej ziemi
I lecą z miasta oddziały hyże
Stawić wrogowi rękę odporną.
Szczęsny Illinicz, hrabia na Mirze,
Powiódł chorągiew pierwszą nadworną.
Spłonęły jego włości bogate,
Swych bohaterów do czynu woła,
Wróg nie przepuścił żadnemu siołu:
Hrabia pospiesza dać mu odpłatę
Jeszcze na świeżym stosie popiołu,

Odbić z niewoli niewiasty, dzieci,
Wzmocnić na duchu tych, co upadli,
I w ciepłej jeszcze krwi swoich kmieci
Miecz zahartować, by rąbał zjadlej.

IV.

Sprawa ojczysta, sprawa wiadoma:
Syn winien czuwać, gdy cierpi matka;
Gdy idą bracia, wstyd zostać doma,
Albo oszczędzać krwi swej ostatka!
Ze śmiałą głową, z duszą gotową,
Trzeba iść dla niej na śmierć i klęski;
Więc pod chorągiew Illiniczową
Stawił się rycerz, Marcin Studzieński.

V.

Jutro o świcie wojsko wyruszy,
Wygnać z pod Mira nieprzyjaciela.
Do bolejącej kochanka duszy
Zajrzał jaśniejszy promyk wesela:
Bo zawždy serce zbywa kamienia,
Gdy powinności przed oczy stana;
Święty ich rozkaz wyrwał z uśpienia
Pana Marcina myśl rozkochaną.
Nie czas o pięknej myśleć Maryi,
Albo rozważać, że serce boli,
Gdy na schylonej braterskiej szyi
Cięży haniebny powróż niewoli.
Więc rzekł do siebie: Miecza nie złożę,
Póki Tatarzyn w Litwie zostanie!
Mogliby miasto napaść, broń Boże!
Och! a w tem mieście moje kochanie.
Hej na Tatary, moja szabelko!
Mój siwy koniu, do mnie, co żywo!
Mamy przed sobą drogę tak wielką,
Szerokie pole i piękne żniwo!
Do mnie, stalowa przyłbico stara!
Do mnie, mój piękny rycerski pasie!
Kiedy powrócę, zbiwszy Tatara,
Może pan ojciec ubłagać da się...

W takich nadziejach serce skapawszy,
Westchnął modlitwą, pomyślał o niej,
Uronił łezkę, — weselszy, zwawszy,
Już śni, jak w polu Tatary goni.

VI.

Piękny poranek na niebie świta,
Rzeźwo tchnie wietrzyk w cieniu gaika;
Młoda niewiasta, płaszczem okryta,
Z murów się miejskich zwolna wymyka,
Wokoło siebie patrzy nieśmiało,
I czegoś słucha, na kogoś czeka.
Wtem za gaikiem coś zatętniało,
I konny rycerz pędzi z daleka.
Przybiegł i dziarsko zeskokczył z siodła,
Podali sobie ręce oboje;
Niewiasta miłym okiem obwiodła
Jego sowito błyszczącą zbroję,
I białą rączką konia popieści,
Gęstą zasłonę z twarzy odwinie,
I rzecze głosem cichej boleści:
— Już nas odjeżdżasz, panie Marcinie!
To była Marya — pierwszy raz w życiu
Przyszła w ten piękny lasek przy drodze,
Z domu rodziców wyszła w ukryciu, —
Ach! bo też ciężko było niebodze!
Chciała zobaczyć swego młodziana,
Na pożegnanie rzec mu: Szczęść Boże!
Chciała powiedzieć, że żadna zmiana
Nigdy w jej sercu postać nie może...
A przecież milczy, jakby się sroma,
Jak gdyby sama z siebie nierada;
Stoi niepewna i nieruchoma,
Na oczach uśmiech, a twarz jej blada.
Tak, gdy się grzmiące chmurzysko sunie,
Płynie po przedzie obłoczek bledszy,
Nim ławym deszczem na ziemię lunie,
Najprzód się w jasne słoneczko patrzy,
To się w cień schowa, to wymknie z cieni,
To poblednieje, to zarumieni.
Rycerz przywiązał konia do brzożki,
Tarczę przewiesił na siodła łęku,
Wbił w ziemię ciężki oszczep dziadowski
I rysią skórę zwiesił na rękę.

VII.

Piękni w tej chwili byli oboje.
Ona do niego troskliwie rzekła:

— Panie Marcinie! och! ja się boję!
Chociaż całego stal cię oblekła.
Czyż twoja pawęż dosyć jest zwinna?
I czy twój pancerz dosyć jest gruby?
Przebacz, żem śmiała, żem tak dziecinna,
Ale się lękam twojej zaguby.
Twojej zaguby... nie, to nad siły,
Nie mogę myśleć o twoim grobie!
Ciebie w boju wrogi zabiły,
Mnie zabiła tęskność po tobie.
Panie Marcinie, wracaj niebożę,
A pierś sklepiście okrywaj zbroją.
Rodzice moi zgodzą się może,
Będę szczęśliwą — bo będę twoją.

— Maryo dobra! — rycerz odpowie —
Pancerz mój twardy, miecz mój niekruchy;
Niosę me życie, niosę me zdrowie,
Alem najlepszej pełen otuchy.
Gdy syn Kościoła walczy z pogany,
Nad głową jego Anioł Stróż lata,
A jego piersi strzeże od rany
Bogarodzicy promienna szata.
Czuję, że w ostrzu mego brzeszczota
Jest niebezpieczeństwo i pomsta braci;
Z tą myślą ręka potężniej grzmota,
A brzeszczot hartu swego nie traci.
Nie zdoła przebić serca w mem łonie,
Niech się Tatarzyn jak chce rozhula,
Kiedy pomyślę, że ciebie bronię,
Naszych kościołów, ludu, i króla.
Zdrową mi zostań! ja wrócę zdrowo,
Może Bóg spełni nasze nadzieje:
Zamiast pancerza szatę godową,
Z łupów tatarskich szytą, przywdzieję;
Perłę, brylantów, sznurek bogaty
Twojej pięknej twarzy blasku przyczyni;
Z lamy złocistej będą ornaty
Do katedralnej naszej świątyni.
Sam Wojciech Tabor, wielki mąż Boży,
Choć go nie bawia złota ponęty,
Będzie wyglądał, jak jaki Święty,
Kiedy je włoży.

Bywaj mi zdrowa! żywym zostanę,
A nie zawstydzę mego oręża!

I ucałował oczy splakane,
I sam zapłakał... cichą łzą męża, —
I wskoczył na koń, i ręką skinął,
Och! bo się trudno rozstać z niebogą!
I koniem zręcznie w polu wywinał,
I pędem wiatru puścił się drogą.

VIII.

Ona została — z tłumionem łkaniem,
W cichej nadziei, w cichej obawie;
Krzyż na powietrzu skreśliła za nim
I do modlitwy klęka na trawie.
Nie było zaklęć, ani rozpacz,
Jeno kochanie, jeno tęsknota;
Bo rycerz wiedział, co słowo znaczy,
A więc mu zazdrość sercem nie miota.
I dziewic u nas serce dostojne, —
Choć o kochanka truchleje trwoga,
Nigdy nie rzekła: Nie jedź na wojnę,
Bo tam na wojnie zabić cię mogą!
Harcuje w polu młodzież pancerna,
Dziewice po niej tęsknią kryjomu;
Została modła i pamięć wierna,
I tam w obozie, i tutaj w domu.

IX.

Na dzielnych koniach, w błyszczącej stali,
Z iskrzącą bronią, z odwagą w oku,
Lidzkim gościńcem rycerstwo wali,
Na wpół przyćmione w pyłów obłoku.
Książ Michał Gliński z Wilna je wiedzie,
By w różne strony puścić gonitwy.
Chorego króla wiozą po przedzie:
Walczyć lub umrzeć chce wpośród Litwy.
Porosyłano królewskie wici
Do wszystkiej szlachty litewskiej rzeszy:
Kto jeno pocziw, niech oręż chwyci,
I na obronę ojczyzny spieszy.
Rosną chorągwie obrońców wiary,
Litwa brzmi echem wojennej nuty;
Gliński rozesłał swoje rajtary,
Aby tatarskie zbadać obróty.

X.

Od Nowogródka wieść niezbyt trwoźna:
Zbiega się szlachta, bliscy, dalecy,
Pan Marcin Gasztold czyni, co można,
Gromi Tatara z murów fortecy.
Pan Iwan Tryzna i pan Niemira
Biją ich w polu, poza murami;
Illinicz mści się za klęski Mira,
Gdzie wyginęli bezbronni sami.
Radziwiłłowi Nieśwież spalili,
Wioski spalili; lecz czynszownicy
Wnet siedli na koń, i w jednej chwili
Łeb im strzaskali w Dorohowicy.
Na zamku słuckim dzielna niewiasta,
Wdowa po mężnym kniaziu Siemionie,
Stała w obronie swojego miasta,
Jako orlica w piskłat obronie.
Tam głowa rodu, mały książę Jerzy,
Pod okiem matki dziarsko się chowa;
Cóż jeśli Tatar z nienacka wbieży
I lube dziecię w więzy zakowa!?...
Lecz król i Gliński spokojni o nią,
Bo księstwo słuckie wojska ma dużo,
A bojarowie kniahini bronią,
Zaścianki szlachty wiernie jej służą.
Sama kniahini sercem nietrwoźna,
Na zamku armat, prochu dostatki;
Więc, co do Słucka, spuścić się można
Na wierność bojar i rozpacz matki.

XI.

Ale Glińskiego insze rajtary
Wpadły w sam środek tatarskiej dziczy,
I bój był krwawy, mnogich bez miary
Tatarów zbito. Zamiast zdobyczy,
Przynieśli wodzom straszne trofeja:
Dziesięć głów wroga wbitych na dzidy,
I wieść straszliwą, że dzicz Gereja
We sześć tysięcy spieszy do Lidy.

XII.

Padła jak piorun myśl bojaźliwa
O Jagiellońską latorośl drogą:

Na zamku lidzkim król dogorywa,
Na koń nie wsiądzie, porwać go mogą!
Więc rada w radę: kanclerz, Jan Łaski,
Jan Zabrzeziński i Jan Sobotka
Króla do miękkiej kładą kolaski,
A Wojciech Tabor siadł z nim do środka,
Królowa u nóg, i do stolicy
Wyruszył pochód. Wszyscy truchleli.
Senatorowie, jako woźnicy,
Siedli na kozieł, cugle ujęli.
A król co chwila w boleściach stęka,
Marzy Tatarów, do broni woła.
Drżąca, troskliwa, a wierna ręka
Pot mu śmiertelny ociera z czoła.
Dwie doby jadąc noga za nogą,
Ledwie stanęli w wileńskiej bramie;
Wszędzie wieśniactwo, przejęte trwogą,
Patrzy na pochód i ręce łamie.
Czapkę przed pańską schyla karocą
I do zamkniętych okien się kłania.
Uczuwa swoją dolę sierocą,
Bo pękął puklerz, co ją osłania.
Stanęli wreszcie już w murach Wilna,
Lud się dowiedział, upadł w otusze,
Miasto zaległa cisza mogilna,
Mogilna trwoga zaległa dusze.
Każdy, kto może, umknąć się stara.
Każdy przedśmiertne mówi pacierze:
Wybaw nas, Boże, z mocy Tatarów!
Brońcie głów naszych, dzielni rycerze!

XIII.

Już Tatar w Lidzie — o milę wkoło
Puszcza zagony na każdą stronę:
Czy dwór, czy kościół, czy ciche sioło,
Wszystko zniszczone, wszystko spalone;
Z lidzkiej warowni widać pożary,
Słysząc ich wrzaski, słysząc płacz ludu:
Boże zastępów! broń Twojej wiary!
Ześlij na hufce Anioła cudu!
Polski ochotnik zbliża się zwolna,
Kłóci się w twierdzy szlachta gwałtowna;

Jeśli tak dłużej, horda swawolna
Całą krainę z ziemią nam zrówna.

XIV.

Nakoniec jakoś zbiegło do Lidy
Rycerskiej szlachty dziesięć tysięcy.
— Hej! czas już zrzucić jarzmo ohydy!
Czas do roboty wziąć się goręcej! —
Krzyknął książę Gliński — i w jedną stronę
Wysłał pancernych zastęp niemały,
W drugą rajtary swe wyćwiczone,
W trzecią puszkarzów z dobrymi działami.
I w Imię Boże począł się taniec.
Szlachta się bardziej, bardziej ośmiela,
Odetchnął nieco wiejski mieszkaniec,
Bo już obrońcę, bo ma mściciela.
Codzień przewagi nowe nad zgrają,
Polskiego męstwa nowe popisy,
Codziennie jeńców przyprowadzają,
Lub niosą głowy, białe na spisy.
Nakoniec nocą, trzecią czy czwartą,
Chlubnym się plonem uwieńcza praca:
Mehmed Gereja z Lidy odparto,
Znow w nowogródzkie strony powraca.

XV.

Hejże ha za nim! — kręci się żmija
Nie prostą drogą, ale rozsypką, —
Niechaj nam sprzyja Jezus Marya!
Ścigać ich wszędzie, doganiać szybko!
Ale zbójectwo wichrem się błąka,
Błędniemi szlaki lecą jak wściekli,
Gdzie jest Ostaszyn, Cyryn, Połonka,
Byli — spalili i w lot uciekli.
Litwa ich tropi — horda zbójcka
Umie pogoni zmykać nielada;
Wreszcie przylata pod mury Klecka
I tam swój wielki tabor zakłada.
Tam wszystkie hordy zebrać się miały,
Z krwi myje ręce, umacnia siły,
Tam krwawych łupów czyni podziały,
Co w dziesięć szlaków Litwę niszczyły.

XVI.

Nad grząskim stawem, dwoma obozy,
Synowie hana, dwóch mężnych braci,
Kując łańcuchy, wijąc powrozy,
Czekają Litwy w groźnej postaci;
Ostrzą na głazach krzywe szabliska,
Sprawiają w łukach cięciwy, groty,
Czynią przechwałki i pośmiewiska,
I rozbijają białe namioty.
Białe namioty w polu rozbili,
Konie puścili na grząską paszę,
Gdy niespodzianie, o rannej chwili,
Nadbiegło chrobre rycerstwo nasze.
Najprzód Glińskiego rajtarja wpada,
Zabiera szatry w polu rzucone,
I, co się pały, ich koni stada
Zgania tabunem na polską stronę.
Tatarzy szkodę odbijać lecą,
Wśród rozpaczliwych krzyków i wrzawy,
I hufiec pieszy, i konnych nieco,
Przez wrzącą rzeczkę bronią przeprawy.
Gdzie był bród płwki w miejscu piaszczystem,
Napięli łuki, puścili strzały;
Żelazne groty ze szczękiem, świstem,
W litewskie hufce, jak grad, leciały.
Tak, gdy niebaczny bartnik podrażni
Na rój lecące gromady pszczoły,
Z brzękotem groźby i nieprzyjaźni
Tysiące żadeł twarz jego kole.
Celnie strzelają z łuków Tatarzy!
Strzał wyleciały mnogie tysiące,
Że za ich cieniem, jak mówią starzy,
Jakby za chmurą, skryło się słońce.
Niejednym pocisk przestrzelił głowę,
I niejednego powalił z siodła,
Strzała przebiła blachy stalowe,
Albo rumaka ciężko dobodła.
Litwa się cofa, — ale po chwili
Śmielej się pocznie brać ku przeprawie;
Radziwiłłowscy z rusznic strzelili,
A broń to była nieznana prawie.
— Hej w Imię Boże! przebrnąć te brody!

A była gęsta zarośl u brzegu;
Więc Litwa rąbie chrósty i kłody,
Rzuca do rzeki i po nich wbiega.
Gliński, jak orzeł, jak błyskawica,
Chróścianym mostem rzekę przebywa;
Na kark tatarski wpada konnica,
I rzeź nastaje krwawa, straszliwa:
Grzmot od wystrzałów, twardy zgrzyt blachy,
Tętnienie koni, rżenie, kurzawa,
Ciężkie w powietrzu mieczów zamachy.
Tam wódz rycerstwu ducha dodawa,
Tam konający: Dobij mię! błaga,
A sznurem płynąc, warczy posoka.
Z piersi hordyńców pierzchła odwaga,
Proszą o wsparcie swego proroka.

XVII.

Pod kniazem Glińskim konia zabito,
Ale się rumak nadarzył świeży,
Wskoczył nań: Za mną! — grzmiące kopyto
Znów daje hasło, gdzie iść należy.
Wśród żadeł mieczów, strzał i bardyszy,
Kurz pokrył wojsku oczy i twarze;
A jednak widzi, a jednak słyszy,
Gdzie mu kniaź Gliński uderzyć każe.
Szlachta się waha, słabnie w natłoku,
Przed liczną hordą wytrwać nie zdoła.
Wtem nowogródzka chorągiew z boku
Idzie na pomoc, jak miecz anioła.
Wściekły pohaniec znów ruszył w taniec,
Wzmógł się na siłach, tabór zamyka;
Ale grodzieńskich puszczy wychowaniec
Wziął go na oszczep, jak bierze dzika.
Mostem padł Tatar, zбитy zwycięsko,
Konie swych jeźdźców dławia i tłoczą;
Chorągiew mińska wespół z grodzieńską
Po stosach trupów krąży ochoczo.

XVIII.

Lecz nowy sygnał do boju dzwoni, —
Nowy posiłek pomocy Boskiej: —
Hufiec koronny we trzysta koni,
Lekko, z husarską, wieździe Czarnkowski.

Zdała rozstawił hufce na górze,
Od trąb, od bębnow zagrzmiała niwa,
Aż wróg się zdumiał: wojsko tak duże
Skąd na obronę Litwie przybywa?
Znowu Tatarzyn szyki rozeprze,
Chce się orzeźwić, a tu już zmierzcha;
Lecz sparł go Gliński przy rzece Ceprze,
Położył trupem — a reszta pierzcha.
Wrogów dwadzieścia padło tysięcy,
A któż policzy konie poległe?
A trzy tysiące tatarskich jeńcy
Przy murach Wilna dźwigało cegłę.
Uszli tatarscy obaj książęta
Przez grzązkie błota, przez ciemne lasy;
A Litwa długo ten dzień pamięta,
Pamiętać będzie na wieczne czasy!

XIX.

Od krwi wylanej staw poza Kleckiem
Dziś Krasnym-Stawem naród nazywa;
Tarcze i hełmy z godłem zbójcekiem
Rolnik na polach dziś wyorywa;
A kurhan jeden, drugi i trzeci,
Kopcem tatarskim dotąd się zowie;
Że tu pobici są Tatarowie,
Idzie pamiątka z ojców na dzieci,
A choć od owej wielkiej zagłady
Cztery stulecia mija bez mała,
Dziś jeszcze mówią swym wnukom dziady
O wielkich czynach kniazia Michała.
Kniaź był wybawcą dla Litwy całej,
Był bohaterem pomiędzy braćmi;
Któżby odgadnął, że blask swej chwały
Podłem zabójstwem i zdradą zaćmi?

XX.

Modła serdeczna niebo przebija,
Ale wyroków zmienić nie zdoła.
Prosząc za lubym, tęskna Marya
Odwiedza święte progi kościoła.
Próżno bolesną dzieląc się troską,
Do krat pokuty uczęszcza rada;
Przed Zbawicielem i Matką Boską

Stan swojej duszy kornie spowiada.
Ale niebiosą próżno zaklina:
Niebo nie chciało przyjąć ofiary,
Nie ocaliło zdrowia Marcina.
Podczas morderczej bitwy z Tatary
Oszczep mongolski strzaskał mu ramię;
Strzała, puszczone z twardej cięciwy,
Oстрыm się grotem w piersiach załamię.
Rycerz się zachwiał, — padł jak nieżywy.
Wśród bojowiska nikt nań nie zważa;
Ledwie po bitwie, ciemną już nocą,
Jakieś życzliwe serce husarza
Towarzyszowi przyszło z pomocą.
Ocalił brata, co krwią oblany,
Już dogorywać w mdłości poczyną;
Omył, przewiązał, zasklepił rany,
Na tatarskiego wsadził mierzyna,
I zaprowadził na wieś pobliską,
I tam wypytał aż do ostatka:

— Jak herb waszmościn? jakie nazwisko?
W jakim powiecie ojciec i matka?

Jestem Studzieński, Marcin mi imię,
Gryf jest herbowym moim klejnotem.
Ród mój w Poznańskim bywał w estymie,
Aleśmy jakoś zbiednieli potem.

Ojciec i matka dawno już w grobie,
A mnie tu nędza po świecie pędza;
Ale jak mogę przypomnieć sobie,
Że mam w Oszmianie krewnego księdza.
Tam chciałbym dobrnąć, gdy będą siły;
A jeśli umrę między obcemi,
Wszakże tu kopać będą mogiły, —
Będzie i dla mnie trzy łokcie ziemi!
Umrzeć dla kraju, dla Pana Boga,
Nie żal polskiemu bojownikowi!
A już tam droga moja nieboga
Zgadnie, żem umarł i pacierz zmówi.

XXI.

— Ej, bredzisz waszmość — husarz odpowie —
Rany waszmości goją się prawie;
Za tydzień, drugi, da Pan Bóg zdrowie,

Ja do Oszmiany sam cię dostawię.
Moi rodzice żyją tam blisko;
I ja mam krasny cel mych zalotów,
A jak jej imię, a jak nazwisko,
Nie powiem waści, boś odbić gotów.

Dzięki staraniom bratniej opieki,
Od ran tatarskich boleść nie taka:
Marcin Studzieński, chory, kaleki,
Został pod Klekiem w chacie wieśniaka.

CZĘŚĆ CZWARTA.

Zgon Wojciecha Tabora.

I.

Król Aleksander już w Wilnie złożył
Na łonie śmierci znękaną głowę;
Nawet tej pięknej chwili nie dożył,
Aż mury miejskie były gotowe.
Postrach tatarski grzał do roboty,
By się zasłonić prędzej od klęski;
Ale najwięcej dawał ochoty
Wielki mąż Boży, biskup wileński.
Grosz szczodrobliwy sypał w ofierze
Miłemu miastu w jego potrzebie,
Otworzył w wioskach mnogie śpichlerze
I robotników garnał do siebie.

II.

We dnie i w nocy zwożono cegły, —
Dźwigane ludu wielkimi siły,
Już się w obronne ściany uległy,
Już się w wysokie baszty spiętrzyły.
A każda wieża głowę piętrzącą
Chlubnie podnosi na Litwę całą,
I Gedymina odwieczne miasto
Piękną a groźną postać przybrało.
Snadź duch Jagiełłów czuł radość nową,
Z wysokich niebios gdy spojrział na nie;
Przez Gedymina pierś granitową
Przebiegło ciepło w zimnym kurhanie.
Do swej wzniesiona już wysokości,
Kiedy ostatnia baszta stanęła,

Sędziwy biskup płakał z radości,
I drżące ręce wznosi ku ścianie,
I do modlitwy kolana chyli:

Teraz w pokoju puść mię już, Panie!
Bo upragnionej dożyłem chwili!
Widząc owoce swojego dzieła.
Zabezpieczenie w potomne wieki
Twojego ludu widzą me oczy;
Niechże mur drugi, mur Twej opieki,
To chrześcijańskie miasto otoczy.

III.

Zatem rozkazał uderzyć w dzwony,
A krzyż Chrystusa niosąc po przedzie.
Ze wsi i z miasta lud zgromadzony
Dokoła murów z obrzędem wiedzie.
Pokrapia ściany święconą wodą,
Przy każdej baszcie dłużej przystanie,
A zacne dłonie wznosząc nad trzodą,
Z Miednickiej bramy dał przeżegnanie.
Z uszanowaniem głowy uchyla,
Pada na klęczki orszak narodu,
Wielka to była a święta chwila
W życiu pasterza i w życiu grodu.

IV.

Och! bo chwil wielkich w życiu tak mało,
Radość bez ofiar stać się nie może:
Wkrótce stroskane Wilno płakało
Po swoim ojcu, po swym Taborze.
Złaman chorobą, pracą i laty,
Czuje, że stanął w wieczności progu.
Pójdźmy zobaczyć w jego komnaty,
Jak sprawiedliwy umiera w Bogu.

V.

Z białą, rześistą do pasa brodą,
Z obliczem pięknem, suchem, schorzałem,
Siadł starzec w krześle. Czoło pogodą,
Oczy się jego iskrzą zapalem.
Habit świętego Franciszka gruby
Na zwiedłych członkach fałdami leży,
Bo Wojciech Tabor uczynił śluby
Dać się pochować w mniszej odzieży.

Przy nim oprawna w dębowe deski,
W mosiężne klamry, spoczywa księga:
To Pismo święte — pokarm niebieski,
Wierzącej duszy moc i potęga.
Na starcu znaczne cierpień ostatki,
Lecz się już dusza niebem nasycą;
Wyswobodzona z kościanej klatki,
Chciałaby lecieć, jak gołębica,
W górę... wysoko!... i wnet uleci,
Lecz jeszcze miłość ku ziemi zowie:
Ojciec pożegnać musi swe dzieci,
Bo tu splakani stoją synowie.

VI.

Najprzód król Zygmunt, wiedząc, że chory,
Chce uczcić starca ostatnie chwile:
Przysłał do niego swe senatory.
Pasterz ich przyjął, wysłuchał mile,
I głosem cichym, jako brzęk pszczoły,
Przemówił do nich w następne słowa:

— Nie płaczcie waszmość, gdym ja wesóły,
Nas nie rozdzieli deska grobowa;
Jeśli oglądam Pańskie Oblicze,
Jeśli wysokie niebo posiędę,
Wiecie, jak ziemi ojczystej życzę,
Tam modlitwami służyć jej będę!
Za króla, za was i za rycerze,
Za stany miejskie, za stan poddańczy,
Będę się modlił. Niech Bóg was strzeże
Od głodu, moru, ognia, szarańczy:
Niechaj wam niebo męstwa przyczyni,
Od pól oddala grady i susze!
Będę strzegł Litwy, a wy, Litwini!
Módlcie się tutaj za grzeszną duszę!

VII.

Przeżegnał panów skostniałą ręką;
Wyszli ze łzami senatorowie.
Wszedł burmistrz miasta, pan Otoczeńko,
Padł na kolana i tak doń powie:

— Panie! wy ojcem naszym jesteście!
Tyleście miastu dali opieki!
Raczie zezwolić, by w naszym mieście

Stanął twój pomnik w potomne wieki!
Niech go wyrobią nasi rzeźbiarze,
Niech go wykują nasi kowale!
A my, magistrat, jak dług nam każe,
Sami ustawim na miejskim wale!

— Panie burmistrzu! praca za długa,
Mnie za ten pomnik nie kupisz nieba.
Jakaż tu była moja zasługa?
Zem ja was kochał? bo tak potrzeba!
Te wasze baszty, te wasze ściany,
Ta łąza, co u was w oczach się kręci,
To będzie pomnik mój wykowany!
On moją pamięć trwalej uświęci!
Czy nieprzyjaciół, czy czas go zburzy,
Wy się nie leńcie kielni i młota.
Niech waszej głowy strzeże najdłużej,
Aby nie poszła marnie robota.
W bramie Miednickiej postawcie strażę,
A gdy zadzwonią, że już mnie niema,
Pierwszy, kto w niej się jutro ukaże,
Pięćset kop groszy niechaj otrzyma!
Grosz na to w mojej znajdziecie skrzyni,
Opieczętowan wielce starannie.
Niechże to łaska wasza uczyni,
Bom tak ślubował Najświętszej Pannie!
Bywajcie zdrowi, mój Otczeńko!
Módlcie się za mnie, gdy w Panu zamrę...
Bywajcie zdrowi... — I drżącą ręką
Mosiężnej księgi otworzył klamrę,
I począł czytać, i święta rosa
Zwilżyła oczy, co jeszcze gorą.
Snadź świętej duszy tęskno w niebiosach!
Burmistrz i radni wyszli z pokorą...
On się zadumał, w górę wznosił oczy,
Przycisnął mały krzyżyk do łona...
Wtem jęknął kapłan, co stał z uboczy,
Że pasterz kona...

VIII.

O zmroku w mieście zagrzemiały dzwony,
I wieść żałosna wszystkich uderza:
Że już dobrego niemasz pasterza!
Płacz po nim, ludu osierocony!

Mnogi się naród tłoczy w ulicy,
 Wszyscy żałośni, wszyscy ciekawi:
 O! na pasterskiej naszej stolicy
 Drugi się Tabor nie prędko zjawi.

IX.

Pan burmistrz spełnił to, co mu każe
 Święty nieboszczyk: nazajutrz do dnia
 W Miednickiej bramie postawił strażę,
 By najpierwszego spotkać przychodnia.
 O piątej z rana bramę otwarto.
 Ktoś idzie pieszo z Miednickiej drogi...
 I w miejskiej bramie stanął przed wartą
 Pokaleczony żołnierz ubogi.
 Twarz ma i postać jeszcze młodzieńczą,
 Stąpa sztywnie, zbudowan składnie.
 Lecz głuchym kaszlem piersi mu brzęczą,
 I skaleczoną ręką nie władnie.
 Skłonił się warcie, wstrzymał się w bramie,
 Spojrzał na nowe żelazne wrota,
 I rzekł z boleścią, co łez nie kłamie:

— Gdzież się ja udam biedny sierota?

— O! ja waszmości drogę pokażę!

Pójdiesz na ratusz, sąd cię opisze. —

Rzecz mu żołdak, co pełnił strażę,
 Ze śmiechem patrząc na towarzysze.

— Na ratusz! — krzykną. — Kto waszmość taki?
 I skąd przychodzisz w tak rannej chwili?

Rozswawolone miejskie żołdaki
 Halabardami go otoczyli.

— Poco na ratusz? Hej, hola! hola!
 Albow ja zbrodzień? — rzekł żołnierz śmieie. —
 Ja wracam z boju, z kleckiego pola.
 Tatarskie rany noszę w mem ciele!
 Szanujcie rany! bo, jak Bóg miły,
 Jeszcze choć szczudłem bronić się mogę!

Ale żołdaki go ostąpiły,
 Wejścia do miasta przecięły drogę.

— Wasz ratusz żadną nie jest mi władzą!
 Ja jestem szlachcic! — wołał kaleka;
 Lecz go żołdaki gwałtem prowadzą,
 Gdzie na ratuszu obrada czeka.

X.

Poustrajani w szuby sobole,
W bogate pasy, w błyskotek wiele,
Panowie radni siedzą przy stole:
Pan burmistrz miasta siedzi na czele,
A obok niego radni, ławnicy,
Z krętymi wąsy, z butnemi głowy,
A obok pana Piotra Kotwicy
Siedzi poważny pisarz sądowy.
Kunsztownie tkaną perską makatą
Pozaścielano stoły i ławy;
Pan burmistrz trzyma księgę bogatą; —
To magdeburskie miasta ustawy.
Jeden ma w czapce kité pierzastą,
Drugi ma spinkę z drogich kamieni.
Świetneż być musi wileńskie miasto,
Gdy jego rajcy tak przystrojeni!

XI.

Straż do ratusza wiedzie żołnierza.
Kędy zasiada rajców drużyna.
Każdy ciekawem okiem go zmierza.
Oblicze jego coś przypomina.
Ten, co miał zwierzchność nad miejską wartą,
Tak przed urzędem rzecz swoją czyni:
— Ledwie Miednicką bramę otwarto,
Ten pierwszy człowiek zjawił się przy niej.
Kto on? ja pytać nie miałem prawa;
A resztę czyńcie, jak się wam zdawa.
— Marcin Studzieński! znamy go! znamy!
Wykrzyknął burmistrz i rajców grono.
I wnet za przejście Miednickiej bramy
Pięćset kop groszy mu wypłacono.
Biedny kaleka patrzy się, dziwi
Swemu bogactwu, i sam nie wierzy;
Lecz go oblegli rajcy życzliwi,
Jak przyjaciele, jak bracia szczerzy:
— Boska nad tobą czuwa opieka!
Co było, nie jest — w registr nie piszem.
Boś ty wybrańcem świętego człeka,
Bądź naszym bratem i towarzyszem.
Powiedz nam, z jakiej przybywasz strony?
Czemu z twych oczu łza bujna płynie?

Czemu powracasz pokaleczony?
Wszystko nam powiedz, panie Marcinie!

XII.

— Krótkie me dzieje, sławetne pany! —
Odpowie żołnierz — powieść niemiła:
W bitwie pod Kleckiem byłem zrabany,
Strzała tatarska pierś mi przebiła.
Dobry towarzysz przybył z pomocą,
Ratował, leczył, jak brat jedyny,
A tuląc moją dolę sierocą,
Zawiódł w Oszmiańskie, do swej rodziny.
I ja tam miałem krewnego księdza
U Franciszkanów na Mieście Starem;
Ale w klasztorze zwyczajnie nędza, —
Czułem, że jestem księdzu ciężarem.
Ramię mam chore, szablą nie władnę.
Żołdem rycerskim żyć już nie mogę,
Nie umiem wdać się w rzemiosło żadne...
Więc kij żebraczy... i dalej w drogę.
Tedy z Oszmiany pieszo wychodzę,
Ale zaledwiem uszedł pół mili,
Jacyś mię zbójcy napadli w drodze
I towarzysza mego zabili.
Pokaleczony, z grosza odarty,
Inaczej radzić gdy było próżno,
Wlokłem się tutaj, ot dzień już czwarty,
Z wioski do wioski żyjąc jałmużną.
Szedłem, nie wiedząc, gdzie głowę złożę;
Ujął mnie żołdak przy bramnej warcie...
Gdy miłosierdzie cudowne Boże
Przez wasze ręce dało mi wsparcie.

XIII.

— Snadź ci nadeszła nagrody pora,
Żeś mężnie walczył w kleckiej potrzebie;
Błogosławiona dusza Tabora,
W ostatniej chwili przeczula ciebie.
Ciebie wybrały Boże wyroki,
Narzędzie cudu widzimy w tobie.
Pójdźże nawiedzić pasterza zwłoki,
Na dobroczyńcy pomódl się grobie.
Tak doń mówili miejsca rajcowie,

A pan Kotwica grzecznie i skromnie
 Wziął go na stronę i cicho powie:
 — A na wieczorek przyjdź, waszmość, do mnie!

XIV.

W dworcu biskupim smutne dziś rano:
 Litwa straciła swego pasterza,
 Dzwon katedralny głucho uderza.
 Niosąc po kraju wieść oplakaną.
 Na prostej ławie, prostym kobiercu,
 W izbie, gdzie światła iskrzy się siła,
 Leży mąż Boży — z ręką na sercu;
 Już dusza jego... tam, gdzie tęskniła;
 Już z wysokości krainy górnej
 Księża żałobne pieją nokturny,
 Tłumy się ludu cisną, jak mogą.
 Żałość rozlana w modlitwie, w śpiewie.
 Po wszystkich twarzach łzy bujne biegą:
 Każdy się modli, ale sam nie wie:
 Modlić się za nim, albo do niego?

XV.

Marcin Studzieński, wespół z drugiemu.
 Gdy się docisnął wsparty na kuli,
 U nóg pasterskich klęknął na ziemi,
 Wdzięczną modlitwę lejąc najczulej.
 A między ludźmi już rozgłos lata,
 Że to jest rycerz, że to ten samy,
 Co do Miednickiej pierwszy wszedł bramy.
 Że mu sądzona kwota bogata.
 Marcin się modli... Czy dusza wrząca
 Dawne mu w sercu wspomnienia budzi?
 Czy od zbytniego natłoku ludzi,
 Czy z niezliczonych światła gorąca,
 Głowa się mroczy?... Chwieje się, bladnie,
 Ledwie przez izbę wyszedł do sieni,
 I na podłogę pada bezwładnie,
 Jak upadają gromem rażeni.
 Długą czy krótką przeleżał chwilę.
 On nie pamiętał, a nikt nie zważa.
 Ciało obwite w łachman nędzarza,
 A dusza, strojna w skrzydła motyle, [nie,
 Przez wspomnień kwiaty, przez wspomnień cier-

Leci... o kwiatek, o cierń zahaczy...
To — uśmiech lubej, co kocha wiernie,
To krwawa bitwa, to — strój żebraczy,
To — napad zbójców, to — rzewna modła
Przy zacnych zwłokach ojca Tabora.

Wtem go chrapliwa mowa ubodła:

— A powstań, waszmość! spać tu nie pora!
Spać tu nie miejsce — wynoś się skoro!

Żoldak, co w sieniach odprawiał strażę,
Szarpnął go silnie za rękę chorą,
I z progów Pańskich wynieść się każe.

XVI.

Powstał Studzieński — ale o dziwa!
Strzaskana ręka już go nie boli.
Rana, co w piersiach, już nie narywa;
Odrzucił szczudła — przeszedł powoli,
I sam nie wierzy, sam siebie bada,
Czy jest w istocie zdrowym i hożym?
A więc ludowi cud opowiada,
Co mu się trafił przy mężu Bożym.
Tłoczy się naród blizki, daleki,
Słucha powieści, cudom zawierza;
Bo sam oglądał rany kaleki,
I wierzył w świętość ojca pasterza...
Dzisiaj powiecie: Bajka to stara!
Anachroniczna ta powieść cała;
Ojczyzna cudu, kruchciana wiara.
Dziś z chrześcijańskich serc uleciała. —
A czyż ja mówię, że ona żyje,
Lub że dziś nasze czyny okrasza?
Ze starych kronik powtarzam chryję. —
Wierzcie, nie wierzcie, jak łaska wasza.
Dzisiaj nie nęcą Anioły Boże,
Dzisiaj nie straszni piekielni czarci.
Czy cud być może, albo nie może?
Czyśmy go warci? albo niewarci?
Czyśmy już w naszej rozumnej pysze
Wydarli Panu berło z koroną?
Ja w to nie wchodzę, lecz powieść piszę
Z czasów, gdy jeszcze w cuda wiercono.
Marcin Studzieński zeznanie cudu

Do katedralnej zaniósł świątyni:
Stało się jawnem w obliczu ludu,
Jak Pan małuczkim Swe łaski czyni.

EPILOG.

Dał pan Kotwica wieczór wspaniały,
Powrót obchodzić chciał Marcinowy,
Pięćset kop groszy — to grosz niemały,
Więc go do spółki ciągnął handlowej.
Marcin zezwolił, bo z jego chatą
Spółkę serdeczną miał z dawnych czasów;
Więc uradzono na przyszłe lato
Wspólnie nakupić pereł, atlasów,
Po drogie wina posłać do Gdańska,
Kupić złotogłów, futra sobole:
A co do reszty... w tem łaska Pańska,
Spuśćmy się całkiem na Jego wolę!
Odwiódł na stronę pana pisarza:

— Stary kolego! — rzekł mu do ucha —
Czy widzisz waszmość, co mi Bóg zdarza?
Miłoś mieć zięciem takiego zucha!

Pan pisarz miejski pojął te słowa,
Że się z nierównym spotkał szermierzem;
Ale co wyrzekł — milczenie chowa
Kronika stara, z której to bierzem.
Musiał pomyśleć: Niech kat naruszy!
Trzeba odkosza zgryźć pokryjomu!
Potem wziął czapkę, przytulił uszy,
I powędrował cicho do domu.
A tam na uczcie czy pito wiele?
Wiele zjedzono soli i chleba?
I czy na końcu było wesele?
O tem i mówić zda się nie trzeba.

1859. Wilno.

DZIEWICZY WIECZÓR.

Z CZĘŚCI I.

Jak na wiosnę rój,
Szli pancerni w bój;

Błyszczą miecze i dziiryty,
Ziemia stęka pod kopyty,
Grzmi żelazny strój!

Każdy żołnierz zuch,
Zwalczy najmniej dwóch;
Choć wążacze i brodacze,
Młode serce w piersiach skacze,
Młody kipi duch!

Dalej młodszy huf,
Każdy piękny, zdrów,
Na osłode w tęsknej drodze
Śpiewa piosnkę o niebodze
Z kordyalnych słów.

Aż się kurzy pył,
Wiatr w chorągiew bił;
Pod proporcem naprzód dąży
Siwobrody pan chorąży,
Jeszcze pełen sił.

Pod słoneczny skwar
Przyjechali w jar:
Tu przystanek dla żołnierza,
Dla koników woda świeża —
I zakipiał gwar.

Hetman krzyknął: Stój!
Orzeźwimy znój!
I z rumaka skoczył żwawo,
I pod brzozą kędzierzawą
Płaszcz rozesłał swój.

Na hetmański ład
Szlachta poszła w ślad;
Zsiedli z koni w jednej chwili,
I do ziemi kopje wbili,
Prychnął konik rad.

Nim zeń zejdzie pot,
Nim owieje chłód.
Pancernicy, siadłszy w wianek,
Wychylają z swych blaszanek
Smakowity miód.

U polowych miedz,
 By wróg nie mógł zbiec,
 Na pagórkach i przy jarze
 Postawiono gęste straże
 Bezpieczności strzec.

Jeden podał wzór,
 Drugi zapiał wtór,
 I płaczkliwie, i boleśnie
 Zaśpiewali starą pieśnię
 W stogłosowy chór.

Co będzie jadł, co będzie pił
 Mój koń chudzina?
 Gdy przyjdzie mnie legnać bez sił
 Z rąk Tatarzyna?

Mnie wpośród pól wykopią grób
 Rycerze mili;
 A smutny koń nad pusty żłób
 Głowę pochyli!

Gdy wszystek duch wysączę z ran
 Pod mieczem wroga,
 Co będzie śnić, z kim pójdzie w tan
 Moja nieboga?

Znajdzie się pan, jeśli jest koń,
 Weźmie ochotnie;
 Dziewczyna mknie innemu dłoń,
 Gdy skrzypca grzmotnie.

Gorzej, gdy wir rzucony w dół
 Zasypie oczy, —
 Że przez mój grób do naszych siół
 Pohaniec wkroczy.

— Cicho z tą pieśnią! — hetman zakrzyczy —
 Niech idą wróżby na suchy las;
 Gdy zajrzym w ślepie tatarskiej dziczy,
 Taniec z dziewczęty znajdzie swój czas.
 Człek się rycerski laurów spodziewa,
 Orzeł pod chmurą żartuje z burz;
 Kto sam po sobie Requiem śpiewa,
 Idąc na bitwę, to pewno tchórz.

Wstyd wam, pancerni, takowych treli,
Bo w nich pieszczoty mieści się jad;
Niech białogłowa przy swej kądzieli,
Niechaj przy kruchcie śpiewa ją dziad.

Inaksza była piosenka nasza,
Której w obozie uczono mnie:
Ton jej był ostry, jak zgrzyt pałasza,
Gdy po pancerzu żelaznym tnie.

Krew rozgrzewała, krzepiła zdrowie,
I hartowała na ciężki trud:
Nie dziw, że święci nasi ojcowie
Niejeden chrobry zdziałali cud.

Dziś insi ludzie, insze koleje:
W słowach piosenki krzewi się chwast;
Nie dziw, że oręż w rękach tępieje,
Pieśń wasza szturmem nie weźmie miast!

Więc rycerstwo już nie śpiewa, —
Stary hetman dziś się gniewa.
Niech się gniewa, niechaj zrzedzi,
On na wrogach złości spędzi.

Nic nie nada refleksya,
Bo przed bitwą zły, jak żmija.
I nie ujrzysz w nim dobroci,
Póki wroga nie wygrzmoci.

Ot, ze złości siadł na stronie,
Że popasać trzeba konie,
Że pancernym dać potrzeba
Choć przekąsić kawał chleba.

Onby w boje leciał strzałą,
Onby nie spał przez noc całą,
Onby samem żył powietrzem,
Póki węża nie rozetrzem.

Lecz po boju, — choć do rany:
Gotów pierwszy ruszyć w tany,
I przypomnieć z czarką miodu,
Jak to śpiewał sam za młodu.

Bo to, slysze, w dawnej porze
I dziewczęta lubił hoże,
Krotochwile przy obiedzie,
I kielicha nie zawiedzie.

Dziś w hetmaństwie częściej bywa
Pańska głowa frasobliwa,
Aby nasza dziatwa mała
W bezpieczeństwie usypiała;

By odpędził pałasz krzepki
Sny trwożliwe z nad kolebki,
Aby śpiących swemi krzyki
Nie rozbudził zbójca dziki;

Aby król nasz na swym tronie,
W senatorskiem zacnem gronie,
Mógł swobodnie radę radzić,
Jak do szczęścia nas prowadzić;

By w kościołach Boża chwała
Pohańbienia nie doznała, —
Ostry brzeszczot w jego dłoni
I ołtarzów naszych broni.

Bez wielkiego serca ludzie
Omdlewają w takim trudzie,
Choć buławę mają godłem,
Choć im rumak rży pod siodłem.

Fraszka — mądrość wojownika,
Co obozy sam wytyka,
Fraszka nawet duch ochoczy,
Co na dziesięć jeden skoczy.

Prawy hetman zwraca oko
Na dostojność swą wysoką;
Bo w hetmanie, jak w kapłanie,
Grunt jest — święte powołanie.

Trzeba w sercu ul mieć pszczelny,
I rój pszczołek stworzyć dzielny,
Coby żądłem pełnem jadu
Bronił kwiatów swego sadu.

Trzeba w sercu, jak plastr miodu,
Mieć kochanie dla narodu:
I dla panów, i dla kmieci,
I dla starych, i dla dzieci,

I dla żytnej ziemi swojej,
I dla wody, co nas poi,
I dla lasów pełnych zwierza,
I dla wiatru, co odświeża.

Bo kochanie tylko w stanie
Zahartować duch w hetmanie,
I umocnić jego ramię,
Że go piekło nie przełamie.

Patrz na ptaszka lub na zwierzę,
Kiedy piskląt swoich strzeże:
Skąd ta mądrość w ich obronie?
Skąd to męstwo w jego łonie?

Tu mistrzyni jest wyborna —
Jedna miłość cudotworna:
Nierozumnym rozum wleje,
Od niej słaby spotężeje.

Taka miłość, gdy przenika
I hetmana walecznika,
Już walecznik, jak duch z nieba,
Bohaterem zwać go trzeba.

Już możecie zostać śmieie
I kapłani w swym kościele,
I królowie na swym tronie,
I rolnicy na zagonie.

Zieleniejcie, lasy, świetnie:
Wróg siekierą was nie zetnie;
Płynście, rzeki, w kraj daleki:
Nie jesteście bez opieki.

Już was żaden ze złych ludzi
Swemi usty nie zabrudzi;
A hetmańskiej wierzcie stali,
Bo kto kocha, ten ocali.

Taki hetman — nasze zdrowie,
Do zwycięstwa on nas zowie;
Do zwycięstwa i do chwały.
By nas wieki pamiętały.

Z CZĘŚCI II.

Po prostu była litewskich dzieci
Chata wzniesiona;
Prosty Najlide, jak umie, kleci
Z dębów bierwiona.
Między bierwiona mech ściele sporo,
Otula ściany,
Krokwie obija dębową korą,
Pod dach słomiany.
Długa, szeroka chata Litwina
Z dwóch stron się składa:
Po jednej żyje chatnia drużyna,
Po drugiej stada.
Koniki silne, czy do roboty,
Czy to do boju,
I karmicielki — krówki pieszczoty.
Pełne udoju.
I wielkorogich woliców para,
Co skibę kraje,
I kędzierzawa owieczka szara,
Co odzież daje.
Tam, gdzie się w chacie ludzie gromadzą,
Okienko świta,
A czarna ściana dymem i sadzą
Wiecznie pokryta.
Zamiast podłogi, tok z gliny bity
Mularze dali.
Na środku izby ogień sowity
W jamie się pali.
Pali się zawsze — bo tu jest Żnicza
Głównia ofiarna;
Przy nim tce krosna ręka dziewicza
Lub kręci żarna.

Przy nim starcowie swą staroświecką
Gawędę plotą;
Słucha jej młodzian, słucha jej dziecko
Z pilną ochotą.

Gdy, piękną młodzież widząc przed sobą,
Staruszek baje,
On dawnym latom z jutrzejszą doba
Święty ślub daje.

Przy tych gawędach bogowie stoja
Na pilnej straży;
Nie umrze dziadek, aż przeszłość swoją
Wnukom wygwarzy.

Przy huku żaren, przy stuku w krosna,
Przy grzmocie cewki,
Płynie po chacie piosnka żalosna
Młodej Litewki.

Młodziuchna Erma jest narzeczoną
Do bliskiej wioski;
Wkrótce porzuci domowe grono
I dom ojcowski.

Wkrótce zlocisty splot jej warkoczy
Czepiec okryje,
A czarodziejskie błękitne oczy
Lezka omyje.

Biedna Litwinka! O szczęściu nie śni
W marzeniu lubem;
Obyczaj każe żalosne pieśni
Śpiewać przed ślubem.

Więc rówiennice schodzą się do niej
Z przyjaźnią tkliwą;
A każda jęki bolesne roni,
Jak nad nieżywą!

Stare przysłowie dobrze powiada:
Ślub jest żalobą;
A jednak każda co prędzej rada
Płakać nad sobą.

Zaszczebiotały, jakby jaskółki
Na niepogodę;
Podobierały głosy do współki
Dziewczęta młode.

Obsiadły wkoło, z pustej swawoli.
Ermy krosienka,
I zaśpiewały, aż serce boli,
Aż ściana stęka:

Do siostry naszej ruta się wdzięczy,
Dla niej lilia wytryska z pęczy,
A przecież siostrę tęsknota dręczy.

Czego się, siostro, twa dusza trwoży?
Wszak twoja młodość to ranek Boży,
Wszak narzeczony piękny i hoży!

— Prawda, że wiosna jak ranek świeży.
Mój narzeczony pierwszy z młodzieży,
A przecież kamień na sercu leży!

Muszę się zegnać z domową stroną,
Muszę się zegnać z matką rodzoną,
Z moim ogródkiem, z rutą zieloną.

Wy, czarne kury, nie piejcie rano,
Przedłużcie moją nockę niespaną,
Niech się nagadam z matką kochaną!

Kury nie pieją, śpi wioska cała,
I ciemna nocka godzin przybrała,
A jam się z matką nie nagadała!

— Słuchajcie — rzekła jedna dziewoja —
Czy nie piękniejsza piosenka moja?
Był sobie chłopak, sierota szczerą,
Co u stóp dębu serce otwiera:

Tam przy morzu u przystani,
Wyszła góra z ziemi,
Dąb szeroki wyrósł na niej
Z gałęzmi krętymi.

Wypłynąłem wraz z jutrzeńką
Zwiąć myśli sieroce,
I przybiłem me czółenko
W przygórnej zatoce.

I objąłem dąb chropawy,
Ile mogłem dostać:
Zmień się, dębie, bądź łaskawy,
W mego ojca postać!

Wznieś gałęzie uroczyście,
Jak ręka ojцова;
Zmień szumiące twoje liście
Na serdeczne słowa!

Lecz sierota w poniewierce,
Próżno łączy me biega:
Nie zabiło w dębie serce
Ojca rodzonego.

Nie wzniosł ramion uroczyście,
Jak ręka ojцова;
Nie szumiały jego liście
Serdecznego słowa!

Druga dziewczica rzekła koleją:
Czyż tylko chłopcy boleć umieją?
Ich łza jak ogień rozpala oko,
Nasza do ziemi idzie głęboko;
Ich jęk do nieba trafić ma siłę,
A nasz się głębiej wbija w mogiłę;
Oni śpiewają szczęśliwą chwilą,
A my i myślim pieśniami tylko.
Ja takąż pieśnię umiem inaczej,
Jak to po matce córka w rozpacz:

Posyłali mię niebożę,
Szukać jagód w ciemnym borze;
Lecz ja w borze nic nie robię,
Bo na matki byłam grobie.

Poszłam w góry ścieżką znaną,
Gdzie jej kopiec usypano;
Gdym płakała, drzewa jęły,
Aż w mogiłę łączy zasięły.

Matka pyta w swojej trumnie:
Kto tam z płaczem przyszedł ku mnie,
Że aż jęczy piasek z gliną,
Łzy gorące w pierś mi płyną?

— To ja, córka... matko miła!
Coś sierotą zostawiła.
Kto rozczesze włos mój złoty?
Kto omyje twarz sieroty?
Kto strzec będzie moje zdrowie?
Dobre słówko kto mi powie?

— Idź do domu, córko miła,
Jam ci dolę wymodliła;
Już w tej chwili przysłał swaty
Rycerz zacny i bogaty.

On rozczesze warkocz złoty,
On omyje twarz sieroty,
On strzec będzie twoje zdrowie,
Dobre słowo on ci powie.

— Ej wy, dziewczęta! to nie wypada,
Łzy wywoływać na oczy dziada! —
Tak mówił Warpas, starzec brodaty,
Zakuty Litwin dawniejszej daty,
Starych obrzędów postrzegacz ścisły,
Siwy, jak jawór szronem nawisły.
Ale dla niego była pokutą
Pieśnia weselna z grobową nutą.
Stary był wesół, jak rzadko starzy,
Lubił śmiech widzieć na każdej twarzy,
Zwłaszcza, gdy miodek lub chmielne piwo
Na twarzy kraskę wywoła żywą.
Aż się od śmiechu kładą przytomni,
Dawną pustotę kiedy przypomni,
I teraz mówił: Będzie wesele...
A wy, choć piosnek umiecie wiele,
Nie znacie jednej. Za mej młodości,
W chacie litewskiej, gdy pełno gości,
Chórem śpiewali, chórem się śmieli;
Dzisiaj i śmiać się już zapomnieli,
I żaden nie wie, co wtedy było,

Gdy się wilczysko w lesie żeniło?
Dajcie mi żarna — niech je pokręcę,
Niech odprostuję zgrzybiałe ręce,
I puszczę myśli w weselszą drogę,
Bo bez roboty śpiewać nie mogę.
Więc do kamienia nasypał ziarna,
Odrzucił głowę, zahuczał w żarna,
Jak dobry gęślarz, co w pierwszej probie
Najprzód przygrywkę dobiera sobie,
I głosem takim, jakby ze studni,
Jak wóz skrzypiący po moście dudni,
Zaśpiewał pieśnię z dawniejszej chwili,
Kiedy wilczycę z wilkiem żenili:

Przywędrował niedźwiedź kudłaty, kudłaty,
Do wilczycy z piwem we swaty, we swaty;
Tej jesieni wilk się żeni,
Idą goście zaproszeni
Do lasu, do lasu!

U jeża pod kluczem gorzałka, gorzałka,
Lis sprawuje urząd marszałka, marszałka,
Zając zda się, w trudnym czasie,
Państwa młodych wieść w kolasio
Do ślubu, do ślubu!

Tchórz szumiące piwo wypienia, wypienia,
Wróbel robi słody z jęczmienia, z jęczmienia,
A kukulki im do spółki
Spieszą chmielne nieść szypułki
Z ogrodu, z ogrodu!

Drwa piłuje rydlem byk łysy, byk łysy,
Pies wymywa garnki i misy, i misy,
Warchlak gładki dla gromadki
Nakupował mięsa z jatki
Po groszu, po groszu!

Niedźwiedź, spoczywając po trudzie, po trudzie,
Gra niemieckie marsze na dudzie, na dudzie,
Wilk ssał czarę, przebrał miarę,
Prosi kozę w pierwszą parę
Do tańca, do tańca!

Jestem dzisiaj w dobrym humorze, humorze,
Niech mi kuma w tańcu pomoże, pomoże!

Wróg widocznie, kto dziś spocznie;
Hej, niedźwiedziu, zagraj skocznie
Walczyka, Niemczyka!

Jak odmówi kuma w zabawie, w zabawie,
To ja panią kumę zadławię, zadławię,
A ze skóry dla wilczury
Będzie kołpak jasno-pióry,
Od święta, od święta!

* * *

Zachichotały dziewczki chichotki,
Jaki to z wilka tanecznik słodki,
I jak mu kozi kołpak do twarzy,
Jak na weselu lis gospodarzy,
Jak tam pod wozem zajączek stęka, —
Aż do rozpuku śmieszna piosenka!
— A co? czy śmieszna? powiedzcie szczerze!
Staruszek sam się za boki bierze;
Rad, że zabawił garstkę domową,
Zahuczał w żarna, pokiwał głową,
I chciał ich śmieszyć i śpiewać dalej,
Gdy trwożny okrzyk wszyscy wydali!
Wśród nocy, z okna tam od podwórza
Dwoje się z ciemna oczu wynurza,
Przez szybę błyszczy twarz jakaś dzika
I ryża broda, jak rozbójnika,
Rząd białych zębów świeci z pod wąsa,
A straszne widmo głową potrząsa.
— Kto tam?! — krzyknęli wszyscy strwożeni,
I wyleciała młodzież do sieni.
Jeden pochwycił bardysz ze ściany,
Drugi swój topór grubo kowany,
Dziewki za starca tulą się z trwogą;
Lecz już na dworze niema nikogo,
Tylko posłyszał jeden z młodzieży,
Że ziemia tętni, jak gdy kto bieży;
Tylko zobaczył drugi z za drzewa,
Że widmo białym płaszczem powiewa,
Że się coś iskrzy nad jego głową,
Jakby nosiło czapkę stalową.

Starzec żartował z trwogi dziecięcej,
Ale już pieśni nie śpiewał więcej.

Na twarzy jego z dziwnym wyrazem
 Strach i szyderstwo zbiegły się razem.
 Lecz przerażenia nie dając znaku:
 To wilk — powiadał — w kozim kołpaku!

1860. Wilno.

DOKUMENTA.

GAWĘDA BABY LULKI.

I.

Na wiosce, w chacie rolnika,
 Żyje staruszka sędziwa;
 Że czasem luleczkę pyka,
 Baba się Lulką nazywa.

Prześliczny obraz, choć w ramy,
 Nasz z nią wieczorek w gawędzie;
 My przy kominku słuchamy,
 A baba gwarzy i przedzie.

Stare podania pamięta.
 Raz nam mówiła te słowa:
 Że dawniej wszystkie zwierzęta
 To była szlachta herbowa.

Lew już z przed wieków miał sobie
 Prawa królewskie uznane:
 W konstytucyjnym sposobie
 Pożerał swoje poddane.

Niedźwiedź był baron, wilk hrabia,
 A lis to szambelan stary;
 O co tam który wyrabia,
 Lew na to patrzył przez szpary.

I zwierząt inszych niemało
 Stan szlachty rycerskiej składa,
 I jak na szlachtę przystało,
 Próżnuje, pije, zajada.

Głowy nosili do góry
 Wolni panowie swych domów;
 Z osiełków zdzierano skóry
 Na pergaminy dyplomów.

Tylko się biedna mysz w norze
Lub zasklepiona w stodole,
Legitymować nie może —
Zwyczajnie chude pacholę.
Lecz nie zna podatku z duszy
I na pańszczyznę nie idzie;
Więc głowy wielce nie suszy,
Że w chłopskiej musi żyć biedzie.
A rządząc się gospodarnie,
Ma pokarm smaczny i zdrowy,
Ma śpichrz, stodołę, spiżarnię,
Jak jaki szlachcic czynszowy.

II.

Raz niedźwiedź tak się rozgada
W swoich przyjaciół drużynie:
— Piękna to rzecz, kto posiada
Dyplomata na pergaminie!
Lecz zimą, jak będę we śnie,
Choć go pod głowę położę,
Z wilgoci wkradną się pleśnie,
Jeszcze dyplomata zgnić może!
Wilku! przyjacielu szczery,
Przyjaźń usługnym być każe:
Wszak ty masz własne papiery,
Weź dyplom pod swoją strażę.
— Nie mogę — wilk mu odpowie —
Ja zawsze jestem za domem,
Sam rady nie znajdę w głowie,
Co zrobić z własnym dyplomem.
Muszę pilnować baranów,
Co się tam pastwią nad zbożem;
Więc sam się, m o n c h e r, zastanów,
Że nie mam czasu być stróżem.
Ot lis, co siedzi na stronie.
Niechaj tem zajmie się szczerze:
Daj mu swój dyplom, baronie,
A ja mój własny powierzę.
— Dajcie mi pokój! — lis wrzaśnie —
Mnie myśleć o pergaminach!
Wszak do mnie należy właśnie
Sąd sporów w kokoszych gminach.

Muszę od wioski do wioski
Biegać i słuchać ich gwarów.
Och, urząd... urząd sędziowski
Ileż ma w sobie ciężarów!

— Ha! jeśli tak — wilk mu rzecze —
W psiej budzie złożym archiwa:
Pies weźmie dyplomy w pieczę,
On się stróż wierny nazywa!

Więc oddał psu swoich braci
Rodowitości dyplomy.
Pies przyrzekł, że ich nie straci,
A już psi honor wiadomy.

Ale po krótkiej rozwadze
Zadrzał o papiery w budzie:
— A cóż ja biedny poradzę,
Jeśli ukradną je ludzie!

Bo takie rzeczy ich wabia:
Nie bardzo wierzę w ich cnotę,
Zostać baronem lub hrabią
Każdy z nich miałby ochotę.

Psie nawet szlachectwo moje
Skusiłoby niejednego:
Sam się o własny skarb boję,
Jakże się inne ustrzegą?

Ot, pójdę do kota lepiej:
Jego troskliwa opieka
Niech gdzieś w zapiecku zasklepi,
Zdala od oka człowieka.

Szedł i powiada rzecz całą:
Skladam w twe ręce skarb wielki,
Przodków pamiątkę wspaniałą,
Ześmy nie hetki-pętelki.

Pamiętaj czuwać przykładnie,
By ten skarb nie był zepsuty;
Bo jak szlachectwo przepadnie,
Wszyscy pójdziemy w rekruty.

Kot, pełniąc sercem gotowem,
Co każe bracia życzliwa,
Złożył pod strychem domowym
Rodowitości archiwa.

Lecz gdzież pieszczonemu dziecku
Ślęczyć jako archiwista?
Trzeba się wygrzać w zapiecku,
Trzeba się umyć do czysta.

Trzeba wyskoczyć na ramiona
Panienki, co go tak kocha;
Ówdzie go rybka smażona,
Tam słońce nęci pieszczocha.

Tam trzeba poigrać skocznie.
Tam przyszła pora obiadu...
Czasu — brak czasu widocznie,
Że ani zajrzał do składu.

Tak przeszło lato, tak zima;
Mysz, co siedziała po cichu,
Gdy zboża w śpichrze już niema,
Poczęła wietrzyć po strychu.

I aż z radości podrosła,
Do heraldyki dopadłszy:
Choć twarda skóra w niej osła,
Ale głód smaku nie patrzy.

Zwołała braci i siostry
Na te przysmaki jedyne,
I wzięły na ząbek ostry
Średniowiekową łacinę.

Nigdy tak krytyk w gazecie
Nie pastwi się w żywe oczy,
Gdy autor nieznany w świecie
Tom poezijek wytłoczy,

Jak one wszystkie pospołu
Strzygły, gryzły, darły w szmaty...
Stały się kupą popiołu
Hrabiowstwa i baronaty,

I psie szlachectwo zginęło,
Figurujące tak dumnie.

Na takie wandalstwa dzieło
Paprocki aż stęknął w trumnie.

Lecz można w obronie myszy
Użyć retoryki całej:
Skąd one w swojej zaciszy
O dyplomatach wiedziały?

Do takiej rozmyślnej psoty
Syn tylko zdolen człowieczy:
To dzieło chłopskiej roboty,
Co nie zna wartości rzeczy.

III.

Wtem niebo cisnęło głazem:
Kazano na łeb, na szyję,
Wszystkim zwierzętom zarazem
Sklądać legitymację:

Kto jesteś zacz? kto cię rodzi?
Kto pradziad świętej pamięci?
Skąd się twój klejnot wywodzi,
Co go używasz w pieczęci?

Gdy każą, to trudna rada,
Potrzeba słuchać w tej chwili;
Więc każdy do psa powiada:
— Oddaj mi, waszmość, przywilej!

Pies idzie i kota pyta
Swoich współbraci imieniem,
Co miękki, jak sybaryta
Bawił się własnym ich cieniem.

Pod strych pobiegli co żywo:
Obaj krzyknęli z rozpaczą,
Kiedy ruinę straszliwą
Zamiast dyplomów obaczą!

W żalu załamali pięście...
Kot już ze strachu na strzesie;
Pies poszedł wspólne nieszczęście
Zwiastować braciom, co w lesie.

Niedźwiedź rwał kudły, gryzł ziemię
Na wiadomości bolesne,
Rycząc przeklinał psie plemię,
Aż głośnie zadrżały leśne.

Porwał psa w silne pazury,
Chcąc mu rozszarpać jelita;
Lecz pies skoczywszy do góry,
Silnie za gardło go chyłta.

Krew obryzgała murawę.
Pies już w godzinie ostatniej
Na bok dwa susy dał żwawe
I umknął z niedźwiedziej matni.

Bieży — wtem wilk go napada,
Który plondrował po niwie:
Całą mu rzecz opowiada, —
Wilk tylko zawył straszliwie.

Głos tak okropne miał zmiany,
Rozpacz tak wielka rozdrażni,
Że w siódmej wiosce barany
Beczeć poczęły z bojaźni.

I przyjaciele najszczerzi
Poczęli gryźć się jak wrogi,
Paszcz z paszczą, piersi do piersi,
Pies zdusił wilka i w nogi.

Co dalej, przewidzieć łatwo:
Spisano zwierzęce głowy,
Wszyscy z żonami i dźwiatwą
Poszli w okład podatkowy.

Poczęto ścigać zwierzęta,
Czy gdzie las gęsty, czy pole;
Pies z wolnego rezydenta
Poszedł do człeka w niewolę.

Został na łańcuch przykutym,
Gdy dawniej na taki przymus
Mógł się zastawić statutem:
„Neminem captivabimus.“

Schłopiały zwierzęta z laty
Pod człeka władzą i strażą;
Wkrótce, dla większej intraty,
Jeszcze im wódkę pić każą.
Pies się na sfore utroczy
I idzie na polowania,
Z wilkiem, z niedźwiedziem bój toczy,
Lub się za lisem ugania.
A gdy się walka rozjada,
Każdy o krzywdzie pamięta
I każdy do psa powiada:
Oddaj moje dokumenta!
Pies czuje, że to sromota —
I szkoda mu leśnych dzieci;
Za to, gdy ujrzy gdzie kota,
Heżha za nim! aż pył leci.
Kot przed nim na dach ucieka,
Albo do drzewa gdzie dotrze.
Pies tylko gniewliwie szczeka:
Oddaj papiery nam, łotrze!
Kot czmycha, parska ze drżeniem,
Nudzi się taką zabawą;
Za to nad myszem plemieniem
Mści się codziennie i krwawo.
Odtąd w zwierzęcej zaciszy
Zmienił się porządek błogi:
Niedźwiedź, wilk, pies, kot i myszy
Są sobie śmiertelne wrogami.
Ktoś chciał ich jednać powoli,
Lecz to zaliczmy do baśni:
Niezgoda — cecha niewoli —
Na wieki wieków ich waśni.

1861. Borejkowszczyzna.

SZKOŁA WIEJSKA.

GAWĘDA.

I.

Na końcu naszej wioski stała się nowina:
Starzy nie wiedzą, płakać czy śmiać się należy?

Pobudowano chatę, jeszcze bez komina,
 Jeszcze bierwion sosnowych nie przykrył tynk świe-
 Jeszcze okna nie white złożono pod ścianą, [ży,
 A już wniesiono ławki, — coś nakształt kościoła.
 Jak świat światem tych dziwów u nas nie słyszano:
 Tu będzie szkoła!

II.

A może to i dobra, może zła nowina:
 Każą chłopców posyłać do tego tam czarta;
 Kazał pan, kazał pleban, kazał pan starszyna,
 To niech sobie i chodzą — rzecz kłótni niewarta.

III.

Sprowadzili jakiegoś jegomości z miasta,
 Broda mu, jak miotełka, żółtawa wyrasta,
 Chodzi w krótkim kozuchu, kapeluszu dużym,
 Pali krótkie papierki, jak my lulkę kurzym.
 Pan... nie pan, bo nie hardy; chłop... nie chłop,
 bo czyta;
 Nie ekonom, bo dziewcząt w objęcia nie chwyta;
 Pójdzie czasem do księdza, a czasem do dwora,
 A z ludźmi by od rana gwarzył do wieczora.
 Najął chatę u chłopą, je co Pan Bóg zdarzy,
 I pędza do roboty mularzy i szklarzy;
 Sam pomaga w robocie, choć mało co zna się:
 Chce szkołę w jak najprędszym pobudować czasie.

IV.

Pobudowano szkołę, — ksiądz w komżę ubrany
 Przyszedł do niej z kropidłem, poświęcił jej ściany,
 Ponapędzano chłopców, z nimi starsi przyszli,
 I ksiądz mowę powiedział bardzo pięknej myśli:
 O jutrzni, która niegdyś nad ziemią zaświeci,
 O świętym Kalasantym, co sam uczył dzieci.
 Dobrze nie rozumiała wszystkiego gromada,
 A baby to aż płaczą, że tak pięknie gada;
 Lecz samo zakończenie już spamiętać łatwo: [wo!
 Przyjdź, Duchu Przenajświętszy! A ty, ucz się, dział-

V.

Ot i szkoła!... aż dziwo!... czysto jak w miasteczku.
 Na ganku spory dzwonek przybili na ćwieczku,
 Dzieciom rozdali książki, tablice, seksterna.

Patrzym... co z tego będzie... Matko miłosierna!
A co z miasta przyjechał, ten jegomość nowy,
Dzieciom przykazał myć się i poczesać głowy.
Czyste skończenie świata! szaleją panowie!
Ksiądz pleban z katechizmu, daj mu Boże zdrowie!
A tamten różne rzeczy prawi na przemiany;
Czytają, piszą, krzyczą, aż trzęsą się ściany.
Szkoła jak targowisko o wieczornej dobie,
Kiedy to naród Boży podchmiela się sobie.

VI.

Ot! od czego rozpoczął swe światu przysługi
Tysiączny osiemsetny sześćdziesiąty drugi.
Wielki Twórco wszechświata! w jakież dalsze pole
Pchniesz jego dolę?...

VII.

Wraca pacholę wiejskie ze szkoły:
Musiał się uczyć, bo jest wesół,
Musiał za pilność pochwałę dostać,
Bo zuchowato najeżył postać,
I tak sam w sobie odwagę nieci:
— Mówił ksiądz pleban: Chłopskie wy dzieci,
Chłopskie wy dzieci, ale przez księgę
Rozwiemożnicie waszą potęgę.
Jeśli to prawda!... mocny mój Boże,
To ja do książki tak się przyłożę,
I w dzień, i w nocy, w wieczór i rano,
Aż zgłębię wszystko, co napisano;
I wyrozumiem dwa a dwa cztery,
I będę pisał, jak sztych litery.
Bylebym zechciał, dotrwam w zamiarze,
I być wielmożnym sam sobie każę.
Lecz czemuż będę na Bożym świecie?
Pozostać chłopem nie można przecie;
Tylko nauka poszłaby marnie,
Te, co mój ojciec, znosząc męczarnie,
Wypasać woły nago i boso,
Chodzić z toporem, sochą i kosą,
Żyć łustą chleba czarną i twardą
I nierozumnych ludzi pogardą!
Tego niewarto...

VIII.

Ot tak na zmianę

Ja ekonomem sobie zostanę;
Będę bił ludzi... brzydko bić ludzi!
Będę za bracię znał ich kochaną,
Jak w katechizmie wydrukowano;
Będę miał dla nich i miód, i piwo,
Jak to śpiewają w pieśniach we zniwo:
Zapuszczę wasy, jak miotły duże,
Sprawię czapeczkę z kutasem w górze,
I tabakierkę ze srebrnej cyny,
I cztery konie, tłuste mierzyny,
I kupię brykę, i wezmę żonę,
Co nosić będzie suknie czerwone,
Bogaty czepiec z białych koronek,
I łąać męża przez cały dzionek.
Pan łąaje sobie, a żona sobie,
Trudno przenosić jednej osobie...
Nie... ekonomstwo dla mnie nie w porę,
Inne rzemiosło sobie obiorę.

IX.

Będę malarzem, jak ten pan Jerzy,
Co do kościoła robił żołnierzy.
Tacy wásacze! przy Pańskim grobie
Stoją z mieczami i drzemią sobie.
Mają kaftany robotą cudną,
Z płótna czy z blachy, odgadnąć trudno;
Lecz za to pióra, co zdobią głowę,
Jedno błękitne, drugie różowe.
Malarz im za to dał nogi krzywe,
Że mieli serca Nielitościwe,
Pana Jezusa męczyli srodze,
Za to dziś stoją na jednej nodze.
Dobrze im za to... Będę malarzem,
I co umiemy, wtedy pokażem.
Nakupię pędzli i farb niemało:
Czerwoną, żółtą, błękitną, białą,
I odmaluję wioseczkę naszą
Z chatami, z groblą, z rzeczką i paszą.
Będzie kościółek, będą mogiły,
I organisty domek pochyły,

Gołąbki latać będą nad wieżą,
A brzołka wonią oddychać świeżą.
Rzeczka szczebiotać swoje paciorki,
I szumieć będą jodłowe wzgórki,
I będzie brzmiała z mojego płótna
Starej zebraczki piosenka smutna;
Szczekają kundły, klóć się baby,
I stęka idąc dziadulko słaby.
A nad tem wszystkim obłok poranny,
I widać postać Najświętszej Panny,
Pana Jezusa mając na łonie,
Ku naszej wiosce wyciąga dłonie,
I błogosławi te nasze ściany,
I nasz kościółek stary, drewniany,
I naszą szkółkę, i nasze żyto,
I naszą łąkę kwiatem pokrytą,
I błogosławi każdego człeka,
Czy który z bliska, albo z daleka.

X.

Bo tam z za góry ledwie widzianej
Z chorągiewkami jadą ulany.
Boże mój, Boże! co za koniska!
Każdemu z nozdrzy ogień wypryska...
Sam będę zuchem, rada nie służy,
Już ja malarzem nie będę dłużej!
Jak tylko obraz namalowany,
Siadam na konia i marsz w ulany!
Strój będzie złoty, — lecz mniejsza o to,
Tu mi nie idzie o jasne złoto;
Wąs będzie duży, — co mi wąsiska!
Lecz żołnierz, mówią, sławę pozyska;
Jak wróci z krzyżem ku swojej strzesie,
Toż to rodzicom radość przyniesie!
Ojciec się splotcze, a matka powie:
— Toż to jest syn mój! to moje zdrowie!
Zbierze sąsiadki i gospodarzy,
I mnie uścisną dziadowie starzy.
Wartoż dać życie za taką chwilę!...
A jak się czasem w mustrze pomyle,

Albo mi szablą zgruchocą ramię,
Albo mi kula głowę odłamie,
Albo, co gorsza, nie dopuść Boże,
Na bojuwisku strach mię przemoże,
I szarpnę z placu gdzieś w gęste jodły,
A ludzie krzykną: Podłyż ty, podły!
Toż dla rodziców z piasku przykrycie,
A dla mnie hańba na całe życie!
Niel... choć w ułanach dobrze się zdawa,
I piękny mundur, i głośna sława,
Ale tymczasem to blask zwodniczy,
Jeśli sam siebie kto nie obliczy.

XI.

Gdzież mi obliczać? nie z moim wiekiem, —
A mnie tak pilno zostać człowiekiem!
Człowiekiem trudno... trudno ułanem,
A więc... cóż robić? zostanę panem.

Najprzód sprowadzę gromadę chłopią,
Niech mi na pałac gliny nakopią;
Za to odpiszę wszystkie szarwarki
I dam każdemu wódki dwie czarki.
Potem przyjedzie architekt biegły,
Kaze nawozić czerwonej cegły,
I pobuduje pałac wysoki,
Co będzie wieżą straszył obłoki,
Jako straszydło, co na wsi chlōpi
Straszą w ogrodach wróble z konopi.
Gdy matka pańskie młóciła zboże,
Niosąc jej obiad, byłem we dworze;
Jak dziś pamiętam, obiad był taki:
Wodna polewka i trzy ziemniaki.
Pan, co pilnował młocków w stodole,
Jakoś polubił biedne pachole,
Wziął mię za rękę, popieścił, gładził,
I do pałacu swego prowadził.
Cóż tam za rozkosz! jak miękkie ławy!
Na każdej błyszczą tyftyk złotawy.
Jakie zwierciadła! coś jakby w niebie!
Zdaje się człowiek drażni sam siebie.
A na obrazie, co aż mur łamie,

Panny w kąpieli w złocistej ramie,
A jakie okna!... jaka podłoga!
Co to za przepych, na miłość Boga!...
Tak samo wszystko u mnie urzędę:
Będą i sługi, będą pieniądze,
Będą i konie, będą powozy,
I lulka długa, jak gałąź brzozy,
I będę gadał po europejsku,
Ani po polsku, ani po chłopsku,
Będę pił wino, co strzela korkiem,
Jeść marcepany z kwaśnym ogórkiem.
A jak mi matka w starej siermiedze
Przyjdzie żałośnie płakać na nędzę,
Albo brat młodszy wejdzie mi w drogę:
Daj mi, panoczku, daj zapomogę!
Mnie zarumienia ich smutne twarze,
To z tego domu wypchnąć ich każe.

XII.

Och, co ja bluźnię!... Jezusie Chryste!
Oddał ode mnie myśli nieczyste!
Matko i bracie! Dziwne narowy!
Myśl nieczłowiecza przysłała do głowy,
Grzesznik przed wami na klęczki pada,
Niech mię ksiądz pleban jutro spowiada;
Jam grzech mój ciężki, pogardę z wami,
Gotów opłakać krwawemi łzami.
Niech równiennicy a swawolnicy
Błotem obrzuca mnie na ulicy!
Na tę myśl ciężką lichu mnie wniosło...
Ej, grzeszne, grzeszne, dumne rzemiosło!
Jeszczeby w piekle śpiewać wśród płaczu
Pieśń o Łazarzu i o bogaczu...
I przez nauki wzięte korzystnie,
Toż to się silnie bracie uściśnie!
Toż to nakupię elementarzy,
Toż mnie uściskiem pleban obdarzy!
A nie otarłszy łzy jeszcze z powiek,
Rzecz: Mój mały, widać, żeś człowiek!
Idź uczyłowieczać rodzinną wioskę!
Idź gładko orać skibę ojcowską!
Idź z ciężkim rydlem, choć mędrzec taki,

Ze starą matką sadzić buraki,
A wśród buraków wrzucić jej nieznacznie
Nasienie słońca, co rodzić zacznie.
Ja cię przeżegnam, niech Bóg wysłucha:
Idź w Imię Ojca, Syna i Ducha!

Otóż polecę, toż będą radzi!
Nasienie słońca proboszcz sprowadzi,
Ja siał je będę na naszej niwie,
Pan Bóg nie Rymsza, wzrosną szczęśliwie!
Nie będzie deszczu, nie będzie rosy,
Wyrosną kłosa aż pod niebiosy.
A Pan Bóg niwę tutejszej włości
Nakarmi chlebem aż do sytości!
Mnie to zawdzięczy cała gromadka.
Splacze się ojciec, splacze się matka;
Taka łza w sercu perłą powraca...
Toż moja książka!... toż moja praca!

Chciało mnie zrobić zachcenie wieszczce
Panem, ułanem i czymś tam jeszcze;
Ja, choć bić będę głową o ścianę,
Chłopem zostanę!

1862. Borejkowszczyzna.

TANDECIARZ.

W rogu ulicy, przy bramie,
Stoi z koszykiem żyd stary;
Jak Icek w warszawskiej bramie
Zachwala swoje towary.
I nie przepuści nikogo,
Aż się nawrzeszczy do syta:
— Ja wszystko sprzedam niedrogo,
Niech tylko jegomość spyta!

Niech jasne państwo pozwoli
Obaczyć towar wszelaki:
Mydło, co bez brzytwy goli,
Jak gdyby piśmiennik jaki;
Karty, co zmieniać się mogą,
To bardzo rzecz wyśmienita!
Och, ja sprzedaję niedrogo,
Niech tylko jegomość spyta!

Ot cybuch! bursztyn, jak jaje,
 Nie włożyć w usta, tak duży;
 Wnet jasnym panem się zdaje,
 Kto tylko z niego zakurzy.
 Można na szlachtę ubogą
 Dym puścić, gdy się z nią wita.
 Och, ja sprzedaję niedrogo,
 Niech tylko jegomość spyta!

Mam dzwonek — u tego dzwonka
 Serduszko takie jest przednie:
 Jak pan w salonie zabrząka,
 Służba ze strachu poblednie.
 Lecz trzeba trzymać ją srogo,
 Bo z dzwonka może być kwita.
 Och, ja sprzedaję niedrogo,
 Niech tylko jegomość spyta!

Mam wodę na różne plamy:
 Gdy nikną naprzykład wdzięki,
 Lub gdy się czasem zbrukamy
 Dotknięciem niegodnej ręki;
 I takie wymyć się mogą,
 Co się od wziętków nachwyta.
 Och, ja sprzedaję niedrogo,
 Niech tylko jegomość spyta!

Co! przestarzałe towary?
 Jegomość! czy mówisz szczerze?
 Ej stary jestem! ja stary,
 W gruszki na wierzbie nie wierzę!
 Poczciwość z biczem, z ostrogą
 Na krótki popas zawita!
 Ja sprzedam towar niedrogo,
 Niech tylko jegomość spyta!

1862. Wilno.

BŁOGOSŁAWIONY SZEWC
 ŚWIĘTOSŁAW.

1480 r.

Ledwie świta jutrznia dniowa
 W mglistej niebios ustroni:
 Dzwon Zygmunta wśród Krakowa
 Na pacierze nie dzwoni.

Sennym taktem zegar stary
Sćiele głos swój po ziemi;
Ulatują senne mary
Nad głowami ludzkiemi.

Tylko widać lampę skrytą
W oddalonej gdzieś chacie;
Bije młotem o kopyto
W lichym szewskim warsztacie.

Tam Świętosław, prostak Boży,
Całą noc się mozoli,
By sieroty albo chorzy
Mieli ulgę w swej doli.

Z jego pracy — biednych plony;
Żył wyrobnik jak święty:
Skarb miłości niezmierzony
W jego sercu zamknięty.

Zapracować, co się zdarzy,
To on wszystko, co zyska,
Zaraz niesie do nędzarzy
Gdzieś w podziemne sklepiska.

Na poddaszu — wiecznem kołem
Nędzy ciągnie się proba;
Starość jęczy pod kościołem,
A w podziemiu choroba.

Przed trybunał lichwiarz wlecze
Nieszczęsnego dłużnika;
Biedne syny wy człowiecze,
Ileż plag was dotyka!

Lecz Pan męże swoje budzi
Ku cierpiących ochronie;
Wszystkie bóle wszystkich ludzi
Czuł Świętosław w swem łonie.

Stary kubrak go obleka,
Pas rzemienny zwykł nosić,
Twardy kołacz, puhar mleka,
To dla niego i dosyć!

Ale inni? nieszczęśliwi!

Jakaż dni ich osnowa?

Czem ta matka dzieci żywi,

Kiedy chora i wdowa?

Skąd to zdrowie tak wyborne,

U odartych tragarzy?

Skąd rzemieślnik ma komorne,

Gdy się praca nie zdarzy?

Wszedł Świętosław w Imię Boże,

Zaraz w chacie już lepiej;

Kopą groszy zapomoże,

Dobrem słówkiem pokrzepi.

Gdy dla bliźnich wszystko traci,

Z uległością powinna

Kochał matkę, swoich braci,

Swoją ziemię rodzinną,

Króla, senat, mniejsze stany,

Pola, góry i drzewa;

Nieraz klęcząc, łzami zlany,

Modły za nie wylewa:

Za powagę majestatu,

Za hetmańską buławę,

Za szykowność rad senatu,

Za sejmową ustawę.

Takie czyny wielkiej duszy

Przebijają mur nieba;

Taka modła skały kruszy,

Takiej krajom potrzeba.

Świętosława zapal szczerzy

Ma u Boga zapłatę:

Widzeniami z wyższej sfery

Opromienia mu chatę.

Raz, jak zwykle, przy kaganku

Pukał młotkiem przed świtem,

Dusza jego bez ustanku

Wirowała zachwytem.

A modlitwa szła radośnie
Do podnoża Jehowy:
Każde słowo w obraz rośnie
Promienisty, tęczyowy.
Wtem przez okno widzi rzesze
W uroczystym pochodzie:
Hufce konne, pułki piesze,
Pierwszych mężów w narodzie.
Strój uroczy oko dziwi
W pięknem gronie kobiecem, —
Z koszturami starcy siwi,
Dzieci z palmą i kwieciem.
Mąż wspaniały, z długą brodą,
Wiedzie orszak ludowy, —
Dwaj kapłani starca wiada,
Uchyliwszy swe głowy.
Strój biskupi go obłoczy,
Od brylantów i złota;
Zachwyceniem płoną oczy,
W ustach święta szczerota.
Kler młodzieży niezliczony
Śpiewa pieśnię „H o s a n n a!“
Cały Kraków bije w dzwony,
Płonie jutrznia poranna.
Biskup w świata cztery strony
Przeżegnania udziela;
Kłęka przed nim lud wzruszony,
Płacząc łzami wesela.
Ku Katedrze Zbawiciela
W górę Wawel lud płynie,
Tylko biskup się oddziela
K'Świętosława mieścinie.
Skrył się w cieniu mąż pobożny —
Wtem głos słyszy za sobą:
— Przyjacielu! nie bądź trwożny
Przed tą świętą osobą!
To Stanisław Szczepanowski,
To męczennik wsławiony,
Ulubiony sługa Boski,
Dawny biskup tej strony.

On za lud swój walczył długo,
Przelał własnej krwi zdroje,
On te tłumy swą zasługą
Wiedzie w niebios podwoje.

Kogo przemoc uciemięza,
W kim się duch już osłabił,
Do świętego módl się męża,
Co Bolesław go zabił.

Kiedy grozi wam ruina,
Bądźcie w modłach wytrwali;
Ten, co wskrzesił Piotrowina,
I wam życie ocali.

Jeszcze innych sześciu mężu
Niebo z Polski posiada;
Tej potęgi nie zwycięży
Ziemskich hufców gromada.

To krew ze krwi, kości z kości,
W nich zastępców znajdziecie;
Poglądają z wysokości,
Czy wam dobrze na świecie.

Tam, w klasztorze Dominika,
Mieszka Ojciec Wincenty;
W celi wiecznie się zamyka,
Modlitwami zajęty.

Nad książkami wiecznie siedzi,
Ssać z nich zdrowie dla ducha.
Idź do niego do spowiedzi —
On cię wdzięcznie wysłucha.

A zebrawszy lud z ulicy,
W Imię Pańskie pozdrowi,
I rozpowie z kazalnicy,
Jak Bóg sprzyja ludowi!...

Gdy Świętosław trwożne oczy
Wzędzie rzuca nieśmiało,
Zmilkną nad nim głos proroczy,
I widzenie ustało.

Szedł i czynił, co głos każe,
A sprzedawszy swe mienie.
Pieniądz oddał na nędzarze,
Wbżył grube odzienie.

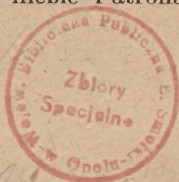
W pokutników idąc ślady,
Ślub ubóstwa uczyni,
I siadł w kruchcie między dziady
W Maryackiej świątyni.

Szła jałmużna dosyć sporo,
Lecz, co przyśle mu doba,
To wieczorem biedni biorą,
Albo świątyń ozdoba.

Wreszcie poszedł w świat nieznany,
A gdy w grób się położy,
Wołał naród i kapłany:
Błogosławion człek Boży!

Wszystkie stany bez różnicy
Pan przytula do łona:
I wy, polscy wyrobnicy,
Macie w niebie Patrona.

Wrzesień 1862. Wilno.



SPIS RZECZY.

UTWORY EPICKIE.

Janko cmentarnik.	Str.
Janko cmentarnik	5
Przygrywka	5
Epilog	29
Illuminacja	31
Królewscy lutniści	35
Pieśń Klabona	38
Pieśń Bekwarka	40
Pieśń Torbanisty	42
Nocleg hetmański.	
Część pierwsza	45
Część druga	59
Część trzecia	66
Epilog	80
Starosta Kopanicki.	
Wstęp	84
Część pierwsza. — Pole elekcyjne	87
Część druga. — Starosta Kopanicki	95
Część trzecia. — Napad nocny	98
Część czwarta. — Więzienie w Sonnenburgu	109
Hymn	111
Epilog	128
Sejm Lubelski	130
Folwark Stara Niwa	134
Czarno i biało	137
Widzenie pustelnika	141
Trzy córki Litwina	143
Księgarz uliczny	153
Część pierwsza. — Wieczór mieszczański	157
Część druga. — Obmurowanie Wilna	164
Część trzecia. — Tatarowie pod Kleckiem	175
Część czwarta. — Zgon Wojciecha Tabora	189
Epilog	198

Marcin Studzieński.	Str.
Dziewiczy wieczór.	
Z części I	198
Z części II	204
Dokumenta	211
Szkoła wiejska	217
Tandeciarz	224
Błogosławiony szewo Świętosław	225





Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

9721/III S



001-009723-03-0

„Złoty Śląsk”